Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Centimetres
Inches

ZIELONY TALIZMAN

ZIELONY TALIZMAN

Reportaże
z dziejów Pierwszej Samodzielnej
Kompanii Commando
1942—1944

No. 10 COMMANDO — 6th TROOP

dop. I-2

BOLOGNA 1946

S
42994/2

„STWIERDZAM, ŻE KOMPANIA COMMANDOSÓW POLSKICH DOBRZE ZASŁUŻYŁA SIĘ OJCZYŹNIE"

Gen. Kazimierz Sosnkowski
NACZELNY WODZ

(Z przemówienia wygłoszonego dnia 9. IV. 1944 w Bojano)

AUTORZY

Konrad BRAULIŃSKI
Andrzej CZYŃSKI
Maciej DRZEWICA
Jerzy GREK
Jerzy JACHIMOWICZ
JERZYCZ
Jerzy LINDNER
Wiktor OSTROWSKI
Jan Ł. PĄGOWSKI
Bolesław ŚWITALSKI
Konrad TOM
Zygmunt WACHUŁKA
Melchior WAŃKOWICZ
Stefan ZALEWSKI
M. D. Z.

FOTOGRAFIE

Maciej DRZEWICA
Feliks MALINIAK
J. MICHALSKI
Wiktor OSTROWSKI
Stanisław ROCHOWICZ
Tadeusz SZUMAŃSKI
Bolesław ŚWITALSKI
Stanisław WOŁOSZOWSKI

OKŁADKA I WINIETY

Anna GRZYMAŁA-SIEDLECKA

OD AUTORÓW

Zielony Talizman — to beret oddziałów Commando, noszony z dumą przez brytyjskich Commandosów i tych nielicznych żołnierzy sprzymierzonych, którzy dostąpili zaszczytu służenia w oddziałach Dowództwa Połączonych Operacji. Beret zielony, który stał się symbolem ochotniczej służby w trudnej i wszechstronnej broni, jaką były oddziały Commando, w okresie, kiedy nikomu nie śniło się nawet, że wojsko dozorujące wybrzeży Wielkiej Brytanii będzie miało rychłą możność zmierzenia się oko w oko z wrogiem, był specjalnie ceniony przez nas, jako tych, którzy pierwsi z Anglii ruszyli orężem torować sobie drogę do Wolnej Polski.

Książka, którą oddajemy w ręce czytelnika, nie jest bynajmniej literackim opracowaniem dziejów Pierwszej Samodzielnej Kompanii Commando. W pracy tej chcieliśmy tylko na tle streszczeń z Dziennika Bojowego i Kroniki Kompanijnej naszkicować obrazy uczuć i przeżyć, jakie mieliśmy w poszczególnych okresach zarówno walki, jak i treningu. Opowiadania, zawarte w książce były pisane przeważnie „na gorąco" — niejednokrotnie nawet w czasie akcji, w krótkich przerwach między jedną „robotą" a drugą. I pisane były przez wszystkich — zarówno przez oficera, jak i strzelca; przez człowieka, mającego wyższe wykształcenie, jak i takiego, któremu wojna, czy warunki życiowe nie dały możności ukończenia nauki na znacznie niższym nawet szczeblu; przez tych, co już próbowali kiedyś swego pióra, jak i przez zupełnych nowicjuszy w tym zawodzie. Stąd też pochodzi duża niejednolitość i różnice w formie rozdziałów czy fragmentów. Ale za to chcieliśmy uzyskać bezpośredniość przeżyć, którą przy późniejszym, literackim opracowaniu trudno byłoby wydobyć.

Opowiadania nie dotyczą jakichś wybitnych czynów — często obrazują szarą, codzienną pracę i zwykłą żołnierską robotę tak, jak przeżywał ją codzień każdy z żołnierzy Kompanii Commando.

Prócz naszych osobistych wrażeń, zamieściliśmy również przedruki kilku artykułów, napisanych przez „obserwatorów z boku" (Wańkowicz, Ostrowski, Pągowski, Tom) — chcieliśmy bowiem dać też rzut oka na to, jak na nas patrzyli ludzie obcy, kiedy się z nami spotkali.

W końcu pragniemy nadmienić, że cały dochód z tej książki jest przeznaczony na „Fundusz Pomocy Inwalidom b. Samodzielnej Kompanii Commando i 2 Baonu Komandosów".

WSTĘP

Historia oddziałów Commando jest trudna do ujęcia w tym momencie. Do dziś dnia pomimo, że wojna z Niemcami jest skończona, wiele faktów o oddziałach znanych pod wyżej wspomnianą nazwą jest jeszcze nieujawnionych. Czyny tych oddziałów dały im jednak sławę, stawiając je na pierwszym miejscu wśród wszystkich jednostek alianckich.

Początków powstania oddziałów Commando należy szukać w wojnie boerskiej. Boerzy, walczący z przeważającą siłą oddziałów brytyjskich, wyrzucali małe grupy na tyły nieprzyjaciela, które niszczyły przez zaskoczenie nieproporcjonalnie silniejszego wroga. W ten sposób przedłużali i utrudniali działania wojenne. Samo zaś słowo „Commando" jest pochodzenia hiszpańskiego. W swym znaczeniu zbliżone jest do słowa „guerillas".

Po zwycięstwach Hitlera w Europie całe wybrzeże, od Narviku po granicę hiszpańską, było w rękach niemieckich. W związku z tym w Sztabie Imperialnym zrodziła się myśl przeszkolenia małych grup żołnierzy celem wykonywania wypadów ofensywnych i nękających na wybrzeżu europejskim. Szkolenie tych oddziałów, złożonych wyłącznie z ochotników, zostało powierzone płk. Clarke, który przygotował plan szkolenia oddziałów Commando. Datą stworzenia pierwszego oddziału Commando jest czewiec 1940. Już uprzednio były formowane t. zw. Niezależne Kompanie przez bryg. Gubbins M. G., które brały udział w walkach w Norwegji.

Pierwszym, raidem, wykonanym przez Commandosów, był wypad na Cap d'Alfredo i Pointe du Hautbaur w nocy z 23 na 24 czerwca 1940 r. Wypad poprowadził mjr. R. J. F. Todt, z zadaniem rozpoznania obrony niemieckiej i wzięcia jeńca. W miarę szkolenia następowały dalsze raidy. Wykonywane one były przeważnie nocą, co dawało możność zaskoczenia i nie pozwalało obronie niemieckiej na chwilę wypoczynku. Obok rozpoznawania sił obrony wybrzeża miały one za zadanie niszczenie obiektów, jak n. p. wypad, wykonany przez elementy 2 Commando pod dowództwem kpt. Blane M. C. i kpt. Houghton, z zadaniem zniszczenia elektrowni w Glumfiord (Norwegia). Wysadzona elektrownia spowodowała unieruchomienie na długi okres czasu fabryki aluminium.

Commandosi wykonują wypady od Norwegji po Hiszpanię.

W lipcu 1940 roku następuje podział oddziałów Commando — 7, 8 i 11 Commando zostają wysłane na Środkowy Wschód, gdzie wraz z dwoma na miejscu stworzonymi Commando tworzą jednostkę zwaną „Layforce" pod dowództwem płk. R. E. Laycock — 1, 2, 3, 4 i 12 Commando zostają w Anglii.

Dnia 4 marca 1941 został wykonany wypad przez 3 i 4 Commando na wyspy Lofoty, Dowódcą całości był bryg. Haydon D.S.O., O.B.E. Commandosi wrócili, przywożąc ze sobą jeńców: 10 „Quislingów" i 315 ochotników do Armji Norweskiej w W. Brytanii. Zniszczonych zostało 11 fabryk i 1 elektrownia; wysadzono 800 tysięcy galonów oliwy i 5 statków.

Tymczasem oddziały Commando, wchodzące w skład „Layforce", wykonują wypady na tyły oddziałów włoskich i niemieckich w Libji, osłaniają

odwrót wojsk sprzymierzonych z Krety i działają w Syrji. Później, na skutek dużych strat, oddziały „Layforce" zostają rozwiązane — część Commandosów wraca do Anglii, część zostaje w Egipcie, tworząc t. zw. „Szkockie Commando", które m. in. wykonuje śmiały wypad na Kwaterę Główną gen. Rommel'a.

W wypadzie tym bierze udział 6 oficerów i 56 szeregowych pod dowództwem płk. Laycock. Commandosi lądują z dwóch łodzi podwodnych, jednak wypad nie udaje się, gdyż Rommel wyjechał w tym czasie na bankiet do Rzymu. Trzech pułkowników z jego sztabu i wielu innych zostało zabitych — ze strony brytyjskiej ginie m. in. płk. Reyes, odznaczony pośmiertnie najwyższym bojowym odznaczeniem Victoria Cross. Wskutek wzburzonego morza łodzie nie mogły zabrać commandosów spowrotem. Część z nich poległa, część, błądząc, dostała się do niewoli — jedynie dwóch: płk. Laycock i sierż. Terry po 41 dniach marszu przez pustynię dostali się w stanie ostatecznego wyczerpania do oddziałów angielskich w Cyrenajce.

W Boże Narodzenie 1941 oddziały 2, 3, 4 i 6 Commando pod dowództwem bryg. Haydon wykonują wypad na Vaagso. Zatopiono 9 statków, zniszczono fabryki; na miejscu zostaje zabitych 150 Niemców i 98 wziętych do niewoli. W tym samym czasie 12 Commando pod dowództwem płk. Harrison M. C. wykonuje wypad na wyspy Lofoty, pozostając tam przez dwa dni i niszcząc radiostacje, urzadzenia meteorologiczne i statki.

Dnia 26 marca 1942 r. No. 2. Commando pod dowództwem płk. Newman wykonuje znany wypad na St. Nazaire, jedną z największych baz morskich w rękach niemieckich. Zadaniem wypadu było zniszczenie suchego doku, zdolnego do pomieszczenia pancernika „Tirpitz". Główne zadanie powierzono kontrtorpedowcowi „Campbeltown", który wpłynął do wrót doku i tam eksplodował, zabijając 400 Niemców i niszcząc i blokując dok. Z tych commandosów, którzy zeszli na ląd celem wykonania zniszczeń, nie powrócił nikt.

Celem zabezpieczenia sobie drogi do Indii Anglicy lądują na Madagaskarze. W operacjach tych bierze udział 5 Commando.

Następne lądowania to już wielkie próby przedinwazyjne. Słynny wypad na Dieppe dał Sztabowi Imperialnemu dużo danych do rozpracowania następnych operacji. W wypadzie bierze udział 3 i 4 Commando oraz mała grupa z 10.I.A. Commando. Commandosi otrzymują zadanie zniszczenia dwóch zgrupowań artylerji, które mogłyby uniemożliwić całą akcję. 4 Commando pod dowództwem Lorda Lovat otrzymuje zadanie zniszczenia dywizjonu art. pod Varengeville, zaś 3 Commando dywizjonu w Berneval. Lądowania odbyły się pod bardzo silnym ogniem — 4 Commando wykonało zniszczenie całkowicie, 3 Commando, ponosząc silne straty, nie zdołało wprawdzie zniszczyć artylerii, jednak obsługa dział, prowadząc walkę z commandosami, nie mogła prowadzić ognia na lądujące oddziały, czym zasadniczy cel został osiągnięty.

Prócz tych większych wypadów, o których było głośno w prasie, commandosi prowadzą stałą pracę rozpoznawczą i nękającą nieprzyjaciela wykonując częste wypady, małe, niejednokrotnie w kilka osób zaledwie.

Wkrótce po wypadzie na Dieppe rozpoczyna się marsz wyzwolenia Aliantów. Commandosi idą w pierwszej linii. „2nd Special Service Brigade" bierze udział w lądowaniach w północnej Afryce i we Włoszech. Do niezapomnianych wyczynów należy utrzymanie mostu „Lentini" koło Catanii na Sycylji, gdzie sława okrywa się 3 Commando. Termoli, Salerno, Sangro, Garigliano, Anzio, Jugosławia, Grecja, Albania, Kreta — oto tereny działań 2 SS Brygady.

1 SS Brygada bierze udział w operacjach w Burmie. Pozostałe oddziały Commando pod dowództwem gen. Laycock biorą udział w pierwszych lądowaniach na kontynent a potem w jednej z najtrudniejszych operacji — w Holandii i Belgii, w 21 Grupie Armii pod dowództwem marsz. Montgomerry.

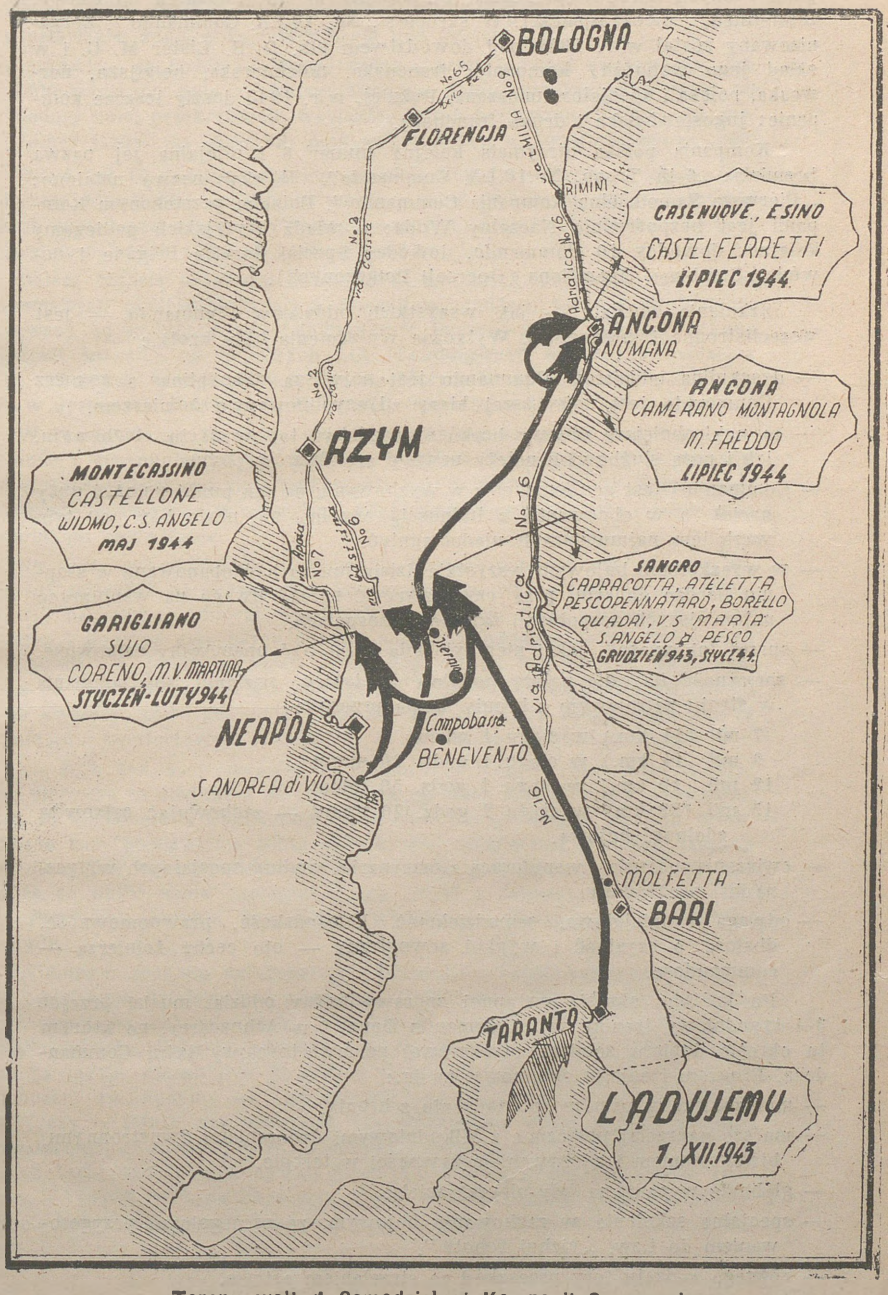

Tereny walk 1 Samodzielnej Kompanii Commando.

Pomiędzy oddziałami Commando był jeden, który składał się z kompanii różnych narodowości. Nosił on kolejny nr 10 i dodatek do nazwy: Inter-Alied, (Międzyaljancki). W skrócie: „No. 10.I.A. Commando". Zorganizowany został w r. 1942 pod dowództwem płk. D. S. Lister M. C. i w skład jego wchodziły kompanie: francuska, holenderska, belgijska, norweska, polska i specjalna, mieszana. Później, w r. 1943 doszły jeszcze kompanie: jugosłowiańska i druga francuska.

Kompania polska otrzymała kolejny numer 6 i oficjalna jej nazwa brzmiała: „6-th Troop, No.10.I.A. Commando". Polską nazwę ustalono: „Pierwsza Samodzielna Kompania Commando". Polskim przełożonym Kompanii jest bezpośrednio Naczelny Wódz; u władz brytyjskich podlegamy kolejno: dowódcy 10 Commando, dowódcy Special Service Brigade i dowódcy Combined Operations (Operacji Połączonych).

Szkolenie oddziału — jak wszystkich oddziałów Commando — jest wszechstronne i intensywne. Wytyczne wyszkolenia były krótkie:

— dyscyplina oddziałów Commando jest najwyższą dyscypliną a żołnierz Commando jest najwyższej klasy zdyscyplinowanym żołnierzem.

— za najdrobniejsze objawy braku koleżeństwa tak w życiu służbowym, jak i poza służbowym należy usuwać z oddziałów Commando.

— Commandos jest gentlemanem; w wychowaniu na ten punkt położyć duży nacisk a w obcowaniu z ludnością cywilną nie może być pod tym względem najmniejszych niedociągnięć.

— w wyszkoleniu bojowym wszystkie działy muszą być opanowane w stopniu bardzo dobrym, przy czym zwrócić należy uwagę na współpracę najmniejszych zespołów i zgranie w zespołach.

— sprzęt tak własny, jak i nieprzyjaciela musi być opanowany całkowicie.

— sprawność fizyczną należy podnieść do takiego poziomu, aby kompania w stroju patrolowym z bronią mogła przebyć:

7 mil (11 km.) w ciągu 1 godziny
9 mil (14 km.) w ciągu 1 godz. 20 minut
12 mil (19 km.) w ciągu 1 godz. 50 minut
15 mil (22 km) w ciągu 2 godz. 20 minut — zachowując całkowitą zdolność bojową.

— ćwiczenia morskie i współpraca z marynarką według specjalnych wytycznych i programów.

— odwaga i inicjatywa, samodzielność, koleżeńskość, prawdomowność, dbałość o czystość i wygląd zewnętrzny — oto cechy żołnierza — commandosa.

Po krótkim okresie wstępnej zaprawy każdy oddział musiał przejść 3-4 tygodniowy trening w „Commando Depot" w Achnacarry, po którym to okresie dopiero żołnierz otrzymywał pełnowartościowy tytuł Commandosa. Program treningu obejmował m. in.:

— marszobiegi w pełnym oporządzeniu z bronią.

— marsze naprzełaj połączone z kilkudniowymi ćwiczeniami dwustronnymi, biwakowaniem i zdobywaniem żywności w terenie.

— głębokie wypady na tyły nieprzyjaciela.

— specjalne szkolenie w zachowaniu bojowym, ze szczególnym przygotowaniem do t.zw. „cichej roboty".

— różnego rodzaju tory przeszkód ze strzelaniem ostrym.

— gimnastykę drogową i zwykłą.

— różnego rodzaju strzelania, z dużym zwróceniem uwagi na strzelania z biodra ze wszystkiej posiadanej broni.

— naukę broni własnej i nieprzyjacielskiej.

— walkę wręcz, łącznie z umiejętnością walki nożem.

— wiosłowanie, żeglarstwo i lądowanie pod ogniem.

— gimnastykę na linach i różnego rodzaju próby odwagi i zręczności, jak schodzenie po linie z czteropiętrowego domu, przekraczanie rzeki po jednej linie, przekraczanie wąwozów i rzek przy pomocy t.zw. „śmiertelnej jazdy" na linie lub mostów linowych z „toggle-ropeów", itp.

Dzień był 10-godzinnym dniem zajęć a liczne ćwiczenia nocne nie powodowały bynajmniej opóźnienia terminu zajęć dziennych. Niejednokrotnie oddział wracał nad ranem z ćwiczeń nocnych a o godz 7 musiał już stać gotowy do dalszych zajęć na apelu porannym.

Dalszą częścią programu szkolenia są ćwiczenia morskie w lądowaniu w rozmaitych okolicznościach i z rozmaitego rodzaju barek desantowych, począwszy od małych LCP (Landing-craft Personel), poprzez LCA (Landing-craft Assault), aż do dużych LCI (Landing-craft Infantry). Ćwiczenia te są odbywane w specjalnych bazach Marynarki Królewskiej, pozostających w dyspozycji Dowództwa Combined Operations.

W czasie całego szkolenia największy nacisk kładziony jest na samodzielność i własną inicjatywę każdego żołnierza. Rodzaj pracy Commando wymaga znajomości zadania i możliwości jego wykonania nawet przez poszczególnego szeregowca w wypadku, gdyby jego dowódcy zostali zabici, czy niezdolni do dowodzenia.

Nie było w oddziałach Commando koszar, pobudki czy capstrzyku. Wszyscy mieszkali na prywatnych kwaterach i na wyznaczony termin schodzili się na miejsce zbiórki. Punktualne przybycie było ambicją każdego żołnierza i poprzez cały okres pobytu polskiego oddziału w 10 Commando nie zaszedł ani jeden wypadek spóźnienia się na zbiórkę. Po zajęciach, nieraz po ciężkich ćwiczeniach, ubłoceni i przemoczeni żołnierze rozchodzili się na kwatery, gdzie pod opieką troskliwych gospodyń mogli wypocząć w wygodnym i komfortowym mieszkaniu, w atmosferze rodzinnego domu.

Nie było też kary aresztu. W Commando istniały tylko dwa rodzaje kary: pierwsza to odebranie na pewien okres czasu żołdu wraz z dodatkami, druga to wydalenie z Commando i przeniesienie do innego rodzaju broni. Nieliczne kary pozbawienia żołdu były karami dotkliwymi, żołnierz ukarany bowiem chodził na wszystkie zajęcia, mieszkał w wygodnym domu, ale nie miał za co kupić sobie papierosów, czy pojść z dziewczyną do baru lub kina. Powtórne ukaranie, powodujące wydalenie z Commando, nie zdarzyło się nigdy.

Widomym znakiem koleżeństwa i braterstwa broni pomiędzy wszystkimi oddziałami, działającymi w ramach Dowództwa Połączonych Operacji, był noszony na rękawie znak „Combined Operations" — skrzyżowane skrzydła lotnicze, kotwica i tommy-gun, symbolizujący trójcę połączonych broni na lądzie, morzu i w powietrzu a hasło „United we conquer" — zjednoczeni zwyciężymy — doprowadziło do ostatecznego zwycięstwa. I każdy: czy to lotnik, czy marynarz, czy commandos spogląda dziś z dumą i wzruszeniem na noszony przez siebie znak Combined Operations, gdyż jest to znak tych, którzy wykonywali niezwykle trudną pracę przez cały czas wojny — nawet w tych okresach, kiedy siły sprzymierzonych całkowicie wyparte były z kontynentu i zdawało się, że potop hitlerowski zaleje świat cały.

PRZYGOTOWANIE

Z KRONIKI

W pierwszej połowie września 1942 r. rozkazem Naczelnego Wodza została zarządzona organizacja Pierwszej Samodzielnej Kompanii Commando. Organizację powierzono 2 Baonowi 1 Samodzielnej Brygady Strzelców, zaś na dowódcę kompanii został wyznaczony kpt. Władysław Smrokowski. Stan etatowy Kompanii wynosił 5 oficerów i 81 szeregowych.

W dniu 20 września rozpoczął się napływ ochotników. Pierwszym miejscem postoju kompanii, gdzie odbywała się organizacja, było miasto C u p a r, stolica hrabstwa Fife w Szkocji. Kwatery i kancelaria Kompanii mieściły się w kościele St. John's Church.

Po wstępnej selekcji i przeszkoleniu ogólno - wojskowym, Kompania, żegnana przez dowódcę Brygady gen. Bronisława Ducha i dowódcę Baonu ppłk. dypl. Bronisława Chruściela, wyjechała w dniu 9.X.1942 do Walii, gdzie w dniu 10.X.1942 przybyła do wyznaczonego m. p., nadmorskiej wioski F a i r b o u r n e w hrabstwie Merioneth. Na dworcu powitał kompanię dowódca 10 Commando ppłk. D. S. Lister M. C., w towarzystwie swego zastępcy mjr. P. Laycock i adiutanta kpt. J. Clark.

Pierwszy tydzień przeznaczony został na pobieranie umundurowania i sprzętu specjalnego, jak np. „toggle-rope" (liny indywidualne zakończone pętlą i przetyczką), liny alpejskie, specjalne buty cichobiegi (tzw. S. V. Boots), łódki składane, „mae-westki", sztylety, szereg rodzaj plecaków i noszaków, czekany, haki i inny ekwipunek wysokogórski itp. rzeczy, o których żołnierz nawet nie śnił a o których przydatności dowiedział się dopiero w dalszym okresie szkolenia. W tym samym czasie przeszliśmy z gospodarki polskiej na angielską, co było konieczne ze względu na całkowite włączenie oddziału do jednostki brytyjskiej. Nowością, która początkowo napawała obawą władze kompanijne, było zakwaterowanie wszystkich żołnierzy w prywatnych mieszkaniach. Na wszystkie zbiórki i zajęcia żołnierze schodzili się z prywatnych kwater, ambicja jednak każdego

nie dopuściła do najmniejszego nawet wypadku spóźnienia. Za to życie się i przyjaźń z miejscową ludnością świeciło prawdziwe triumfy.

Dnia 19 listopada 1942 Kompania wyjeżdża na brytyjskowe prze. szkolenie do znanego wszystkim Commandosom Ośrodka Wyszkoleniowego — Commando Depot — w Achnacarry (Północna Szkocja). Zaraz na wstępie dostajemy solidną szkołę: szybkim marszem 19 km ze stacji kolejowej do obozu. Przez cały czas pobytu w Depot nie było zwolnionych od zajęć z powodu otarcia nóg, niewygodnych czy mokrych butów lub ubrania, choroby czy lekkiego uszkodzenia ciała w czasie treningu. Wszyscy zaciskali zęby, aby wobec Anglików i innych narodowości pokazać, że nie tylko dorównujemy, ale nawet — pomimo wyższego przeciętnego wieku naszej kompanii — przewyższamy innych, którzy wraz z nami dzień w dzień wylewają pot przy różnych karkołomnych ćwiczeniach i próbach odwagi, sprawności fizycznej i wytrzymałości.

W grudniu wróciła Kompania do Fairbourne, gdzie mając pod bokiem góry i morze, kontynuowała rozpoczęty w Achnacarry trening.

W połowie marca wyjechała Kompania na dwutygodniowe przeszkolenie morskie do Bazy Morskiej w W a r s a s h (Południowa Anglia). W forsownych ćwiczeniach zapoznali się żołnierze z różnymi rodzajami sposobów lądowania, zarówno szturmowego, jak i tzw. „cichego". Z Warsash nie wróciła już Kompania do Fairbourne, lecz została przeniesiona na nowe m. p. do stolicy Walii C a e r n a r v o n, gdzie pozostaje przez dwa miesiące.

Święta Bożego Narodzenia obchodzone w Fairbourne i Wielkanocne w Caernarvon dały jeszcze jedną okazję do zamanifestowania szczerej przyjaźni pomiędzy polskimi commandosami a ludnością Walii i commandosami innych narodowości, wchodzących w skład Nr. 10 I. A. Commando.

W czasie pobytu na terenie Walii inspekcjonowali Kompanię: ze strony polskiej płk. dypl. A. Marecki, szef Oddziału Operacyjnego Sztabu N. W., zaś ze strony władz brytyjskich szereg dowódców przełożonych, m. in. gen. Graseth i dowódca Special Service Brigade gen. Laycock. Wielokrotnie wizytował Kompanię dowódca 10 Commando, ppłk. Lister, ponadto często gościliśmy u siebie dowódców pozostałych kompanii, wchodzących w skład 10 Commando.

W pierwszych dniach czerwca całość 10 Commando przeszła do E a s t b o u r n e (hrabstwo Sussex, południowa Anglia), gdzie nastąpiło bliższe zgrywanie wszystkich kompanii, rozrzuconych dotychczas terenowo dość daleko od siebie. W sierpniu 1943 wyjechała kompania na powtórny trening morski, tym razem do P l y m o u t h (południowo-zachodnia Anglia). Zarówno na tym treningu, jak i w czasie poprzedniego, współpraca i współżycie z marynarzami z Royal Navy układały się bardzo miło a noszony na rękawie znak „Combined Operations" był wyrazem braterstwa broni, wspólnych trudów i przynależności do jednej rodziny, do Dowództwa Połączonych Operacji.

W czasie pobytu na treningu w Plymouth dowódca Kompanii został wezwany do Londynu, do dowódcy Combined Operations Lorda Louis Mountbatten, z ust którego dowiedział się, że kompania polska, jako pierwsza z 10 Commando, jako całość wejdzie do akcji.

Sympatia i uznanie przełożonych brytyjskich dla Pierwszej Samodzielnej Kompanii Commando, ugruntowane licznymi inspekcjami i obserwacją ćwiczeń, znalazły wyraz w raportach do Londynu. To w dużym stopniu wpłynęło, że Dowództwo Połączonych Operacji nie inny, a nasz właśnie oddział uznało za przygotowany do walki pod każdym względem i zadecydowało o jego użyciu.

GWIAŹDZISTY ZLOT

„Major Road" — napis ostrzegawczy przed główną szosą. Na szosie lewostronny ruch. Nocy tej wozy przemykały się ukradkiem, nie świecąc świateł a, nieprzyzwyczajeni do tego rodzaju jazdy, kierowcy trzymali się białej linii, biegnącej środkiem nawierzchni. Na słupie narożnikowym strzałka, wskazująca w prawo, pod nią napis: „London 63 miles". „Jeszcze półtorej godziny, a będę na miejscu" — pomyślał, siedzący za kierownicą Antek. „Tam przenocuję a jutro załatwię formalności w konsulacie i pojadę do Polski, do wojska. Dziwna rzecz wojna..." Westchnienie wydobyło mu się z piersi.

Był 17 wrzesień 1939 rok... Matka, jak zwykle, pocałowała go i wysłała do szkoły. W oddali słychać było huki dział. Front zbliżał się do rodzinnego miasta. Wiedział o tym Zdzisiek. Zawsze marzył, aby zostać żołnierzem, ale nigdzie nie chcieli go przyjąć. Mówili, że jest za młody. Tego dnia jednak Zdzisiek postanowił działać — miał przecież 15 lat. Wskoczył na przejeżdżającą furmankę wojskową i pojechał... w świat... na wojnę...

Szedł wolnym krokiem i wspominał: „Kaśka jednak fajna dziewucha. Nie powiedziała ojcu nic, jak ja te buty zabrałem. A przydały mi się w Karpatach. Coprawda poznali po nich „Lengiel'a" i do cytadeli budapeszteńskiej wpakowali, lecz tym razem nie złapią już mnie tak łatwo — o, nie. Szkoda, że te buty sprzedałem, ale jeść trzeba. Ktoby pomyślał, że tych „kataniarzy" tak nabiją i przyjdzie raz jeszcze przez granicę się przekradać. No' ale co Anglicy — to Anglicy, a tym „Szwabom" to się jeszcze dostanie".

„Si, si, si — to włóczęgi serenada" — zaczął pogwizdywać Wojtek. Dokoła niego wrzał gorączkowy ruch. Na peronie stał pociąg. Na wagonach widniały napisy: „Madrid — Lisboa". Kusiły go wygodne, miękkie siedzenia, jednak bez biletu i bez dokumentów a, co gorsza — bez pieniędzy, nie sposób było tam siąść, aby w następstwie nie znaleźć się w jakiejś „Mirandzie".

Tragarz hiszpański zaplątał się z walizkami w drzwiach „pullmana", korzystając z tłoku, wsunął się Wojtek z plastrami pod wagon. Chwila strachu i siedział już pod wagonem „wygodnie", oparty o rurę wylotową „00" i osie kół. Nie spostrzegł go nikt. Nazajutrz był w Portugalii, obolały lecz szczęśliwy. W kilka dni później lądował w Anglii. To takie proste, gdy się chce...

Drugi rok wojny dobiegał końca...

Głowa wystawała nad ziemią. W regularnych odstępach czasu wylatywały z ziemi grudy iłu, aby paść opodal. Każda z nich coraz bardziej zasłaniała pracującego.

Jeszcze jeden „sztych" i stanowisko będzie, „jak ta lala" a po tym fajrant. — Sztychu jednak nie dokończył Józio gdyż d-ca plutonu zawołał go i kazał mu się pakować. Wyjeżdżał do „Commandosów".

Drzwi od aresztu otworzyły się i wszedł profos. Miał minę uśmiechniętą. Uścisnął grabę Jurkowi i rzekł: „Jesteś wolny". Ale Jurkowi dobrze było siedzieć na „średnim", więc wcale się nie śpieszył z wyjściem. Profos jednak ponaglał, wreszcie rzekł: „Zostałeś przeniesiony do „Commandosów"... Nim dokończył zdania, Jurka już nie było.

„Ledwie rozprowadzili mnie na posterunek, a już idzie zmiana. Co to może być? Czyżby pomylili się z czasem?" Ciekawość Edka została wnet zaspokojona: odjeżdżał do „Commandosów". A nowy wartownik z zadrością patrzył za oddalającym się kolegą.

Fale Atlantyku monotonnie rozbijały się o wybrzeże Szkockie...

Październik, 1942 rok...

Był to pamiętny dzień, gdy Anlek i Felek spotkali się pod kościołem w Cupar, szukając raz jeszcze, tym razem z powodzeniem, drogi wyjścia ze... zbyt spokojnego życia w Szkocji.

Późnym wieczorem, przy świetle elektrycznym, w rogu sali, przy pięciu kartach powstawały zawiązki nowych przyjaźni. Dolatywały do mnie urywki rozmów — „...jakem Franek – legionista, obywatel Indochin, afrykańskich kazb i wszystkich godnych spelun europejskich, które zamierzam na nowo zwiedzić — wam wszystkim tu oświadczam, że nie jest ten „Commandos", kto z tej flachy nie pociągnie..."

.....noszę ja okulary od czasu, gdy mając randkę ze Szkotką z Aberdeen, przyszedłem na miejsce spotkania i zobaczyłem zdala najdroższą w czarnej sukni kiwającą do mnie białą chustką. Zadyszany i z bijącym sercem podbiegłem do niej i spostrzegłem wówczas, że jest to czarna krowa, która swym białym ogonem odganiała dokuczliwe muchy. Najdroższa zaś zawiodła. Aby na przyszłość uniknąć rozczarowań, noszę okulary..."

„...Pewnie, że się znam na boksie — jestem z zawodu „Bokseador" i nie raz się biłem w Argentynie..."

Pomału sala oddawała się w objęcia „Morfeusza", lecz spokój został zakłócony przybyciem nowych gości. Łączność przyjechała. Część z nich miała pozostać, część zaś miała odjechać nazajutrz z powrotem. Powstał problem, jak łączność miała się rozłączyć.

„Grzesiu — już cię więcej nie zobaczę, wróć się do nas. Po co ci na wojnę jechać" — biadał zmartwiony przyjaciel. „Czy

ci nie lepiej czytać książkę o tych okrucieństwach?" Lecz Grzesio był niewzruszony i z natchnieniem wieszcza odpowiadał: „Ten, kto umrze wolnym będzie—ten, kto umarł wolnym już". Przyjazny but ze świstem przeleciał przez salę — nastała cisza a organ

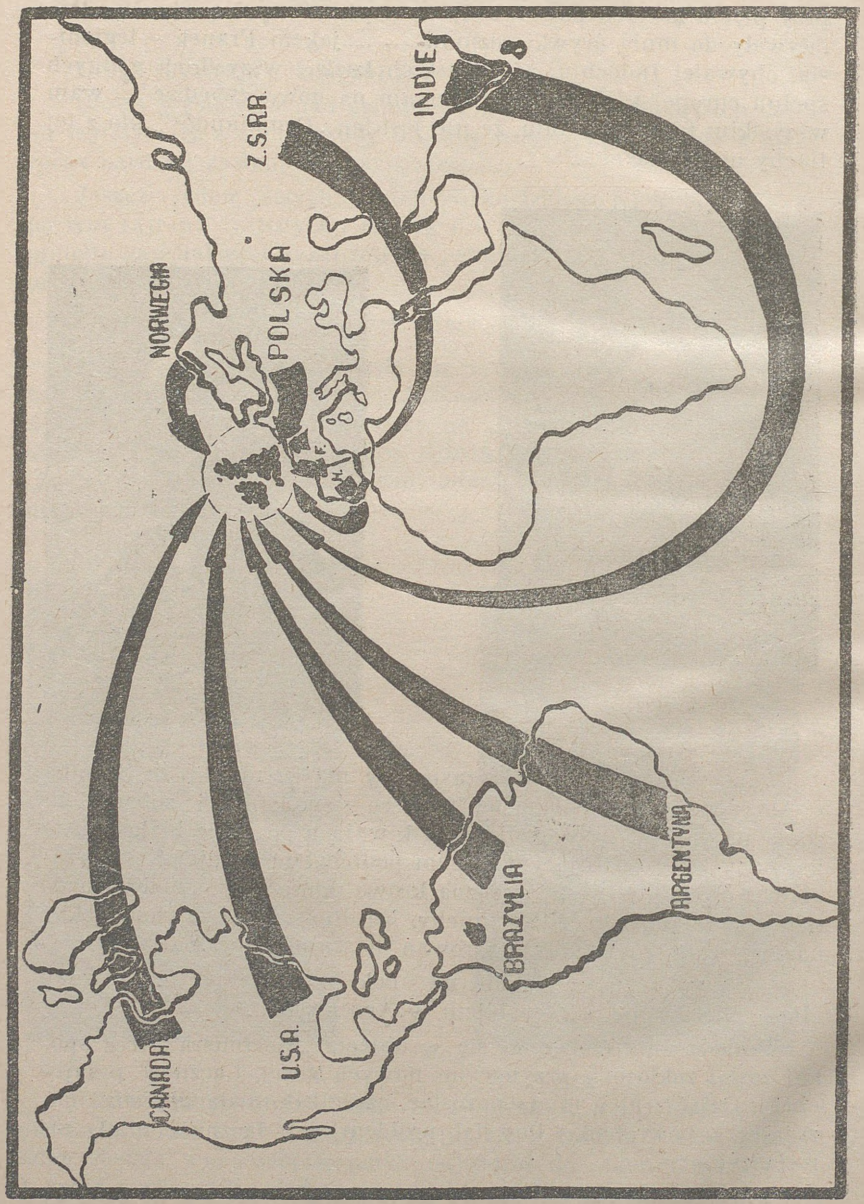

Skąd przybyli ochotnicy...

służbowy przysłuchiwał się już tylko echu melodyjnego chrapania.

Nie mogłem zasnąć tej nocy. Czułem się podniecony tym nowym zbiorowiskiem ludzi, przybyłych ze wszystkich zakątków świata. Myśl moja podróżowała po przestrzeniach ziemi, zastanawiała się nad przebytą przez nich drogą, ich doświadczeniem i celem wędrówki. „Księga Pielgrzymstwa Polskiego" przewijała się przed moją wyobraźnią. Większość tych ludzi musiała cechować twardość charakteru, pociąg do przygód i ryzykownych przedsięwzięć oraz świadomość celu, w jakim tu przyszli...

„Pobudka, pobudka, pobudka — wstać."

Słowa te zerwały mnie na nogi, przypomniały mi, że jestem w wojsku, o zmianach, jakie zaszły w mym życiu i nowych obowiązkach. Godzina po godzinie mijała a chwila mego pierwszego zetknięcia się z dowódcą była coraz to bliższą. W ogonku do kancelarii panowała cisza. Drzwi tylko dzieliły mnie od „starego" — tak go przezwali moi poprzednicy. Niektórzy znali go z Kanady, gdzie organizował Wojsko Polskie. Mówiono o nim, że się dzielnie bił w Polsce i we Francji. Znalazłem się twarz w twarz ze „starym". Spojrzał na mnie badawczym wzrokiem, jak dobry kupiec ocenił mą skromną wartość — kupił mnie. Kupił — wraz z sercem. Cieszyłem się, że zostałem przyjęty do Kompanii. Wiedziałem bowiem, że chwila ta była dla mnie chwilą decydującą.

Dzień po dniu mijał w gorączkowych przygotowaniach do odjazdu. Rozpoczęto wstępne ćwiczenia, które miały podnieść naszą kondycję. Słowo „kondycja" było ulubionym wyrazem zastępcy „starego", od tej pory zapomnieliśmy wszyscy o jego właściwym nazwisku i nikt więcej w Kompanii inaczej go nie nazywał, jak „Kondycja".

Nastąpiły mowy, mówki, przemówienia, parady i defilady wstępne. Po czasie — znów mowy, mówki, przemówienia, parady i defilady pożegnalne. Wszystkie wg planu z góry przygotowanego.

Niezwykłe plotki i opowiadania krążyły na temat naszego przyszłego życia. Któregoś dnia o tych opowieściach z „Tysiąca i jednej nocy" usłyszeliśmy z ust „starego". Okazało się, że jedziemy do Północnej Walii, gdzie czekały na nas „billetingi", tj. prywatne kwatery. Prócz tego nasze przyszłe gospodynie miały nas żywić.

Kara w postaci aresztu została zniesiona i zastąpiono ją karą potrącania z żołdu, następnym zaś wymiarem było wydalenie z Kompanii. Uzyskiwaliśmy całkowitą niezależność w życiu poza godzinami służbowymi a za regularne uczęszczanie na zajęcia każdy z nas był osobiście odpowiedzialny. Była to istna rewolucja w dotychczasowym życiu żołnierskim i niejeden z dowódców zastanawiał się nad skutkami, jakie to za sobą pociągnie. Dochodziło jeszcze do tego zetknięcie się i współzawodnictwo z reprezentacjami armii francuskiej, holenderskiej, belgijskiej, brytyjskiej, norweskiej i jugosłowiańskiej, gdyż Nr. 10 (I. A.) Commando składało się z „troopów" tj. kompanii wyżej wymienionych narodowości. Słowo „troop" niemiło brzmiało w naszych uszach lecz do tego szybkośmy się przyzwyczaili, jak i do myśli o przyszłych zmianach.

Zachować mieliśmy nasze zwyczaje wojskowe, język, dystynkcje itd., a inowacją miały być — zielone berety, angielskie

napisy na rękawach bluz. Wyszkolenie — wyszkoleniem Commandosów brytyjskich.

W związku z tym, zrobił nam „stary" expose tego, czego będzie od nas wymagał i, jak w stosunku do nas będzie postępował. Duży nacisk położył on na koleżeństwo, które ma cechować oddział, na wzajemne zaufanie przełożonego do podwładnego i vice-

versa. Przypomniał o celu, z jakim przyszliśmy do oddziału i o roli, jaką będziemy odgrywać, rzuceni samotnie wśród obcych narodowości i wojsk.

W przededniu naszego odjazdu poszliśmy na mszę św. Typowym przykładem, jak patrzyli na nas koledzy wojskowi, których opuszczaliśmy, było kazanie kapelana. Z bólem serca włożył on nas wszystkich żywcem do trumny i przepowiedział rychłą i bohaterską śmierć.

Nazajutrz — z pewną otuchą — pożegnaliśmy gościnną ziemię szkocką.

J. J.

MELTING POT

Z chwilą przybycia do Fairbourne głównym przedmiotem zainteresowania Kompanii stała się na dni kilka sprawa billetingów. Na swój sposób analizowałem sprawę billetingów, stanowiącą jedną z podstaw naszego wychowania. Wydaje mi się, że billetingi miały w nas wyrobić dyscyplinę wewnętrzną w daleko

dalszym większym zakresie, aniżeli to było osiągalne przy normalnym życiu koszarowym.

Miały one również zwiększyć naszą wydajność pracy (mając na uwadze forsowność wysiłku i wyszkolenia) przez to, że, dając nam odpowiednie warunki, można nam będzie stawiać odpowiednio większe wymagania. Była to ściśle materialna kalkulacja, gdyż byliśmy obliczeni na „jednorazowe" użycie. Każde zaś następne użycie stanowiłoby dywidendę włożonego w nas kapitału.

Jak w prywatnym przedsiębiorstwie tak i u nas złych pracowników należało usunąć. Dobrzy zaś pracownicy przyczynić się mieli do wzrostu naszego mienia, jakim jest Sprawa Polska.

Dla wydajności pracy należało wyrobić inicjatywę własną, niezbędną w operacjach „Commando", jak i dużą dozę przedsiębiorczości w poszczególnym żołnierzu. Ponadto wzbudzić wzrost zainteresowania do wojska przez osobliwy tryb i warunki życia.

Wyraz tej osobliwości i naszego Esprit de Corps stanowił Zielony Beret. Tym też tłumaczy się waga, jaką każdy „Commandos" od pierwszej chwili przywiązał do swego beretu, tym bardziej, że dochodzi do tego chwała żołnierska, jaką się okryły bratnie nam oddziały, wyszkolone na tych samych zasadach, które i nas czekały.

Billetingi były różne, w domach bogatszych bardziej komfortowe, w biedniejszych nieco mniej dogodne. Jedne były blisko dowództwa, inne dość oddalone.

Gospodynie przyjęły nas z różnych powodów: jedne dla zarobku, inne — a liczba ich przeważała — aby w ten sposób mieć swój udział w zbiorowym wysiłku wojny. Były i takie, które przyjęły nas z sympatii dla Polaków, choć (jak się same przyznawały) mało o Polsce i Polakach wiedziały. Słyszały one tylko, że jest to dzielny Naród, no i do tego słowo — Commando — całkiem je rozbrajało.

Pierwszym naszym egzaminem było wejście w dobre stosunki z gospodarzami. Wielu z nas nie mówiło po angielsku, narzecze szkockie było bezużyteczne a już żaden z nas nie potrafił rozmówić się po walijsku.

Pomału musieliśmy się przyzwyczajać do fantazji, zwyczajów lub nałogów naszych żywicieli. Tak na przykład niekroć wracałem do domu, zawsze musiałem w garażu zdejmować buty i nakładać tenisówki. Gospodarze moi byli to ludzie starsi i lubieli w domu spokój — co zresztą w zupełności mi odpowiadało.

Doświadczenie wykazało, że ci z kolegów, którym przypadły piękne i młode gospodynie (a było ich na szczęście bardzo mało), byli dużo gorzej odżywiani od nas, to jest tych, którzy się dostali w ręce ludzi starszych. Rywalizacja i zazdrość o piękne gospodynie z tych to też powodów wnet ustała.

Niezależność — była dominującą cechą naszego nowego życia. Życie Kompanii wg programu kończyło się z chwilą ukoń-

czenia zajęć, a wówczas każdy zajmował się tym, co go najbardziej interesowało. Jedni siedzieli w domu, gawędząc z gospodarzami, lub czytali książki, inni podążali do sąsiedniego miasta, odległego o trzy mile, gdzie mogli znaleść wszelakie pożądane rozrywki. Byli i tacy, którzy strasznie nudzili się i nie mogli zapomnieć życia koszarowego w Szkocji.

Z tym nowym życiem powstały nowe kłopoty. Wiadomo, że kobiety kierują się przeważnie sercem a nie rozumem, zaczęły więc i nasze gospodynie ubolewać nad naszym biednym losem. Twierdziły one, że jest to nieludzkie traktowanie, gdyśmy mieli zajęcia na dworzu w dni deszczowe; mawiały one, że należy zreformować wojsko i raz na zawsze położyć kres tym okrucieństwom itd. Któregoś dnia jedna z gospodyń przyleciała do naszego D-cy ze skargą, że jej „boy" za mało się odżywia, że to tak dalej być nie może — i „że pan kapitan musi na to wpłynąć". Jeżeli zaś jej „boy" nie lubi potraw przyrządzanych po walijsku — to prosi ona, aby ją nauczono, jak gotować strawę po polsku. — Od tego dnia zawstydzony „Commandos" zaczął tyć... tyć... tyć... i zapewne by pękł, gdyby nie to, że czekała go w najbliższym czasie kuracja odtłuszczająca.

Kompania szykowała się do oficjalnego wstąpienia w rodzinę 10 I. A. Commnado, które miało nastąpić w dniu pierwszej parady przed jej D-cą ppłk. Lister'em.

Stoją od lewej: Capt. Lutyens (Of. łącznikowy), Capt. Clark (Adiutant), Lt. Col. D. S. Lister MC (Dca; Maj. Laycock (Zast, Dcy; Capt, Hilton-Jones (Dca 3 Komp.); Capt. Hodges (Lekarz). Siedzą: rtm. Wołoszowski (Zast. Dcy 6 Komp. Polskiej); Cpt. Mulers (Dca 2 Komp., Holenderskiej; Cpt. Danloy (Dca 4 Komp., Belgijskiej); Capt. Hauge (Dca 5 Komp., Norweskiej); Capt. Kieffer (Dca 1 Komp., Francuskiej).

Nadszedł uroczysty dzień. Przegląd wypadł, jak najpomyślniej. Po przeglądzie pułkownik wygłosił krótkie przemówienie. Powiedział on: „...Z dniem dzisiejszym stajecie się częścią składową 10 Commando... Warunki życia w Commando będziecie mieli o wiele lepsze, niż w jakiejkolwiek innej jednostce. Będziecie żyli i będziecie traktowani, jak „gentlemeni". W zamian za to będę wymagał od was przede wszystkim kompletnego zdyscyplinowania, które jest czynnikiem zasadniczym w duchu Commando... Prócz tego oczekuje was ciężka praca, która będzie trwała przez cały okres szkolenia... Będzie to wymagało wiele samozaparcia i dobrej woli z waszej strony... Po zakończeniu szkolenia przyrzekam wam szybki udział w akcji... W godzinach wolnych znikają wszelkie zapory, które nas dzielą w służbie. Chcę, abyście wtedy byli w najlepszych stosunkach przyjacielskich, bez względu na stopnie i funkcje... Wtedy ja, wasi dowódcy i wy możemy i powinniśmy razem pić i bawić się... Commando nasze nie jest zwykłą jednostką. Jest ono zbiorowiskiem różnych narodowości... Gdy będziecie się stykać z kolegami innych narodowości i innych Troopów, pamiętajcie o tym, że jesteście Commando'sami i Commando'sami wyłącznie... Jeżeli zauważę, że któryś z was wdał się w bójkę z żołnierzem angielskim — to ja, Anglik, przyjdę z pomocą wam a nie jemu... Z przeglądu jestem w zupełności zadowolony i gratuluję p. p. oficerom i szeregowym.

...W parę dni po przeglądzie pierwsza drużyna wyjechała na cały tydzień na wartę do naszego dowództwa w Harlech.

Godziny wolne od zajęć spędzaliśmy w „Melting Pot", klubie i barze naszego Commando.

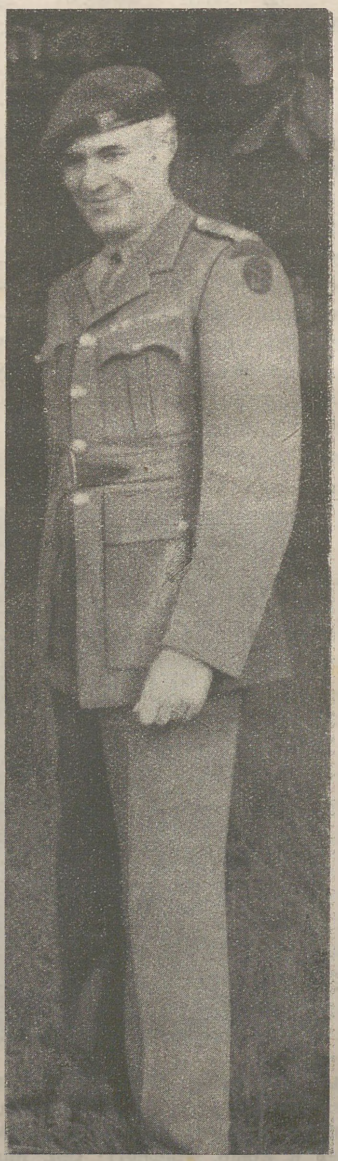

Dowódca 10 Commando.

W tym to „Melting Pot" nawiązaliśmy nasze pierwsze przyjaźnie na gruncie międzyalianckim. Piwo było wybitnie smaczne a nikt chyba tak fachowo nie ścinał z niego grzybka, jak nasz „barman". Nikt również nie potrafił mu dotrzymać towarzystwa w opróżnianiu kufli. On zaś uważał za swój punkt honoru napicie

się z każdym nowoprzybyłym gościem. Whisky tu nie brakowało a Gin był ulubionym napojem płci pięknej.

W naszym „Melting Pot" mielono wszystkimi językami, mielono o wszystkim — o polityce i nauce, o wojsku i cywilu, o kobietach i muzyce. Do dyskusji i rozmów, prowadzonych w najpoważniejszym tonie, mieszał się frywolny żarcik lub hałaśliwy

Dca 6 Komp. „Commando" melduje Kompanię do przeglądu D-cy 10 Commando.

wybuch śmiechu. Zapomniano tu o różnicach stopni i narodowości. Polak śpiewał z Norwegiem ludową pieśń holenderską, Holender zaś wznosił toast na naszą cześć, mówiąc po polsku „na zdrowie" — pułkownik pił ze strzelcami a żona jego gawędziła z żoną kaprala brytyjskiego. Panował tu duch prawdziwej demokracji i nie pamiętam, aby kiedykolwiek w naszym „Melting Pot'cie" powstało najmniejsze nieporozumienie lub jakikolwiek nietakt. Pamiętam natomiast, że niejeden z bywalców nieraz był w siódmym niebie i nieraz miał z lekka w czubie.

Skończyła się warta lecz nie przestaliśmy uczęszczać do „Melting Pot".

J. J.

W ACHNACARRY

Siedzę zanurzony po pas w zimnej wodzie górskiego strumienia i kępą wrzosu zmywam z munduru lepki torf, przylegający szczelnie do drelichu. To jedyny sposób, aby szybko oczyścić się po przebyciu jednego z licznych torów przeszkód. Czołganie się w bagnie pod ogniem zapory płaskiej, skoki z wysokiego płotu w rozmiękłe torfowisko, lądowanie „mokre" na brzegu jeziora, czy zjazdy na linie w ulewnym szkockim deszczu tak przemoczyły już ubranie że wejście w nim w rzekę, aby się umyć, nie sprawia mi żadnej różnicy. Na górach leżą śniegi — u nas w dolinie biały szron pokrywa wrzosowiska — a mimo to nie czuję chłodu. To pewnie dlatego, że wszystkie zajęcia odbywają się w biegu a nawet przerwy wykorzystane są na przebiegnięcie z jednego rejonu ćwiczeń w drugi. No i marszobiegi też mają swoje znaczenie.

— Chyba zaraz po kolacji spać pójdę — dochodzi mnie głos Jurka, chlapiącego się w wodzie koło mnie — dziś wyjątkowy dzień bez nocnych ćwiczeń a nóg już wogóle nie czuję.

— Szkoda iść spać — odpowiada ktoś z boku — bo w dużym baraku ENSA wyświetla dziś film.

— Co grają?

— Podobno „Tarzana"...

Zrzucam w baraku mokry drelich i wdziewam suchy mundur... Suchy? — raczej problematycznie, bowiem stały deszcz, mgła i błoto sprawiły, że wszystkie nasze rzeczy, nawet te, które wiszą przy pryczy, nasiąkły ciężką, lepką wilgocią. Po kolacji szybko pędzę do kina. W zimnym baraku słychać tylko tupot nóg o betonową posadzkę — bezskutecznie usiłujemy się rozgrzać.

Na ekranie rozświetla się słoneczny krajobraz podzwrotnikowej puszczy. Nagi Tarzan skacze po drzewach w gorącej ule-

wie słonecznych promieni — ale nawet ten widok nie potrafi nas rozgrzać. Gdzieś z wierzchołka drzewa zwinna sylwetka zjeżdża błyskawicznie na ziemię po grubej lianie.

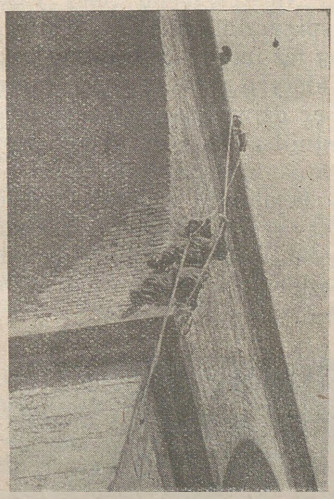

„LINOŁAZY" ĆWICZĄ

— No wiesz, w ten sposób, bez żadnego stylu — odzywa się głos poza mną — to ja już teraz lepiej potrafię.

— A ten zeskok pokraczny... dobrze mu tak, bez plecaka i karabinu; gdyby mu dali broń, napewno wybiłby sobie zęby kolbą.

Nie imponują nam małpie wyczyny Tarzana. Tory przeszkód, wspinaczka górska, łażenie i zjazdy po linie wyrobiły naszą zręczność, śmiałość decyzji i odwagę. Wiemy już, że przy specjalnym wyszkoleniu i stałym treningu można wykonać rzeczy, które niedawno zdawały się nam fantastycznie trudne lub wręcz niemożliwe. To też, rozchodząc się z kina krytykujemy film — nie dlatego, by nam się nie podobał, czy też gra artystów nie odpowiadała nam — poprostu omawiamy techniczne usterki „commandosowego" wyszkolenia samej osoby Tarzana.

Brnąc w lepkiej mazi błota dochodzimy do wilgotnych i zimnych baraków. Szczękając zębami zawijamy się w koce i kładziemy na twardych drewnianych pryczach, nie myśląc o tym, że na długo przed świtem poderwie nas przeraźliwy głos angielskiego sierżanta robiącego pobudkę. I zasypiając marzę o Tarzanie — o ileż przyjemniej mu było... ciepło, słońce... owoce... i ostatecznie spotkał piękną, białą kobietę... A tego tu nie ma nawet na lekarstwo.

M. D. Z.

WOJENNE TATERNICTWO

Nieszczęściem całej jednostki było, że nasz instruktor od wspinaczki był przed wojną zapalonym taternikiem, alpinistą, czy też innym „górołazem", dość powiedzieć—jednym z tych ludzi, o których mówiono, że drapią się tam, gdzie ich nie swędzi. Nic więc dziwnego, że ku naszemu utrapieniu uważał wspinaczkę za najmilsze zajęcie a góra zaczynała się dlań dopiero wtedy, gdy ściana nie odbiegała wiele od pionu. Więc zamiast ćwiczyć nas na łagodnych zboczach, gdzie pasą się przyjemnie stada owiec i zawsze za jakimś krzakiem można skryć się przed wzrokiem przełożonego — wynajdywał gołe skały gdzie, niezależnie od ciężkiej pracy, człowiek był ciągle widoczny, jak sznycel na patelni.

Nie odrazu oczywiście poszliśmy w wysokie góry. Początkowo Commandosi obsiadali nadmorskie skały, niczym mewy i trening odbywaliśmy na dużych głazach, wywołując zdumienie wśród miejscowej ludności. Bo niby i poco włazić na kamień z jednej strony, by zaraz zejść z niego z drugiej. Albo poco męczyć się na pionowej ścianie, kiedy można o metr obok wyjść zupełnie łatwo. Ale Commandosi widocznie już wszyscy są anormalni. Zresztą najlepszy tego dowód dali tym, że ochotniczo zgłosili się do Commando. A przecież można tak miło przeżyć całą wojnę służąc w orkiestrze wojskowej lub w centralnych magazynach — jak to tłumaczył nam kiedyś znajomy tubylec.

Potem przyszła kolej na małe skałki, kamieniołomy — a nawet okazało się, że filary mostu są doskonałym polem treningowym. Do wojskowego słownictwa zaczęły się wkradać obce dotychczas terminy techniczne, jak rysy, żleby i przewieszki, zapieranie się i trawersowanie a do ekwipunku doszły liny, haki, czekany i młotki.

Z dnia na dzień pogłębialiśmy swą wiedzę wojskowo – alpinistyczną. A więc używanie różnego rodzaju lin, bicie haków, sposoby ubezpieczania się itp. Osobny dział stanowiło wciąganie sprzętu i zjazdy na linie. Skały były nieraz pokryte prawdziwą

pajęczyną lin. W górę — niby wagoniki kolejki linowej — jechał cięższy sprzęt, w dół zjeżdżali szybko zdrowi a powoli spuszczało się pozorowanych „rannych". Specjaliści ćwiczyli pionowe zjazdy na linie, pokonując kilkudziesięciometrowe urwiska zaledwie kilkoma skokami. Znalazł się nawet jeden taki, który skoczył nie używając liny. Na szczęście skończyło się tylko szpitalem. Na szczęście — dla pozostałych kolegów — bo kwiaty na trumnę są teraz bardzo drogie.

Wreszcie skończyło się łażenie po małych skałkach i poszliśmy na prawdziwą wspinaczkę. Idziemy rzędem, długi wąż wije się po olbrzymim stożku piargów, wyrastającym z jeziora i prowadzącym w ujście czarnego żlebu. Na czele idzie instruktor, za nim trójka naszych najlepszych wspinaczy, objuczona linami, hakami i młotkami. Co chwila patrzą na skałę i dyskutują zawzięcie. Dla nas w górze jest tylko jedna pionowa ściana — oni widzą w niej jakieś żleby, rysy, kominy, rynny, półki; zacięcia i wynajdują dziesiątki dróg tam, gdzie większość nie widzi wogóle możliwości przejścia. I mówią o tym z takim ożywieniem i zainteresowaniem, jakby to była jakaś najbardziej pasjonująca kobieta. Doprawdy dziwny naród te „zakopiańce".

Pokonując niewielki próg wchodzimy w mroczną czeluść żlebu, ale już wkrótce trawiasty trawers wyprowadza nas na ścianę. Ubezpieczeni liną wspinamy się na strome płyty, czołgamy się pod przewieszkami, trawersujemy wąskie półki i mozolnie wdrapujemy się po uskokach skały. „Toggle-rope'y" odgrywają

doskonałe usługi przy ubezpieczeniu i wciąganiu sprzętu. Czasem trzeba konstruować prawdziwe kolejki linowe, by podciągnąć wyżej moździerze czy elkaemy. Osobna grupa zajmuje się windowaniem naszej maskotki „Myszki". Pies, który dzieli wszystkie

trudy Commando, oczywiście bierze też udział we wspinaczce. Kosztuje go to dość dużo wysiłku i większe uskoki pokonuje tą samą metodą co kaem — jest wciągany na linie.

Ściana jest zupełnie pionowa, expozycja wzrasta. Wprost pod naszymi nogami widzimy głazy na brzegu jeziora — gdyby któryś z nas odpadł, nie byłoby nawet co zbierać. Stoimy u wylotu komina — w dole ktoś klnie, bo „tommy-gun" przytroczony do tornistra zaklinował się w szczelinie skalnej i nie puszcza ani w przód ani w tył. W górze, pod dźwięk wbijanego haka, słyszymy rozmowę:

— Adaś — mówi nasz instruktor do Adama, który w kominku, rozkraczony niby baletnica w szpagacie, mocuje się z opornym hakiem.

— Tak jest, panie poruczniku — odpowiada Adam i tu czujemy całą jego tragedię. Bo Adam jest strasznym służbistą i zdyscyplinowanym żołnierzem i, co chwila strzela obcasami a jak się melduje, to szyby dzwonią w całym gmachu dowództwa. A tutaj nie może nawet powoli ściągnąć nóg do siebie, ani przyłożyć ręki do czapki. Ale porucznik nie ma zamiaru prowadzić rozmowy na tematy służbowe.

— Wiesz Adaś, przypomniało mi się, jak kiedyś z twoją siostrą robiliśmy grań Kościelca...

Dlaczego porucznik to teraz mówi? Dlaczego teraz, kiedy w upale i znużeniu zapomnieliśmy o wszystkim, co zostało w dali i myślimy tylko o naszej robocie, o wspinaczce, o biciu haków, o tym, że trzeba uważać na kruche chwyty i, że daleko pod nami jest toń jeziora, z nad którego przed kilku godzinami rozpoczęliśmy wspinaczkę — dlaczego teraz właśnie przywodzi na myśl tyle drażniących wspomnień? Bo przecież każdy z nas ma z gór jakieś wspomnienia: jedni z podniebnych wędrówek skalnymi szlakami, inni ze zwykłej wycieczki autobusem do Morskiego Oka, jeszcze inni z podkarpackich lasów a wreszcie niektórzy poprostu z dancingu u „Trzaski", czy okazyjnej wódki u „Jędrusia".

— Uwaga. Kamień! — woła ktoś z góry i głaz wielkości conajmniej dwóch plecaków spada z hukiem, obijając się o ściany

żlebu. Przywieramy do skał, starając się poprostu wrość w nie, by zniknąć z drogi groźnemu przybyszowi. Głaz rozbija się na dwie części — jedna z nich wali wprost na Wojtka, który usiłuje stać się jak najmniejszym. Nie bardzo mu się to udaje; kamień zawadza na szczęście tylko o karabin przewieszony przez plecy a potem huczy w dole, rozpryskując się w lawinę drobnych kamyków. Skończyło się na strachu i wielkim sińcu na plecach.

Mozolnie pchamy się kominkiem w górę, potem idziemy jeszcze trawiastym żlebem, by wejść wreszcie w mocną, łatwą skałę. Zwijamy liny i po chwili mamy zasłużony odpoczynek na szczytowej płaśni. Rozglądamy się wokoło na góry zalane słońcem, patrzymy z uczuciem dumy na przepaść u naszych stóp, z której dopiero co wyszliśmy i obserwujemy białe obłoki płynące leniwie po niebie. Nasz instruktor siedzi na krawędzi i mimowoli gładzi dłonią powierzchnę skały. Patrzę na tę dziwną pieszczotę i zaczynam rozumieć ludzi gór. Wiem, że dla niego nie ma teraz wojny, nie ma wojska, nie ma wszystkich codziennych kłopotów — jest tylko jedna rzecz: skała.

Taka sama skała, jak w Tatrach... ale nie ta sama.

MACIEJ DRZEWICA

ĆWICZYMY LĄDOWANIE

Siedzimy we wnętrzu naszej łodzi, która kołysze się na falach a monotonny warkot motoru działa usypiająco. To też niektórzy wtuliwszy się ciasno w kąt ławki, drzemią niezgorzej, inni usiłują skrócić oczekiwanie grą w oko, inni wreszcie przez rozsunięte szczeliny w „canapies" spoglądają na błękitne w słonecznym dniu fale morza i starają się wypatrzyć cel, do którego zdążamy. Morze jest tak łagodne, że sternik oddaje koło naszemu doktorowi, który jest entuzjastą wszelkiego rodzaju pojazdów motorowych bez względu na to, czy poruszają się one po ziemi, czy też po wodzie. Wzbudza to poruszenie wewnątrz łodzi; wszyscy sprawdzają pasy ratunkowe i nadymają mocniej „meaweskl". Z dwojga złego już lepiej mieć doktora w roli „łapiducha" niż sternika. Od aspiryny jeszcze nikt nie umarł a od sterowania... trudno narazie przewidzieć.

Białe kredowe skały zbliżają się coraz bardziej — z łodzi dowódcy kolorowe chorągiewki sygnalizują rozkazy. Gdzieś pada strzał i nasze spokojne, puste na pozór łodzie nagle ożywają. Ze skał łupią się odpryski po seriach kaemów i p-panców. Pociski moździerzy wykwitają pomarańczowymi bukietami na gołej bieli kredy. Podjeżdżamy bliżej — na brzegu wyrasta gęsty opar za-

słony dymnej — krótka komenda, z wysokiego dziobu łodzi skaczemy w płytką wodę i po chwili drapiemy się już po skałach wybrzeża.

Ale nie zawsze jest woda płytka i częściej ląduje się w nocy, niż w dzień.

Jest mglista, ciemna noc — bezszelestnie wyczołgujemy się na pokład i schodzimy w dół opuszczonym pomostem. Cichy plusk i mój poprzednik znika mi z oczu. W tej chwili i ja znajduję się w wodzie. Jest mi zimno i niemiło — woda przesiąka momentalnie przez mundur, wlewa się za kołnierz, na ustach czuję słony smak a zęby zaczynają dygotać, jak w febrze. Próbuję zgruntować, ale stopy nie dotykają dna. „Maewestka" trzyma dobrze na powierzchni, mimo pełnego ekwipunku. Jedną ręką unoszę wysoko tomigan, drugą wiosłuję — przede mną i za mną, z prawej i lewej, dziesiątki takich samych, jak ja, postaci borykają się z wodą.

Gdzieś, o trzysta metrów przed nami, jest brzeg. Po chwili już nie płynę, lecz idę po dnie na czubkach palców, unoszony ku górze przez fale... wreszcie woda sięga mi tylko do pasa... do kolan... do kostek i wychodzę na brzeg. Zimny wiatr owiewa, zęby szczękają tak, że chyba je słychać na kilometr w koło a tu trzeba leżeć bez ruchu, bo nieprzyjaciel może być o kilka metrów a zaskoczenie musi być całkowite.

Gorsze uczucie jest, gdy trzeba w nocy z brzegu iść w wodę, by dostać się do łodzi. Tam trzeba było tylko jednego skoku z pomostu i już się było w wodzie — tu idzie się po płaskiej plaży i woda powoli (ach, jakże powoli) podchodzi coraz wyżej i wyżej. I jeszcze nie wiadomo, czy we mgle trafi się do łodzi — jakże łatwo jest z łodzi trafić na brzeg lecz jakże trudno czasem znaleść wśród nocy tak mały przedmiot, jakim jest nieoświetlona i pomalowana na kolor ochronny łódź, stojąca zdala od brzegu.

Ale, że życie musi być wesołe, więc nie przejmujemy się takimi drobnostkami, jak „mokre lądowanie" i z humorem wspominamy rozmaite przygody. Raz łódź stanęła na mieliźnie na środku zatoki a, że był to właśnie czas odpływu, więc, zanim marynarze powzięli decyzję, woda tak obniżyła się, że musieliśmy czekać, aż przypływ podniesie naszą barkę. Kilka długich, nudnych godzin spędziliśmy na „oku" i pokerze i kloś słusznie zauważył, że chociaż łódź nie płynie, zato forsa płynie doskonale. A jeśli kloś się spi.cze tak, że mu „ściągną spodnie" — to tym lepiej, bo ich nie zamoczy przy lądowaniu.

Innym znów razem podsłuchałem rozmowę dwóch przyjaciół tuż przed lądowaniem. Jeden z nich pływał doskonale, drugi nie umiał pływać wcale. Więc pływak powiada: — „Trzymaj się blisko mnie, to w razie czego pomogę ci" — ale gdy przyszedł mo-

ment lądowania, pływak prysnął szybko i w parę minut był na brzegu a przyjaciel zielony z zimna i strachu długo grzebał się w wodzie.

— Wiedziałem, że „maewestka" utrzyma cię doskonale a przecież musimy się uczyć samodzielności — tłumaczył potem pływak na brzegu.

Ćwiczymy lądowanie, pływamy po morzu z tą nadzieją, że kiedyś płynąć będziemy Bałtykiem i lądować będziemy na polskim wybrzeżu. I wszyscy mamy tę samą myśl, to samo życzenie — zarówno Polacy jak i Commandosi innych narodowości, jak wreszcie brytyjscy marynarze — aby jak najprędzej móc stanąć na kontynencie. I tą myślą zjednoczeni tworzymy jedną zwartą gromadę.

M. D. Z.

CICHA ROBOTA

O szarym świcie niewielka łódź wpływa wgłąb wciętej w skaliste góry zatoki. Karabin maszynowy na dziobie czatuje, czy gdzieś z brzegu nie padnie strzał, by krótkimi seriami odszczekać na ogień przeciwnika. Ale wszystko jest spokojne i jakby uśpione w mgle poranka. Podpływamy do brzegu — pada cicha ko-

menda „lądуj" i skaczemy w płytką w tym miejscu wodę. — W chwilę później łódź jest już dobrze ukryta w złomach kamienia a my pniemy się po stożku piargów, wiodącym do ujścia wielkiego, czarnego żlebu. Żaden ślad nie wskazuje, że przed chwilą odbyło się tu lądowanie. Nasz dowódca wybiera przez odludne góry taką drogę, o której przeciwnik wogóle nie sądzi, by była możliwa do przejścia.

Po bezdrożach górskich, zdala od ludzkich siedzib i szlaków komunikacyjnych, wykorzystując wszelkie ukrycia terenu, sunie wąż komandosów. Przechodzimy kamienne złomy, mijamy jeziora, suwamy wolno nogami w miękkiej górskiej trawie — słońce zatoczyło już duży łuk nad naszymi głowami i znużenie zaczyna

wchodzić w stopy. Ukryci wśród wielkich głazów wypoczywamy i zjadamy część naszych „wypadowych" racji. Leżąc, patrzę na niewielkie białe obłoki, sunące leniwie po niebie i na chwilę mam złudzenie, że to polskie niebo rozbłękitniło się nad nami. Towarzysze rozmawiają półgłosem i widzę, że nie tylko ja wracam myślą w przeszłość. Adam i Maciek rozprawiają o przebytej wspinaczce i nagle w rozmowie schodzą na tatrzańskie wspomnienia; Franek, jak zawsze, z ożywieniem opowiada niezliczone przygody, jakich zaznał, służąc w Legii Cudzoziemskiej w Indochinach i Afryce; Benek ciągle twierdzi, że tylko w palestyńskiej policji można się było czegoś nauczyć; dwaj inni staczają słowny pojedynek co było lepsze: Brazylia czy Argentyna. Każdy mimowoli wraca myślą do miejsca, gdzie spędził swoje najlepsze lata, ale każdy, bez względu na to, skąd przyszedł i jaką drogą, pragnie jednego — jaknajszybciej poprzez zwycięską walkę znaleść się w Polsce.

Nie ma czasu na długi odpoczynek. Szybko ruszamy dalej i zaczynamy schodzić w doliny. Ruch jest coraz wolniejszy i coraz ostrożniejszy. W siatkach na twarzy czołgamy się nieraz na dużych przestrzeniach; zboża, żywopłoty a nawet bruzdy między zagonami dopomagają nam do niewidzialnego marszu. Wieczorem osiągamy wreszcie zalesiony pagórek, skąd mamy widok na miasto, cel naszej wyprawy. Przez lornety obserwujemy ruch na szosach i ulicach miasta. Spora ilość wojsk „nieprzyjacielskich" kręci się wszędzie. Porównujemy nasze plany i szkice z rzeczywistością i ustalamy na tej podstawie ostatnie szczegóły. A potem czekamy, aż zmrok zapadnie.

Wreszcie możemy wyruszyć. Podzieleni na małe grupki, penetrujemy wgłąb miasta przez podwórza i ogrody, aż znajdujemy się wreszcie w pobliżu gmachu dowództwa dywizji. Część ubezpiecza, trzech ma dostać się niespostrzeżenie do wnętrza i wykraść potrzebne dokumenty. Nasza grupka, czołgając przesuwa się wzdłuż muru ulicy. Wartownik przed gmachem pozostał za nami; grupa wypadowa ostrożnie przeszła już mur i jest w ogrodach dowództwa. Nagle z za węgła wychodzi inny wartownik i idzie wprost na nas. Zamieramy, bez ruchu leżąc na chodniku, przyciśnięci — zda się wrośnięci — do muru. Intruz jest zaledwie trzy kroki od nas. Jest bardzo ciemno, ale niewątpliwie musi nas dostrzec. Nie ma czasu na namyślanie się, czy wydawanie rozkazów, ale każdy z nas wie, co ma robić. Szybka decyzja: pierwszy zrywa się i błyskawicznym ruchem — jakby na najlepiej przygotowanym pokazie walki wręcz — skacze na przybysza, zatykając mu usta ręką. Jedyny odgłos to miękki upadek dwóch ciał na ziemię. Pozostali natychmiast kneblują powalonemu usta, związują „toggle-rop'ami" i zanoszą w ciemną wnękę muru. I znów cisza panuje wokoło. Czas dłuży się niemiłosiernie, jakiś samochód przejeżdża ulicą i ledwo możemy ukryć się przed przyciemnionymi światłami reflektorów. Wreszcie umówiony sygnał

oznajmia, że zadanie wykonane. Równie ostrożnie, jak poprzednio wycofujemy się za miasto. Przechodzimy wysokie płoty, przesuwamy się wśród kolczastych drutów, czołgamy się w wąskich przepustach pod drogami. Ktoś szeptem zauważa: „Tak klątem zawsze na te wszystkie tory przeszkód a jak to jednak w akcji się przydaje".

Na wschodzie poza odległą, poszarpaną granią gór, zaczyna się niebo rozjaśniać. Odwrót wykonujemy inną drogą, gdyż wprawdzie staraliśmy się nie pozostawiać w marszu żadnych śladów, ale przeciwnik mógł zawsze odkryć coś podejrzanego i zgotować nam niespodziankę. Z początku posuwamy się powoli, klucząc wśród zaludnionych osiedli. Gdzieś przegradza nam drogę polowa linia telefoniczna. Jeden z naszych łącznościowców tnie ją z rozkoszą na drobny makaronik, delektując się zemstą za tyle lat ciężkich udręk służby telefonisty.

Minąwszy gęściej zaludnione okolice — ruszamy już szybko naprzód. W pewnej chwili nadbiegamy na zadrzewiony, stromy brzeg. Dwadzieścia metrów poniżej nas huczy spieniona górska rzeka. Trzeba zorganizować szybką przeprawę, by jaknajszybciej odciąć się od „nieprzyjaciela", który chyba już spostrzegł co się stało w jego dowództwie. Rozwijamy liny i najlepszy z naszych pływaków zsuwa się z urwiska w głębie rzeki. Widzimy jak boryka się, znoszony przez prąd, ale po chwili jest już na przeciwległym, niskim brzegu i rozwiązuje umocowany do pasa koniec długiej liny. Po chwili naprężony sznur, biegnący ze stromego brzegu pod kątem 45 stopni, stanowi świetną szynę kolejki linowej poprzez przeszkodę. Każdy z nas zarzuca kolejno na linę pętlę z „toggle-ropu" i, przypominając sobie dawne zabawy w „Luna Parku", zsuwa się szybko w dół, lądując przepisową przewrotką „spadochronową" na drugim brzegu. Odcinamy linę, pozostawiając za sobą wodną przeszkodę i suniemy dalej.

Po południu osiągamy brzeg morski, tworzący łagodną plażę w tym miejscu i zaszywamy się wgłąb gęstych nadbrzeżnych zarośli, gdzie oczekujemy nadejścia nocy. Znużeni drzemiemy, oddając się zasłużonemu wypoczynkowi. W pewnej chwili słyszymy warkot motoru nad sobą — to Mustang z dywizjonu, pracującego po naszej stronie sprawdza, czy jesteśmy w umówionym miejscu. Sygnaliści wysuwają się ostrożnie z zagajnika i wykładają płachtę tożsamości. Samolot odlatuje, dając wahaniem skrzydeł znak, że zrozumiano.

Zapadł zmrok. Wychodzimy na plażę, ubezpieczając się ze skrzydeł i od tyłu. Wprawne ucho chwyta od strony morza cichy szum motoru. Gwiaździsta rakieta wskazuje nasze miejsce i po chwili siedzimy na motorowych łodziach wśród marynarzy, noszących na ramieniu ten sam znak co i my — znak „Combined Operation", skrzyżowane skrzydła, kotwicę i karabin, symbolizujące trójcę broni na lądzie, morzu i w powietrzu.

MACIEJ DRZEWICA

COMMANDOSI TO MY...

(Piosenka śpiewana na melodię „Tipperary")

Pozostały za nami w dali
Szkockie deszcze, szkockie mgły...
Każdy z nas się do czynu pali,
Każdy ziścić chce swe sny.
Żegnaj słodką Szkocję
I beztroski życia tryb...
Teraz masz znój, trudy i emocje —
Commandosi — to my!

Ani skały, ani morze
Nie przerażą dzisiaj nas —
Niech rozbłysną krwawe zorze
I do boju przyjdzie czas.
Płyńmy ciemną nocą
Pod osłoną szarej mgły,
By na lądzie zmierzyć się z przemocą...
Commandosi — to my!

Gdy z wyprawy powrócimy,
Słodkie dziewczę czeka nas,
Lecz, gdy do niej się tulimy
Tak myślimy wszyscy wraz:
Może świt rozbłyśnie,
Może spełnią się me sny — —
Polskie dziewczę mocno nas uściśnie...
Commandosi — to my!

MACIEJ DRZEWICA

DROGA NA FRONT

Z KRONIKI

W miesiącu sierpniu 1943 r. rozkazem Dowódcy Combined Operations Lorda Louis Mountbatten zostało postanowione, że kompanie polska i belgijska 10 Commando wejdą w skład 2 Special Service Brigade (2 S. S. B-de), działającej obecnie na froncie włoskim.

W dniu 5 września 1943 pożegnał kompanię Naczelny Wódz Gen. Kazimierz Sosnkowski. W Eastbourne, na terenie Devonshire Park, odbył się przegląd kompanii przez Naczelnego Wodza, poczym nastąpiła defilada, wieczorem zaś oficerowie kompanii podejmowali obiadem Naczelnego Wodza, przedstawiciela Combined Operations, gen. maj. Haydon DSO, OBE, oraz przełożonych i kolegów z 10 Commando.

Dnia 13 września rano kompania opuściła Eastbourne i transportem kolejowym udała się do Greenock, koło Grasgowa, skąd na pokładzie statku „CAMERONIA" w dniu 15 września odbiła od brzegów Wielkiej Brytanii. Po 8—dniowej podróży przez Atlantyk, cieśninę Gibraltarską i Morze Srodziemne, nastąpiło wylądowanie w porcie Alger.

Od 23 września do 23 listopada kompania przebywa wraz z kompanią Belgów w „P" Reception Camp pod Algerem, odbywając szereg ćwiczeń w nowych warunkach terenowych i klimatycznych. Wkrótce dołącza do grupy część kompanii trzeciej (mieszanej) i część kompanii jugosłowiańskiej z 10 Commando i, wraz z nami i Belgami, tworzy oddział wydzielony (detachment) Nr. 10 Commando.

W okresie tym żołnierze kompanii organizują kilka obchodów i uroczystości. Tak więc skromnym ogniskiem święcone było święto Kompanii dn. 10 października (Rocznica wejścia kompanii w skład Nr. 10 Commando), następnie zaś zorganizowano rewię i ognisko obozowe w dniu

24 października dla członków kolonii polskiej z El-Biar. Święto Niepodległości 11 Listopada obchodziła Kompania wraz z całą kolonią polską z Algeru na przedmieściu tegoż miasta El-Biar. Po nabożeństwie odbyła się Akademia z udziałem Ambasadora R.P.p.K. Morawskiego, w zorganizowaniu której brali udział żołnierze kompanii Commando, młodzież z polskiego gimnazjum i miejscowe społeczeństwo polskie. Wieczorem kompania urządziła rewię w Domu Polskim w Algerze, zakończoną zabawą, trwającą do późnej nocy.

W dniu 17 listopada odjeżdża z Algeru rzut kołowy, zaś 23 listopada transport kolejowy kompanii do portu Philippeville. Tam, w dniu 29 listopada załadowana na pokład statku „VILLE D'ORAN", odpływa kompania przez Maltę do Taranto, gdzie staje na redzie w dniu 1 grudnia 1943.

Po wyładowaniu w dniu 2 grudnia zostaje przewieziona do m. Molfetta, m.p. dowództwa 2 S.S.B.de, gdzie dokonał przeglądu brygadier T. Churchill, poczym w dniu 12 grudnia odjeżdża na front.

Stan liczebny Kompanii, w chwili przybycia na teren Włoch, wynosił 7 oficerów i 84 szeregowych. Ponadto do Kompanii został przydzielony rtm. A. Bohomolec, jako oficer łącznikowy do władz brytyjskich.

ŻEGNAMY W. BRYTANIĘ

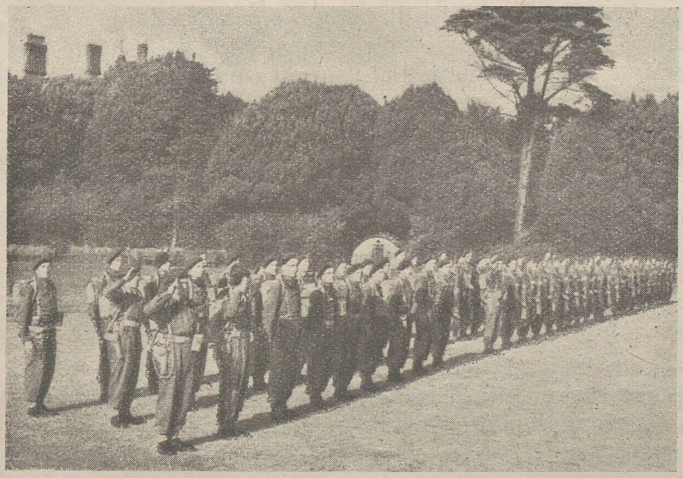

— Wiesz, gdyby nie to, że jesteś w niebieskim mundurze WAAF, miałbym złudzenie, że są to dawne pokojowe czasy — powiedziałem nagle do swej towarzyszki.

Siedzimy na tarasie nadbrzeżnego hotelu w Eastbourne w gorące, wrześniowe popołudnie. Morze stało się niebieskie, prawie szafirowe i trudno dziś uwierzyć, że są to te same szare wody Kanału a nie Adriatyk, czy Zatoka Neapolitańska. Jasne kredowe skały błyszczą w słońcu oślepiającą bielą a leniwa fala rozbija srebrne pióropusze piany, malując w rozpylonych fontannach stubarwne tęcze kolorów.

Białe mewy żeglują na tle błękitu nieba i jakiś dziwny spokój zawisł w powietrzu.

Nagle ciszę przerywa dźwięk obcy, cichy z początku, później coraz większy i głośniejszy. Z nad wzgórz ukazuje się formacja myśliwców i warkotem motorów zmienia odrazu sielankowy nastrój. Maszyny zataczają koła nad nami i szerokim łukiem okrążają miejscowość. W tej chwili spostrzegamy nadlatującą drugą formację a po chwili trzecią i czwartą.

Wszystkie defilują nad nami i, zawróciwszy, znów krążą dokoła.

Ma się wrażenie, że oczekują na coś, że tutaj jest ich miejsce spotkania.

Rzeczywiście po chwili, poprzez warkot myśliwców, słyszymy głos niski i potężny. Hen, wysoko ukazują się białe, czteromotorowe olbrzymy. Lecą powoli, w zwartym szyku kilkudziesięciu maszyn.

Myśliwce odskoczyły na morze i otoczyły bombowce ze wszystkich stron. Huk potężnieje z każdą chwilą. To już nie dziesiątki, to setki powietrznych olbrzymów przelatują nad nami. Płyną potężne formacje, prawie niewidoczne w rozedrganym gorącym błękicie nieba. Huk rośnie i rośnie. Zdaje się, że całe powietrze drży w takt wibracji tysiąca silników. Trudno jest mówić w tym chaosie tonów. Fale głosowe uderzają w uszy, wywołując nieznośny ból, wciskając się pod czaszkę, świdrując po kościach, wprawiając cały organizm w mimowolne drżenie. W oknach nadbrzeżnych domów dzwonią szyby cichym, przejmującym dźwiękiem. Szklanki na stołach wchodzą w rezonans z warkotem silników i grają, podrzucane niewidzialnym wstrząsem. Mijają minuty, może godziny... Wreszcie ostatnie maszyny powietrznej nawały znikają w dali nad francuskim wybrzeżem. Już nic nie widać, ale wciąż jeszcze czujemy głuche dudnienie powietrza. Moja „girl-friend" ściska mnie mocno za rękę:

— Strasznie pomyśleć, że wielu tych chłopców leciało nad nami na taką cudną, słoneczną pogodę w ostatnim dniu swego życia — mówi z jakąś dziwną nutą w głosie.

Ale ja nie słucham wcale jej głosu. Jestem zły. Wiem, że tam, po drugiej stronie Kanału rozpętał się piekielny ogień zapory przeciwlotniczej, że na jakieś miasto sypie się deszcz bomb, że budynki rozsypują się w ruinę, jak domki z kart w dzieciństwie stawiane a setki ludzi giną pod gruzami. I wiem, że ci lotnicy robią coś konkretnego, coś wogóle robią — a ja tu siedzę bezczynnie, znudzony już tym komfortem i pokojową niemal atmosferą. Przecież nie na to poszliśmy do Commando, nie na to przez szereg miesięcy dostawaliśmy „w kość" na wyczerpujących treningach, nie na to z dnia na dzień łudziliśmy się nadzieją szybkiego wypadu, by wreszcie stać się — jak nam się przynajmniej zdaje — czymś w rodzaju reprezentacyjnego oddziału w modnej miejscowości letniskowej.

— Chyba przeniosę się do lotnictwa — wypowiedziałem głośno swą myśl, przerywając długotrwałe milczenie.

— Czy dlatego, że ją noszą lotniczy uniform? — zapytała moja towarzyszka, rzucając zalotne spojrzenie.

Pamiętam, odpowiedziałem coś, czego się później wstydziłem.

Ale byłem bardzo zły i „brała mnie cholera".

I nagle, niespodziewanie — jak to zwykle w takich wypadkach bywa — gruchnęła wiadomość: JEDZIEMY...

Zawrzało jak w ulu. Kij włożony w mrowisko nie wywoła takiego zamieszania, jak ta wiadomość — zbyt dobra, aby była prawdziwa, według zdania naszych notorycznych pesymistów.

Gdzie?... Kiedy?... Dokąd?... zasypywano pytaniami wtajemniczonych, ale bezskutecznie. Stary uśmiechał się tylko, ale farby nie puszczał. Coś tam podobno bąknął, że do najsławniejszej armii świata — więc chyba do ósmej? — do Montgomerrego?

Z nikim nie można było mówić rozsądnie, wszyscy chodzili podnieceni, podenerwowani, rozgorączkowani. — Więc to już? — Więc to naprawdę? — Zaczęło się fasowanie tropikalnego ekwipunku — w „shortach" wyglądaliśmy niczym harcerze — śmiechu było coniemiara z elegancików, którzy sądząc, że chodzi o „Battle dress-y", podali o kilka numerów większą długość spodni i teraz otrzymali majtki sięgające do pół łydek.

Jedni pakowali się chaotycznie — inni odkładali to na ostatnią chwilę, wiedząc, że i tak połowy rzeczy nie znajdą — magazynier kompanijny, chociaż był człowiekiem z duszą anioła, mówił już tylko brzydkie wyrazy — a wszyscy starali się jaknajlepiej wykorzystać ostatnie dni naszego pobytu.

Cały tydzień trwały pożegnania, zaczynające się zawsze wieczorem w barze hotelu „Sussex" a kończące się o świcie — nigdy nie wiadomo, gdzie. Żegnali się wszyscy: Dowódca, gospodarze, koledzy, przyjaciele, przyjaciółki, ludzie dawno znani i świeżo spotkani — słowem całe Eastbourne żegnało się z nami, tonąc nie tylko we łzach, ale w whisky i piwie.

„Clou" uroczystości był przegląd kompanii przez Naczelnego Wodza, Generała Kazimierza Sosnkowskiego. Trawnik Devonshire Park'u dziwnie radośnie jaśniał w słońcu, jakby chcąc odzwierciadlić nasze myśli i nasze uczucia z wreszcie spełnionego marzenia.

Padła krótka komenda — Płk. Lister zdaje raport i oczy Wodza spoczywają kolejno na każdym z żołnierzy. Wyniosła postać zbliża się do nas, rozmawia z wieloma, wypytuje się o jedno i o drugie. Gawędzi, jak ojciec ze swymi dziećmi, które wyprawia z domu gdzieś w świat szeroki. — „Jesteście jedynymi polskimi żołnierzami armii lądowej, którzy od czasów walk Brygady Karpackiej pod Tobrukiem i Gazalą, bić się będą z wrogiem. I będziecie pierwszym oddziałem Armii Polskiej, który znów stanie na kontynencie" — dźwięczały nam w uszach słowa przemowy Naczelnego Wodza, gdy waliliśmy nogami w bruk ulicy w naszej ostatniej na terenie Anglii defiladzie. I chyba Generał słyszał poprzez rytm marszu radośne bicie naszych serc, bo uśmiechał się, patrząc na ostatnie trójki niknące w perspektywie alei.

Przyszedł wreszcie poranek, gdy, po ostatnich całusach na małym dworcu kolejowym, pociąg uniósł nas do portu załadowawczego. I zaraz potem nadszedł dzień, gdy po obu burtach naszego statku przesuwały się zielone brzegi Firth of Clyde. W stoczniach huczały elektryczne młoty i jaskrawe, niebieskie światło spawarek raziło oczy. Ludzie na brzegu machali kapeluszami i chustkami — ze statku, wbrew przepisom, odpowiadały gromkie okrzyki. Zdala doszedł głos dzwoniącej boi u wyjścia z kanału — ale w jej rytmie słyszeliśmy tylko jedno: — „jedziemy do akcji... jedziemy do akcji..." — i te słowa powtarzaliśmy ciągle z radością.

Na horyzoncie zamajaczyła sylwetka lotniskowca.

Pożegnaliśmy Wielką Brytanię...

MACIEJ DRZEWICA

PÓŁNOCNA AFRYKA

Fantastyczna gra barw i egzotyczny dla nas koloryt morza kazały zapomnieć o niewygodach i trudzie podróży na załoczonym wojskiem statku. Zostały za nami szare i burzliwe wody Atlantyku, wyniosła skała Gibraltaru, którą Anglicy, mijając, salutowali, jako symbol panowania Imperium nad Środkowym Wschodem — płyniemy po granatowej wodzie Morza Śródziemnego, na której do niedawna jeszcze nie mógł pokazać się bezkarnie żaden okręt czy statek sprzymierzonych. Woda jest prawie czarna taka, jaką się widzi tylko w tatrzańskich jeziorach

lub na egzotycznych obrazach Styków. Czerwono – sine niebo i brunatny kontur brzegu dziwnie kontrastują z wrytym w naszą pamięć obrazem jasno zielonych brzegów Brytyjskiej wyspy.

Statek wolno wpływa do portu, załłoczonego najrozmaitszymi jednostkami floty sprzymierzonych. Oślepiająca biel budynków tarasami opadających ku morzu razi oczy. Nad dachami Algieru łopoczą, dawno niewidziane, francuskie flagi. Grupa Francuzów, jadących na naszym statku stoi na pokładzie, patrząc w milczeniu na ten, dla nas obojętny, dla nich wzruszający widok. Mimowoli zastanawiam się, kiedy my wjeżdżać będziemy do portu, udekorowanego polskimi flagami.

W skwarze południa wychodzimy na ląd francuskiej Afryki.

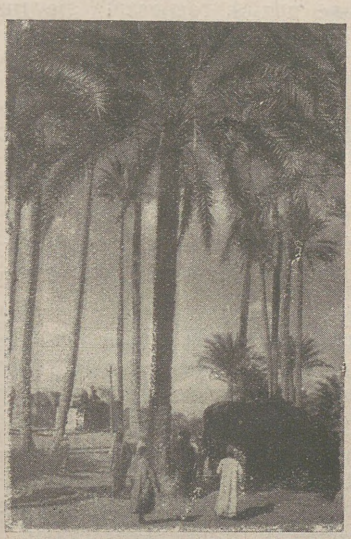

Miasto o tej porze dnia jest prawie, że puste — żar zdaje się spływać gorącą lawą poprzez białe ulice i wypłaszać z nich wszystko co żyje. Za to pod wieczór wszystko ożywa — gwarem i zgiełkiem pragnie nadrobić — zda się — stracone godziny południowego wypoczynku. Dziwny charakter ma to skrzyżowanie Europy i Afryki, jakim jest Algier. Centrum miasta zupełnie nie sprawia egzotycznego wrażenia. — Duże europejskie domy, liczne kawiarnie, rozbrzmiewające głośną rozmową i muzyką, eleganckie kobiety, mówiące francuskim językiem, wino, o istnieniu którego w Anglii prawie zapomnieliśmy — to wszystko daje raczej złudzenie przeciętnego francuskiego miasta.

O parę kroków jednak od tej „Europy" wchodzimy w labirynt wąskich, stromych uliczek o dziwnych domach bez okien, załłoczonych tłumem wrzeszczących Arabów; kobiety przemykają się chyłkiem, rzucając spłoszone spojrzenia z ponad zasłon na

twarzy, mężczyźni raczej nieprzychylnie patrzą na intruza, który wszedł w ich dzielnice. To „Kazba" — stara arabska dzielnica, której tajników nie zgłębiła do tej pory nawet francuska policja, w której obowiązują do dziś dnia arabskie prawa gościnności i zemsty i gdzie nieraz człowiek nie znający arabskich zwyczajów może przepaść jak kamień w wodzie.

Wiekowe mury i kręte wąskie uliczki potrafią strzec swych tajemnic.

Zakwaterowano nas w obozie położonym w dolinie rzeczki Oued Kerma.

Tam napotkaliśmy już czekającą na nas kompanię belgijską z naszego 10 Commando oraz całe 9 Commando. Nadzieja na natychmiastową dalszą podróż do Włoch rozwiała się szybko. Akcja na Termoli, w której mieliśmy wziąć udział, rozpoczęła się już bez nas — narazie wszyscy commandosi po ukończeniu tej akcji przejdą na odpoczynek — musimy więc ustąpić pierwszeństwa transportu innym oddziałom.

Rozpoczęło się nowe czekanie, tym razem urozmaicone nowością otoczenia. Szybko zaznajomiliśmy się z tajnikami Algeru — po kilku dniach nie była obca dla naszych chłopców żadna restauracja, winiarnia, czy inne miejsce rozrywkowe. Wśród wielojęzycznej i wielobarwnej mieszaniny ludzkiej Algieru „odkryta" została również kolonia Polek, rodzin wojskowych, przebywających tu od r. 1940.

Przedmieście El-Biar, na którym znajdowała się ta kolonia, stało się wkrótce miejscem stałych wieczornych pielgrzymek większej części naszej kompanii. Przyjazne stosunki wytworzyły się szybko — wzajemne odwiedziny, udział pań w ognisku obozowym, wspólna akademia 11 listopada, dały niejednemu z chłopców możność bliższej rozmowy z polskimi kobietami, czego większość z nas od paru lat była pozbawiona. Nic więc dziwnego, że zadzierżgnięta tam nić przyjaźni przetrwała długi okres czasu.

Okres wyczekiwania nie został spędzony bezczynnie. Ćwiczenia w nowym zupełnie terenie i klimacie doskonaliły naszą sprawność i zapoznały z nowymi warunkami pracy. Wyniosłe szczyty algierskiego Atlasu były zaprawą do walk w Apeninach, tam też pierwszy raz spotkaliśmy się z transportem mułowym, który nam tak wielkie oddał usługi, jazdy „jeepami" i motorami po bezdrożach górskich czy traktach mulich dały nam przedsmak późniejszych „dróg" frontu włoskiego. A nade wszystko wspólny z oddziałami brytyjskimi obóz, dał życie i wzajemne zrozumienie obu narodowości, które tak bardzo nam było potrzebne we wspólnych późniejszych akcjach.

Maszerujemy boczną, krętą drogą. Czerwony tuman kurzu wlecze się za nami, znacząc ślad naszej wędrówki. Słońce pali rdzawą ziemię silniej, niż w najupalniejsze dni polskiego lata.

Pot zalewa oczy, a mundur jest ściśle przyklejony do ciała. Znużenie próbujemy pokrzepić piosenką. I po afrykańskiej ziemi melodia, która szła za nami od Polski przez Francję, Szkocję, Walię, czy Anglię, melodia obca w tym terenie i chyba nigdy tu nie śpiewana. Naprzeciw nas idzie niewielki oddziałek z łopatami i kilofami. Zdarte i poszarpane mundury „feldgrau" na grzbiecie, łapcie na nogach, niemieckie czy włoskie czapki na głowie — to jeńcy z „Afrika Korps", używani do robót przy angielskich czy amerykańskich obozach.

I nagle ów oddział podchwytuje słowa przez nas śpiewane. Z początku cicho i jakby nieśmiało, później coraz głośniej i żywiej.

To Polacy z Pomorza, Poznańskiego i Śląska, wzięci do armii niemieckiej, dziś pracują jako jeńcy dla dobra tej samej sprawy.

I oba oddziały — ten z bronią na ramieniu, i ten, który broni już nie ma, mijają się, śpiewając tę samą polską piosenkę wojskową.

Zamieniamy uśmiechy — mamy niezłomną nadzieję, że niedługo w Polsce będziemy nosić znów te same mundury i maszerować w tym samym szeregu.

Pewnego niedzielnego poranka na rozpalonej słońcem drodze wiodącej do naszego obozu, ukazała się biała postać. Szaty całkowicie arabskie, wąs i broda jak u prawowiernego muzułmanina, czerwona „checha" na głowie, i tylko różaniec z krzyżem zawieszony na piersi wskazywał na inną, obcą tubylcom wiarę. Jakież było nasze zdziwienie, gdy przybysz zagadał do nas czystą, chociaż trochę ewangeliczny styl przypominającą, polszczyzną. Był to Polak — misjonarz z zakonu Ojców Białych, z górą 15 lat mieszkający w Afryce.

Gdy dowiedział się o przybyciu polskiego oddziału, przeszedł pieszo kilkanaście kilometrów, by móc z nami porozmawiać i odprawić w obozie mszę świętą. Krępując się tylko mówić dużo, gdyż jak twierdzi, przez długi okres pobytu wśród obcych zapomniał języka i dopiero przed odwiedzinami u nas zaczął czytać głośno polską ewangelię, by przypomnieć sobie dźwięk ojczystej mowy.

W miasteczku ulicą szedł zarośnięty, z niegolonym długo zarostem człowiek. Ciemna, opalona cera nadawała mu pozór Araba i tylko duże, niebieskie oczy zdradzały europejskie pochodzenie. Naprzeciw szedł jeden z naszych oficerów. Przechodzień spojrzał na gwiazdki, na orzełka na zielonym berecie i nagle zatrzymał się: stanął na baczność, wyprężony jak struna, do wytartej furażerki przyłożył dwa palce starym, polskim zwyczajem i głośno zameldował: Panie poruczniku, strzelec NN melduje posłusz-

nie swój pobyt w mieście... Wyuczonej w Polsce formuły meldowania nie zdołały zatrzeć ani internowanie przez Francuzów, ani ciężkie roboty na Saharze, w której sercu jeszcze dwa tygodnie temu łukł kamienie przy budowie drogi, dopóki nasze władze nie odnalazły jego nazwiska i nie spowodowały zwolnienia.

I pierwszemu po kilku latach spotkanemu oficerowi polskiemu oddał honory i zameldował się tak, jak go uczył kapral – instruktor, gdzieś w kresowym pułku polskiej piechoty. A nasi chłopcy przybyli ze Szkocji dziwili się trochę temu, że Polak, chociaż nikt mu o tym nie przypominał, chociaż przez trzy lata z górą nie ćwiczył musztry i chociaż tu nie ma żandarmów, którzy zapisywaliby za nieoddawanie honorów na ulicy — postąpił tak, jak postępował każdy żołnierz w kraju.

Siedzimy przed namiotem w ciemną noc afrykańską. Cykady dzwonią ustawiczną melodię, przerywaną tylko chwilami głosem szakala. Na czarnym niebie gwiazdy świecą tak jasno, jak nie świeciły nigdy w Polsce, ani tym bardziej w Anglii. Mleczna droga z wąskiej, srebrnym pyłem wysypanej ścieżki zamieniła się w szeroką, brukowaną dużymi gwiazdami szosę. A chłopcy marzą i snują wspomnienia. I budzi się nostalgia, tym dziwniejsza, że prócz znanej nam tęsknoty za krajem, przyszła nowa, świeża tęsknota za Anglią. O Polsce myśleliśmy ciągle i już przyzwyczailiśmy się do tego ciągłego wspominania, że ta tęsknota wydaje się czymś zwykłym, codziennym, czymś, co już zatarło się w swej świeżości. Trzy lata w Wielkiej Brytanii wybiły duże piętno na indywidualności każdego z nas i teraz nagle, rzuceni w zupełnie odrębny kraj i środowisko, zaczynamy silnie odczuwać brak wielu rzeczy i tęsknić za nimi. Dużo angielskich zwyczajów stało się mimowoli naszymi zwyczajami, pozostawiliśmy na mglistej wyspie wielu serdecznych przyjaciół, różne Betty, Nelly czy Joen'y zajęły miejsca w naszych sercach i teraz na nowo tęsknimy za tym wszystkim.

I myślimy — chwilowo przynajmniej — może częściej o Anglii, niż o dalekiej Polsce.

Po upalnym dniu idzie wraz z nocą chłód. Rzucamy ostatnie spojrzenia na gwiezdne niebo i czarne sylwetki wzgórz i chowamy się w głębi namiotów. Przed położeniem się starannie przeszukujemy koce, czy nie zagnieździł się tam jakiś niepożądany

intruz w rodzaju węża, czterdzistonóżki, czy skorpiona, osłaniamy się moskiterą i dopiero wtedy jesteśmy gotowi do spania. I zasypiamy kołysani czasem melodią cykad, czasem brzęczeniem komara, a najczęściej chrapaniem współtowarzyszy.

M. D. Z.

NA NOCNYM PATROLU

Wiatr długiemi palcami
Afrykańską noc kruczą
Jak kołysać się w biodrach
Niby w transie naucza.

A my w nocy zgubieni
Każdy w własnym swym świecie —
Nurtem ciemnych wskroś cieni
Szlak nasz zwiewny się plecie.

To nie nurt jest lękliwy
Ale bijąca fala
Kroków i serc rytmicznie
O Wszechświat mglący w dalach.

I gdy wiatr swymi dłońmi
Pieści noc w miękkich drzewach
Nami jak pyłem gwiezdnym
Kosmiczny wiatr powiewa.

Lśniący szlak mlecznej drogi
Rozpięty po ulewie
Siostrzanym może z szlakiem
Jest tego co na niebie,

I może my dziwniejsi
Niż drżących gwiazd atomy
Dalecy od Nas samych
O świetlnych lat ogromy . . .

Bolesław Świtalski

DO WŁOCH

Z okien wagonu, czy przez szybę samochodu spoglądamy na ośnieżone stoki masywu górskiego Djebel – Djurdjura. Splot toru i szosy wije się serpentynami po skalnych stokach, niknie w czeluściach tuneli, wpada w głębokie przełomy, wiszącymi mostami przeskakuje ponad rozpadlinami kenionów, by wreszcie poza malowniczo położonym Constantine, falistym terenem spłynąć na wybrzeże morza Śródziemnego w Phillippeville.

Tam na statku następuje pierwsze nasze spotkanie z Polakami ze Środkowego Wschodu — to grupa spadochroniarzy, jadących również do Włoch, by organizować bazę do pracy na kraj.

Czas jakiś płyniemy jeszcze wzdłuż wybrzeży Tunizji, wreszcie z ostatnimi promieniami słońca, ginącego w szafirowej wodzie, niknią również ostatnie zarysy lądu afrykańskiego.

Święto Podchorążych 29. listopada obchodzimy, patrząc na poszczerbione mury portu Valetta, na bohaterskiej wyspie Malcie.

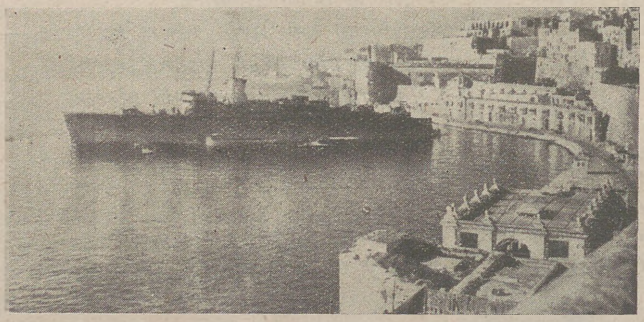

Ludność snująca się wśród ruin, maszty tak niedawno potopionych okrętów, sterczące z płytkiej wody portu i ożywiony ruch wszelkiego rodzaju okrętów i statków w chwili obecnej przemawiają dobitnie do nas, którzy wiemy, co znaczy słowo „wytrwać". Malta wytrwała i przetrwała okres, w którym niejednkrotnie kilkadziesiąt nalotów dziennie niszczyło jej budynki, zabijało ludność i rujnowało wszelkie urządzenia. I dziś, spokojna już, świeci dostojnie w słońcu swymi ranami, stając się symbolem walki nieugiętej.

Las balonów zaporowych wyrastał na horyzoncie — wchodzimy powoli na redę portu w Taranto. Jeszcze całe 24 godziny czekać musimy, zanim nadejdzie nasza kolejka na wyładowanie — wreszcie leniwie sunąc dobija statek do mola — rzucone cumy z pluskiem przecinają zaoliwioną powierzchnię brudnej, portowej wody.

Po przeszło trzech-letniej przerwie stają stopy żołnierza polskiego znów na kontynencie Europy.

Na torze kolejowym czekają na nasze bagaże wagony towarowe. Na jednym z nich spostrzegamy napis: „Reichsbahn Direktion Posen", a poniżej przebijające z pod źle zamalowanej farby litery P.K.P.

Dziwny zaiste przypadek zdarzył, że po rzeczy Polaków przyjechał polski — niegdyś Niemcom, dziś Aliantom służący — wagon. I to spotkanie staramy sobie tłumaczyć jako dobry omen, jako znak szczęśliwego połączenia się i spotkania wszystkich rzeczy, które utraciliśmy.

Syreny alarmowe wyły, gdy pociąg ruszał późnym wieczorem z Taranto, łuna płonących statków oświetlała nam drogę, gdy przejeżdżaliśmy przez Bari. Luftwaffe dawała znać o sobie. Małe miasteczko Molfetta jest pierwszą naszą kwaterą na ziemi włoskiej.

Wita nas brygadier Tom Churchill, dowódca 2. S. S. B-de — krótkie i suche, może nawet nieprzyjemne napozór są jego słowa, lecz ileż radości pozostawiają w naszym sercu. Niedługo już idziemy na front, na trudną pracę patrolową na wysoko-górskim odcinku lewego skrzydła 8. armii.

Nareszcie spełnią się nasze marzenia, nareszcie spotkamy się z prawdziwym nieprzyjacielem.

Nawiązujemy stosunki z pozostałymi Commando, wchodzącymi w skład brygady, dowiadujemy się o warunkach, o sposobach walk i patrolowania, rozmawiamy z tymi, którzy dopiero co brali udział w akcji. A nade wszystko, przez kilka pozostałych do wymarszu dni przyglądamy się nieznanemu nam życiu włoskiego miasteczka.

Na środku brudnej ulicy bawią się obdarte, umorusane dzieci. Są głodne, biedne — skołtunione głowy odrażają brudem niemytych nigdy włosów. Przez uchylone drzwi widać wnętrze zakopconego, niechlujnego mieszkania, swym ubóstwem przypominającego raczej arabską lepiankę, niż europejski dom. Dziwnym nam się to zdaje — nam, którzy przez blisko cztero-letni pobyt, przyzwyczailiśmy się do czystości i schludności angielskich farm, czy domków robotniczych.

Dzieci bawią się — krzyczą głośno, biegają — gdy przypatrzymy się bliżej, widzimy radość w ich oczach — śmieją się z dziwną beztroską, pomimo biedy i nędzy, jaka ich otacza.

I nagle przypominam sobie inne dzieci — tak samo wesołe i beztrosko bawiące się kiedyś w Polsce. I te i tamte są prawdziwymi dziećmi — śmiejącymi się szczerym śmiechem — bawiącymi się tak jak dzieci bawić się potrafią. Jak kontrast stają przed oczy dzieci, widziane na Wyspie — nie, to nie były dzieci — angielskie dziecko chowane w dobrobycie jest tylko małą dorosłą osobą — nie bawi się beztrosko — nie śmieje się szczerze, tak jak potrafi się śmiać i bawić tylko dziecko na kontynencie.

MACIEJ DRZEWICKI

SANGRO

Z DZIENNIKA BOJOWEGO

Dnia 12 grudnia 1943 Kompania wyjechała transportem samochodowym z Molfetta i poprzez Foggia — Lucera — Jelsi — Vinchiaturo — dotarła do Boiano. Po noclegu w tej miejscowości udała się w dalszą drogę i w godzinach popołudniowych dnia 13 grudnia osiągnęła m. Capracotta, miasteczko położone na wzniesieniu 1.420 m. n. p. m. Tam weszła pod rozkazy 78 Dywizji Brytyjskiej i zajęła odcinek wraz z 56 Pułkiem Rozpoznawczym (56 Recce Regt.). Tegoż samego dnia wyruszył pierwszy patrol rozpoznawczy nad rz. Sangro i do m. Castel del Giudice, który wykonał zadanie bez styczności z nieprzyjacielem.

Nazajutrz pluton 2 zostaje przesunięty o m. Pescopennataro, z pozostałej zaś części kompanii wyrusza wieczorem patrol, który w ciągu dnia 15 grudnia przekracza po raz pierwszy rz. Sangro na tym odcinku i rozpoznaje przez walkę m. Ateletta i San Eramo. W czasie patrolu ginie s. p. st. strz. F. Rogucki.

W dniach 16 i 17 pluton 2, z rejonu Pescopennataro, wysyła patrole nad rzekę Sangro, w rejony Borello, Quadri i San Angelo del Pesco.

Dnia 18 grudnia reszta kompanii przechodzi wraz z transportem mułów do Pescopennataro, gdzie luzuje jeden ze szwadronów 56 Pułku Rozp. i obejmuje odcinek rz. Sangro od S. Angelo del Pesco (włącznie) do Villa S. Maria, łącznej długości blisko 20 km.

Tegoż samego dnia wysyła kompania silny patrol przez Borello do Villa S. Maria. Patrol ten przekracza rz. Sangro w rej. Villa S. Maria i wykonuje zasadzkę na nieprzyjaciela.

Dnia 19 i 20 patrole rozpoznają znów rejony S. Angelo del Pesco i Borello. W nocy z 20 na 21 patrol nieprzyjacielski podchodzi do zabudowań Pescopennataro, jednak po stoczeniu walki z naszą placówką — wycofuje się. Straty własne: 1 ranny.

W godzinach południowych dnia 21 grudnia inspekcjonuje rejon Kompanii Dowódca 2 S. S. B-da, brygadier T. Churchill, wyrażając dowódcy Kompanii uznanie za pracę żołnierzy.

Dnia 21 grudnia dowództwo odcinka otrzymuje od wywiadowców włoskich wiadomość, że nieprzyjaciel przygotowuje z rej. Gamberale wypad na Pescopennataro w sile 200 — 250 ludzi. Dzięki tym informacjom nie udaje się nieprzyjacielowi zaskoczyć kompanii i wypad zastaje całą kompanię na stanowiskach obronnych wokół miejscowości. W całonocnej walce, z dnia 21 na 22 grudnia, kompania odpiera trzykrotnie większe siły nieprzyjaciela, z dużymi dla niego stratami. Dużą pomoc okazuje artyleria angielska, która z rej. Capracotta kładzie ognie zaporowe na przedpola Pescopennataro. W czasie walki kompania ponosi straty: 3 rannych.

Nazajutrz po akcji gen. C. A. Keightley, dowódca 78 Dywizji, nadesłał następujące pismo gratulacyjne:

„Dowódca Oddziału Polskiego

Z okazji Pańskiego, pierwszego starcia z przeważającym nieprzyjacielem, wyrażam gorące podziękowanie Panu, Pańskim Oficerom i Szeregowym za zdecydowane i dobre wykonanie zadania i utrzymanie powierzonego odcinka. Wasze działanie jest zgodne ze znakomitą tradycją Armii Polskiej i Brytyjskiej, to też w imieniu żołnierzy 78 Dywizji przesyłam Panu podziękowanie za dobre rezultaty walki.

W polu, 22.XII.1943.

(—) C. A. Keightley, gen. major."
Dowódca 78 Dywizji

W godzinach popołudniowych dnia 23 grudnia odwiedził kompanię, przybyły z Środkowego Wschodu, płk. dypl. Klemens Rudnicki, zast. d-cy 5 Kresowej Dywizji Piechoty, przebywający na stażu w 8. Armii.

W dniach 23 — 27 grudnia patrolowano kilkakrotnie rejony S. Angelo del Pesco i Borello. M. in. jeden z patroli przynosi choinkę z lasu, leżącego pomiędzy naszymi a nieprzyjacielskimi pozycjami. Wigilię Bożego Narodzenia obchodzi kompania w plutonach, niejednokrotnie na placówkach i posterunkach.

28 grudnia placówki stoczyły walkę z małym patrolem nieprzyjaciela, który podszedł pod zabudowania wsi.

29 grudnia zostaje ponownie patrolowany rejon Villa S. Maria i rozpoznane nowe stanowiska nieprzyjaciela w tym rejonie. W czasie drogi powrotnej, na skutek wejścia na pola minowe, ginie st. strz. Sładnik i jeden z żołnierzy zostaje ranny.

Silne opady śnieżne, które rozpoczęły się w dniu 30 grudnia, uniemożliwiają patrolowanie i przerywają komunikację traktem mulowym z tyłami. Wysyłane małe patrole narciarskie nawiązują łączność z tyłem, jednak nie są w stanie dostarczyć zaopatrzenia. Od dnia 3 stycznia 1944 racje żywnościowe zostały zmniejszone do połowy, zaś w dniu 6 stycznia do jednej trzeciej. W dniach 7, 8 i 9 stycznia nastąpiły zrzuty żyw-

ności z samolotów, przyczym grupy, zbierające zaopatrzenie, były ostrzeliwane przez artylerię nieprzyjaciela.

Dnia 9 stycznia dowódca Kompanii otrzymuje rozkaz opuszczenia Pescopennataro i w dniu 10 stycznia Kompania, zluzowana przez oddziały brytyjskie, wymaszerowuje przekopaną w śniegu ścieżką do m. Agnone, zabierając z sobą tylko broń i chlebaki. Pozostałą część ekwipunku zostawiono w Pescopennataro do czasu, gdy warunki pozwolą na zorganizowanie transportu mułowego. Z Agnone Kompania zostaje transportem samochodowym przewieziona do II Rzutu 78 Dyw. do Carpignone, gdzie równocześnie przybywa kompania Belgijska, ściągnięta z odcinków S. Pietro Avellana i Montenero.

Dca 78 Dywizji serdecznie pożegnał kompanię, dziękując osobiście żołnierzom za współpracę i gratulując odniesionych sukcesów.

Obie kompanie, polska i belgijska, zostają przerzucone do dalszej akcji w rejon na północ od Neapolu, na odcinek 5 Armii.

Na skutek meldunków brytyjskich władz przełożonych o naszych walkach, Naczelny Wódz, gen. K. Sosnkowski nadesłał na ręce dowódcy kompanii następujący telegram:

„Do Kpt. Smrokowskiego, d-cy Polskiego Oddziału No. 10. Commando.

Otrzymałem raport, wysoce oceniający wasze pierwsze walki. Moje najserdeczniejsze gratulacje i osobiste podziękowania Panu, Jego Oficerom i Szeregowym. Dobra robota. Pracujcie tak dalej... Oczekuję wniosków na odznaczenia.

Gen. K. Sosnkowski."

Odcinek Sangro

Widok na Pescopennataro i Capracotta z pozycji niemieckich nad rzeką Sangro.

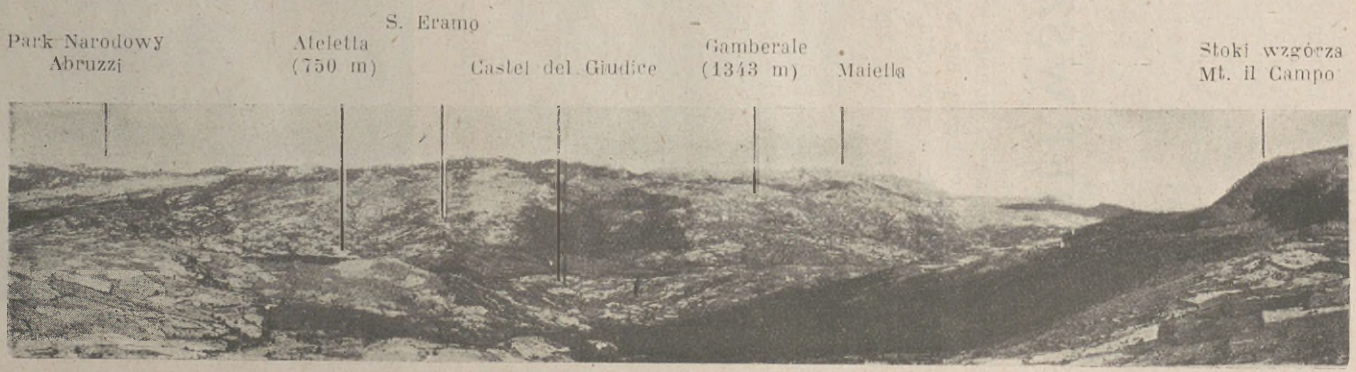

Widok z Capracotta na Dolinę Sangro.

PIERWSZY PATROL

Dziwnie szare i ponure jest popołudnie 13 grudnia 1943, gdy ciężkie wozy wtaczają się wolno, mieląc kołami gęste błoto, w ruiny miasteczka Capracotta.

Pojedyńczo przechodzimy do przeznaczonego na kwatery miejsca — względnie cało zachowany budynek zajmowany jest z ostrożnością, z przeciwległego bowiem zbocza doliny nieprzyjaciel ma dobrą obserwację na całe miasteczko. Gdzieś na prawo i lewo od nas dochodzi głuche pomrukiwanie armat — nasz odcinek tonie w zupełnej ciszy.

Ledwie zdążyliśmy zrzucić w kąt nasze rzeczy, gdy rozeszła się wiadomość, że już dziś, za kilka zaledwie godzin, ma wyruszyć pierwszy patrol bojowy. Podniecenie opanowało wszystkich. To, na co tak długo czekaliśmy, nareszcie się ziściło. Rozmowom i domysłom nie ma końca. Gdzie pójdziemy, kogo wódz wyznaczy, na jak długo?... Wreszcie w drzwiach ukazuje się zadowolona i uśmiechnięta twarz „Starego", który wraca z odprawy u dowódcy odcinka. Padają rozkazy — należę do tych kilku szczęśliwców, którzy wezmą udział w pierwszym naszym patrolu.

O zmroku wychodzimy, żegnani uśmiechami i cichym „good luck" tych, co zostają. Stromym, błotnistym stokiem schodzimy w głąb jaru, w którym szumi niewielki potok. Po głazach i kamieniach idziemy dalej na dół. Zachowując jak największą ciszę, przełazimy przez powalone pnie drzew, zsuwamy się z urwistych brzegów strumieni. Przedzieramy się przez gęste krzaki, lub chyłkiem przemykamy się przez otwarte polany. Przypominają się mimowoli ćwiczenia w Walii, czy Achnacarry — patrol posuwa się wzorowo: w zależności od terenu ściąga i rozciąga się, jak harmonia. Czas dłuży się, mimo podniecenia, jakie niewątpliwie każdemu trochę się udziela. Odległości, które z góry wydawały się niewielkie — teraz wydłużają się coraz bardziej.

Wreszcie wychodzimy na bardziej otwarty teren.

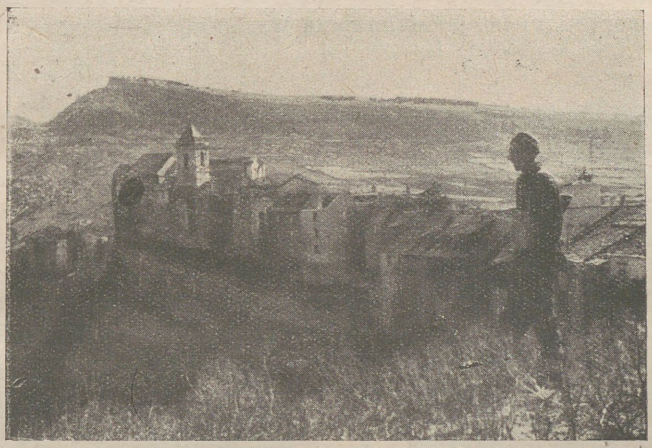

Przed nami majaczą w mroku zarysy miejscowości — to Castel del Giudice. Z zachowaniem największej ostrożności podczołgujemy się wśród zwalisk wysadzonego mostu do pierwszej z brzegu chałupy. Cisza nie zdradza niczyjej obecności — ktoś z nas kocim ruchem dostaje się do wnętrza. Zbudzony i przerażony Włoch zeznaje, że żadnego patrolu niemieckiego dziś we wsi nie było. Na wszelki wypadek przeszukujemy wieś i, po krótkim odpoczynku, ruszamy dalej — nie tak już stromym terenem schodzimy nad sam brzeg rzeki Sangro. Woda huczy i pieni się pomiędzy głazami, gdzie niegdzie tylko łagodniejsze miejsca zdradzają możliwość brodu. Dłuższy czas patrolujemy brzeg rzeki, ale żadne znaki ni ślady nie wskazują obecności nieprzyjacielskich patroli. Widocznie dzisiejszej nocy „no-mans land" jest naszą wyłącznie domeną. Wracamy.

Księżyc wyszedł z za chmur, rozgoniony górskim wiatrem. Hen, wysoko, u stóp skalnej turni drzemie Capracotta, do której musimy powrócić. Droga, która nużyła w dół, przeraża nas koniecznością marszu w górę. Długie, długie godziny pniemy się

bezdrożami i wyrwami. Odpoczynki stają się coraz częstsze i coraz dłuższe. Nieprzyzwyczajony do pracy na dużych wysokościach organizm daje znać o sobie — zwłaszcza teraz, gdy już emocja możliwości spotkania nieprzyjaciela minęła.

Wreszcie wchodzimy w mury miasteczka. Oświetlone księżycem ruiny robią niesamowite wrażenie. Na kwaterze czekają na nas. Sam nawet nie wiem, kiedy ściągnięto ze mnie plecak, kiedy zjawiła się przede mną szklanka herbaty z rumem. Ktoś usiłuje rozpiąć mi pas i zdjąć spinacze: „Ty byłeś na patrolu, a my czekaliśmy spokojnie tutaj — to przecież całkiem naturalne". — Koleżeństwo Commandosowe zdaje pierwszy egzamin na froncie.

— A teraz szybko spać, chłopcy — mówi „Stary" — wieczorem znów mamy robotę.

Za górami niebo jaśnieje zorzą wschodzącego słońca.

M. D. Z.

PRZEBUDZENIE

Otwieram okno — spotykam czyjś wzrok — czuję to; otwieram drugie — nade mną filuternie przechylona, na długim kiju, patrzy czarnymi oczodołami — trupia czaszka. Patrzy na mnie z góry z jakimś pogodnym wyrazem, cień na kościach policzkowych sprawia wrażenie uśmiechu.

Kij zakończony jest w rusztowanie do katafalku podobne.

Jest półmrok, podnoszę głowę — gdzieś w górze panuje swym jasnym kwadratem duże okno bez szyb. Zarysowywać się poczynają kształty. W jednym kącie stoją jakieś skrzynie, paki i gruz zawala tę część wnętrza, reszta zatraca się w mroku. Tam, w lewym kącie są drzwi, koło nich ława, a na niej jakieś długie skrzynki — znam je. Wzdłuż długiej ściany stoją na podwyższeniu jakieś postacie; nie mogę rozeznać, co robią, czy widzą mnie — stoją nieruchomo, z założonymi na piersiach rękami — stoją w cieniu jakgdyby baldachimu — „duchy", czy jakieś pomniki?

Wracam znów do mego najbliższego towarzysza — przyciąga bestia wzrok. Ilekroć nań patrzę, dziwi mnie przeznaczenie tego sprzętu — czyżby ta czaszka uspokajać miała umarłych, czy być przestrogą dla żywych?

Tymczasem rozjaśnia się nieco, widzę wyraźnie kontury krzyża, jakąś parę skrzydeł (czyżby anielskich?) nad moją, do połowy wybudowaną ścianą.

Sięgam ręką po latarkę, początkowo nie mogę jej znaleźć. Gdy zapalam w końcu i patrzę na zegarek — jest ósma. Mimowoli

widzę dłoń, która szukała poomacku latarki — jest czarna od kurzu.

Za moją ścianą, tą ze skrzydełkami, słyszę jakiś ruch, kasłanie, ktoś wstaje, szurając nogami w pantoflach, idzie gdzieś— skrzypią drzwi jakiś głos mówi „dzień dobry".

Jest jeszcze jaśniej — od krzyża, u góry mojej ściany, do mego uśmiechniętego towarzysza wisi, kunsztownie rozpostarta, dobrze tkana firanka pajęczyny, delikatnie srebrząc się na tle — teraz już zupełnie jasnego kwadratu. Otwierają się drzwi — te w lewym kącie — kroki ciche i gromki głos: „śniadanie gotowe". Tam, za ścianą, budzi się gwar — głosy, dźwięk znajomy, jakby menażki, kaszel, przeciągłe ziewanie — wszystko miesza się i dudni, dając wrażenie dużej salki.

Już dobrze wiem, gdzie jestem. Wieczorem tu przyszliśmy — mieszkamy w kościele.

ANDRZEJ CZYNSKI

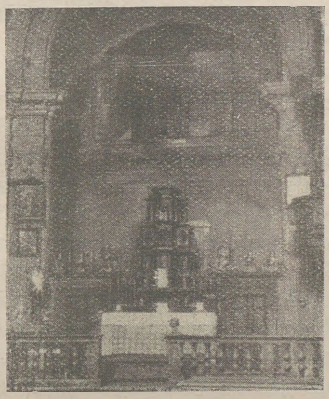

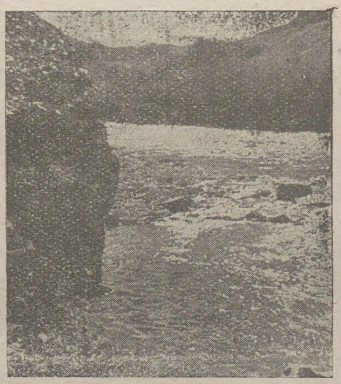

ATELETTA

Wstawał szary świt i mgła zwolna opadała w doliny, gdy patrol przedzierał się przez gęste zarośla na mały wzgórek, dominujący nad rzeką. Bliskość nieprzyjaciela powodowała u żołnierzy pewne, ledwo wyczuwalne podniecenie, które kazało zapomnieć o nieprzespanej nocy, o długim marszu w ciemności przez wąwozy i bezdroża górskie, o poobijanych o głazy i pnie drzewne nogach i o „męce" niepalenia przez niekończące się nocne godziny.

Punkty obserwacyjne, dające wgląd na drugą stronę rzeki, są zajmowane powoli i ostrożnie. Reszta zapada w krzakach i wypoczywa spokojnie, by żadnym ruchem nie zdradzić nieprzyjacielowi swej obecności.

Obserwatorzy patrzą i pilnie obserwują. W lewo na dole rozpościera się miasteczko Ateletta, zrujnowane i zła się — wymarłe. Na wprost widać szczątki mostu, wysadzonego na rzece. W prawo, na podnoszącym się grzbiecie górskim, dwa małe domki, panujące nad najbliższą okolicą. Z tych to domków jeszcze wczoraj padały podobno strzały do ludności cywilnej, usiłującej przekroczyć rzekę. Czy dziś są tam Niemcy i w jakiej sile — nie wiadomo.

Słońce podniosło się wysoko. W czarnych chmurach potworzyły się dziury. Padające przez nie promienie malują śmieszne kształty jasnych plam, wędrujących po zboczach. W miasteczku widać słaby ruch. Z nor i rumowisk wychodzą ludzkie kształty, jakaś kobieta z dziećmi idzie po wodę, niosąc na głowie duży dzban, słychać rąbanie drzewa, gdzieś pies zaszczekał — widać jednak tylko cywilów. Domki na wzgórzu milczą i wydają się puste. Przez chwilę zdaje się, jak gdyby mały, prawie niewidoczny dymek unosił się nad jednym z nich, lecz to chyba złudzenie. Nie ma żadnego ruchu, żaden znak nie zdradza obecności żywej istoty w rejonie tych domków.

Obserwacja trwa długo — minęło już południe, gdy dowódca daje rozkaz do przekroczenia rzeki Sangro. Na brzegu pozostaje słabe — symboliczne raczej — ubezpieczenie; poprzez kolczaste zarośla akacji patrol schodzi nad sam brzeg. Długotrwała susza obniżyła stan wody i nurt nie jest tak wartki — w miejscu brodu woda sięga zaledwie do pasa. Kapitan pierwszy przechodzi rzekę; taki jest u nas zwyczaj, że dowódca zawsze idzie pierwszy.

— Jeśli wylecę na minie — to trudno, ale jeśli przejdę — to wy macie już bezpieczną drogę — powiedział.

Cały patrol niepostrzeżenie przeszedł bród. Woda chlupie w butach, a mokre spodnie wydają cichy szelest, trąc się o siebie.

Opodal brzegu stoi mały, zrujnowany domek. Kłos ostrożnie podchodzi ku niemu i nagle staje: — Uważajcie, booby-traps — biegnie cichy szept. Przed drzwiami rozpościera się prawie niewidoczna pajęczyna cienkich drucików, lekkie dotknięcie nawet jednego z nich może wywołać eksplozję założonego ładunku.

Ze wzmożoną ostrożnością sunie dalej wąż patrolu, wykorzystując rodzaj żłobu, biegnącego ze wzgórza ku rzece. Są jakieś płotki, kamienne murki budowane, by ziemia nie obsuwała się ku dołowi, pasy kolczastych krzewów zagradzające drogę. Wąż ludzki wije się, omijając przeszkody i wykorzystując wszelkie możliwe zakrycia terenu.

Małe zielone półko wabi łatwością przejścia. Kapitan odwraca głowę i mówi coś szeptem do idącego za nim. Nagle staje, jak

wryty, zatrzymując w powietrzu gotową do stąpnięcia nogę: w trawie błyszczy nieobeschłą rosą cienki, jak włos, drucik. Znowu pułapki. Drut dochodzi do zapalnika, wkopanej w ziemię i dobrze zamaskowanej miny.

W drugą stronę biegnie taki sam drucik, dalej następny rząd drucików i min. Za nim dalsze. Wykonując przedziwne łamańce, stawiając nogi pomiędzy siecią drutów ostrożnie — ah, jakże ostrożnie — ludzie patrolu kolejno mijają pole minowe. Trudno określić uczucie, jakie się ma, wiedząc, że życie wszystkich zawisło na cienkim, niewidocznym nieraz druciku. W każdym razie wszyscy mają tę samą myśl: „Jak to dobrze, że przyszliśmy tu w dzień, a nie w nocy, jak to było pierwotnym zamiarem".

Zwolna patrol dochodzi do grzbietu. Na horyzoncie wyrasta sylwetka pierwszego domku. Przed nią wykopane stanowisko r.k.m., widocznie dopiero co opuszczone. Na przedpiersiu leży koc, obok puste butelki po piwie i puszki od konserw. Padają ciche rozkazy — po chwili domek jest przeszukany. Wewnątrz nie ma nikogo. Jedynym śladem są tylko niemieckie granaty ręczne i skrzynka po piwie.

Czyżby Niemcy wycofali się w ciągu nocy?

Teraz patrol zostaje podzielony na trzy mniejsze zespoły.

Jeden zostaje w domku, jako ubezpieczenie, drugi idzie w górę, spatrolować znajdujące się tam osiedle, trzeci wreszcie ma przeszukać inny domek, leżący około 100 metrów z boku.

Zachęceni brakiem śladów nieprzyjaciela, chłopcy śmiało idą naprzód, są już zaledwie 30 kroków od domku, gdy nagle plunęła ku nim seria ze „Schmeissera". — Wszyscy padli za mały, półmetrowej zaledwie wysokości murek. Seria szczęśliwie poszła za nisko, tuż pod nogami. Odłamki kamieni dały tylko lekkie zadraśnięcia.

Wszystko stało się tak nagle, tak nieoczekiwanie, że nikt nie zaobserwował dokładnie, skąd padły strzały.

— Ja się podniosę, by sprowokować nową serię, a wy uważajcie tymczasem dobrze — woła Henek i wysuwa się z za murku. Okno, zamienione na strzelnicę, zakopciło się błękitnym dymkiem i grad kul klaszcze o kamienie muru i śwista koło uszu. Seria i tym razem jest niecelna. Strzały w okno uciszają na chwilę r.k.m., granaty jednak nie mogą poradzić domkowi, zamienionemu na „pillbox".

Drugi patrol tymczasem został zawrócony ze swej drogi i próbuje zaatakować domek od góry. Skokami, od miedzy do miedzy, posuwają się strzelcy przez pola ku domkowi, aż wreszcie zajmują stanowiska za głazami i kamiennym murem. Koło domku coś się poruszyło.

W tej samej chwili Franek przesadza jednym skokiem murek, za którym leżał, i szybko biegnie w stronę domku. Gdy znika za następną miedzą, pada kilka strzałów. Następuje cisza. Długa, dręcząca cisza. Wreszcie, po chwili, która wydaje się wiekiem, Franek wyczołguje się z za miedzy, przewala przez szczątek muru i, leżąc, daje znaki ręką. Jest ranny.

— Nie ruszajcie się z miejsc, uważajcie na domek — rozkazuje por. C. i, nie bacząc na możliwość obstrzału, rzuca się naprzód.

Po chwili leży przy Franku i opatruje jego ranę.

— Dlaczego pobiegłeś pod sam domek? Czy nie słyszałeś, że kazałem ci zająć stanowisko za murem? — pyta porucznik.

— Ja zobaczyć Niemca — ja nie wytrzymać — odpowiada Franek.

Jest Polakiem z Ameryki, nazywa się Rogucki, pochodzi z Pittsburgha i słabo mówi po polsku, ale czuje i myśli, jak prawdziwy Polak. Mógł pozostać w dobrze płatnej armii USA, ale za namową matki wybrał wojsko polskie. I tu zgłosił się do oddziału, który najwcześniej mógł znaleźć się na froncie. A gdy zobaczył nareszcie upragnionego Niemca, nie wytrzymał i wbrew rozkazom skoczył naprzód.

Rana jego jest ciężka. Porucznik bierze rannego na plecy, podnosi się i wolno, uginając się pod ciężarem, idzie do góry.

Wszyscy wstrzymują oddech, wszyscy czekają, kiedy z domku padnie strzał, lub rozlegnie się echem seria „Schmeissera".

Przecież sylwetka porucznika jest z domku widoczna, jak na dłoni... I tak wolno, przysłaniając co chwila, posuwa się w górę...

Strzał nie padł.

Obserwatorzy meldują, że z osiedla w górze wyszedł patrol niemiecki. Z dołu, z miasteczka, też wysuwają się jacyś Niemcy.

Przychodzi rozkaz odwrotu. Męką jest transport rannego przez pola minowe, przez płotki i murki, przez nurt rzeki. Bród jest widoczny ze strzelnicy domku — czy patrol zostanie ostrzelany?

Partia, niosąca rannego, przechodzi spokojnie — dopiero po chwili, gdy ubezpieczenie przekracza rzekę, seria, ale znów nie celna. Mokrzy i zmęczeni odpoczywają żołnierze w krzakach.

Ranny, mimo zmienionego opatrunku, krwawi i jęczy z cicha.

Zapada zmrok. Ktoś sprowadza muła z pobliskiego osiedla i na nim ostrożnie układa się Franka. Długa droga przez jary i wyrwy górskiego „no man's landu" jest prawdziwym koszmarem.

Ranny stacza się i musi być ciągle podtrzymywany. Wkrótce traci przytomność. Kamienie usuwają się z pod nóg, co chwila ktoś wpada w dziurę, glina oblepia buty i utrudnia posuwanie się.

Góry wydają się coraz wyższe. Wreszcie, po wielu godzinach drogi, patrol dochodzi do miasteczka. Lekarz, zawiadomiony przez gońca, oczekuje na drodze, lecz, dotknąwszy rannego, cofa się prędko i stwierdza: „Nie żyje".

Kapitan melduje dowódcy odcinka wyniki patrolu:

„W miasteczku i osiedlu są Niemcy. W domkach stanowisko k.m. Rozpoznałem przez walkę. Rzeka możliwa do przejścia."

Anglik, wysłuchawszy szczegółów, wstaje i oświadcza: „Well done", a potem dodaje: „Jest mi bardzo przykro, że ten chłopak zginął. Zaraz każę tam położyć ogień". I gdy ludzie rozchodzili się na kwatery, nad głowami przelatywały już świszczące pociski, a hen, w dole, nad Sangro tam, gdzie stały na wzgórzu dwa domki, wykwitały pomarańczowe rozbłyski wybuchów.

MACIEJ DRZEWICA

Z RADIOSTACJĄ

Noc była stosunkowo ciemna. Oparty o ścianę, wartownik w milczeniu przeprowadzał nas wzrokiem, gdyśmy skręcali w uliczkę, prowadzącą w stronę plutonu por. Zalewskiego. Zbyszek i ja dostaliśmy przydział tam, jako obsługa radiostacji.

— Gotowe?

— Tak jest, panie poruczniku!

Z „pudełkiem" na plecach wyglądamy niezawodnie, jak bardzo objuczony muł.

— Pan Kapitan... — rzucił ktoś od drzwi.

— Dziękuję! Jedzcie śniadanie... — „Stary" znał porucznika i wiedział, że bez raportu się nie obejdzie.

Zapalił papierosa i przesuwał spojrzeniem po szykujących się do odmarszu.

— Przełóż magazynki do ładownic... z chlebaka będziesz wyciągał, jeśli do ciebie wygarnie?... granaty masz?... — „Stary" pamiętał o wszystkim. Jego uwagi każdy traktował serio.

Wyszliśmy gęsiego. Łagodny stok przechodził w spadzistą ścianę. Ze wzrokiem, utkwionym w dół, przeskakiwaliśmy z kamienia na kamień, czepiali skalistych występów, zapadali w wyrwy, by stanąć przez sekundę nad niewielkim urwiskiem jaru

i skoczyć dalej. Było na tyle widno, że bez trudu można było rozróżniać sylwety.

Strome zejście przechodziło wreszcie w łagodniejszy nieco stok. Musieliśmy już zachowywać środki ostrożności. Istne szpalery krzewów, głazy i wklęśnięcia terenowe mogły służyć nieprzyjacielowi za doskonałe miejsca zasadzki. Ciemna ściana lasu na stoku góry z naszej strony potwierdzała to przekonanie. Nie byliśmy przecież pewni, że grasujemy swobodnie po jarach i wąwozach. Niemcy mogli przedsięwziąć te same kroki. Możemy się natknąć na równie silny patrol, idący w tym samym celu w kierunku naszych stanowisk. Przystawaliśmy coraz częściej. R.k.m. zajmował stanowisko gdzieś na uboczu, by ubezpieczać szperaczy, którymi byli porucznik i Adaś Bachleda. Gdzieś w dole błyskało światełko, to Niemcy odgrodzeni od nas polami minowymi i wstrzelanymi w przejścia c.k.m.-ami nie starali się ukrywać swej obecności.

Wysuwamy się na bardziej otwartą przestrzeń. Widoczność jest lepsza. Od najbliższego żywopłotu dzieli nas kilka kroków. Porucznik i Adaś szybko pomknęli w tamtym kierunku. Psyknięcie. Wysuwa się r.k.m. i my.

— Wojtek! Ubezpieczysz nasz ewentualny odwrót, stojąc przy cmentarzu. Ja z podchorążym zasięgniemy języka we wsi.

Porucznik mówi to szeptem. Inicjatywę w swoje ręce obejmuje sierż. Szablowski.

— Zbyszek tutaj, z obserwacją na tę drożynę. R.k.m. na skraj cmentarza. Ty ze swoim „patefonem" przy tamtym murze.

Ostrożnie skradaliśmy się na wyznaczone stanowiska. W kaplicy cmentarnej leżały jeszcze trupy rozstrzelanych przed dwoma dniami. Ciemne sylwety krzaków wyglądały jak skulone postacie ludzi. Z za chmur wychylił się księżyc, oświetlając pierwsze zabudowania ciche i uśpione.

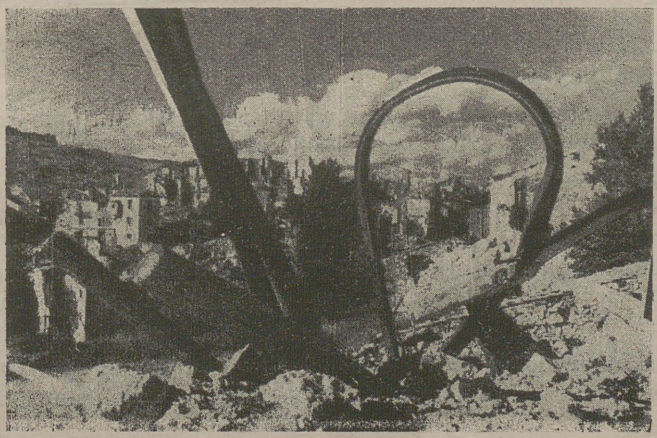

Ciszę przerwało szczekanie psa. Nasi są już napewno we wsi. Nasłuchuję, czy się nie rozlegnie strzał, czy jakieś odgłosy nie nakażą nam przyjąć wyczekującej pozycji. Ale tylko pies szczekał bez przerwy.

Ktoś psyknął. Szybko przebiegliśmy w dół, kierując się ku wiosce. Skokiem przebywamy odkryty odcinek, jakieś opłotki, ruiny zbombardowanego domu. Porucznik i Adaś podkradają się ku odosobnionym zabudowaniom na skraju wsi. Wchodzimy do chałupy.

Ciasnym półkolem stoją kobiety i dzieci wkoło kominka, niezdecydowani, co robić. Nie wiedzieli, kim jesteśmy i poco przybywamy.

— Tedeschi... — ktoś szepcze.

Są przerażeni. Niemcy składają tu tak częste wizyty, że się do tego już przyzwyczaili. Jeno trudno przyzwyczaić się do widoku ofiar rozstrzeliwanych bez sądu. Trudno przyzwyczaić się do biernego zachowania się wobec grabieży, gwałtów i zabierania zdolnych do pracy. Uchmanowicz w kilku słowach rozwiewa ich obawy. Stali się momentalnie uczynni i gadatliwi. Wobec ich gadatliwości z kolei porucznik jest bezradny i trzeba uciekać się do forteli, by ich uciszyć.

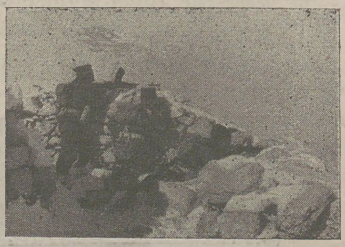

— Nawiązać łączność — słyszę głos porucznika. — R.k.m. i jeden tommy-gun z tamtej strony.

Włosi przyglądali się nam w milczeniu. Dostrajanie się do stacji kierowniczej zajęło nam trochę czasu.

Tymczasem z domu, w którym byliśmy, zrobił się cel pielgrzymek. Co chwila przychodził jakiś Włoch i zostawał, gapiąc się na nas. Było to nam bardzo nie na rękę. Ludności cywilnej nie należało ufać. Porucznik energicznie zagroził gospodarzom, że jeśli te wizyty nie ustaną, ich konsekwencje mogą być bardzo przykre.

Poskutkowało. A nawet odniosło niespodziewany rezultat. Do chaty weszło trzech młodych ludzi, ofiarowując swe usługi. Brata

jednego z nich przed dwoma dniami ciężko zranili Niemcy. Ludzie znali jego historię i cichym pomrukiwaniem potwierdzali jego opowiadania.

— „Hallo... Able one... O.K.„ Over:::"

Łączność była nawiązana. Porucznik notował informacje, podane przez Włocha. W tamtym budynku około 30 Niemców. Obok w dwóch przyległych obsługi r.k.m.-ów. Tutaj obok wielkiego głazu stałe stanowisko c.k.m.-u. Włoch stał przy oknie, pokazując ręką punkty w terenie. Porucznik szybko robił szkic.

Naszym zadaniem jest uzyskać wiadomości o nieprzyjacielu i, w miarę możności, przyprowadzić jeńca. Domki i stanowisko c.k.m.-u nie dają najmniejszego znaku życia. Mimo zapewnień Włocha, mamy wątpliwości. Dzień jest już jasny. Jakiś ruch musi zdradzić obecność ludzi.

— „Hallo, Able one, massage for you... Over" — zgłasza Zbyszek. Dyktuję mu dane dla artylerii.

Czekamy na potwierdzenie wiadomości. Podajemy nowe dane. Płyną godziny. Zmieniamy się przy radiostacji, przy r.k.m.-ie i punktach obserwacyjnych. Zapadał zmierzch.

Pluton przygotowywał się do odmarszu na zasadzkę. Niemcy codzień przechodzili w nocy bród na skraju wioski. Może stanie się to i dziś.

Radiostacja nie była już potrzebna. Porucznik wydał nam dyspozycje:

— Idźcie dłuższą, ale bezpieczniejszą drogą. Trafić łatwo, bo tamte dwie skały widać wszędzie.

Trafić łatwo nie było — nadeszła mgła. Szliśmy po omacku. Od strony wsi słychać było strzały. Nie wiedzieliśmy, czy to nasi natknęli się na Niemców, czy Niemcy ostrzeliwali wioskę.

W Pescopennataro byliśmy koło północy. Zmęczeni, mokrzy od potu i mgły. I nie bardzo pewni, czy dobrze idziemy. Ostre — „Stój!" — powstrzymało nas. Z cienia wychylił się podchorąży Janek Jedwab z tommy-gunem na ramieniu.

Krótki raport w dowództwie. Szklaneczka rumu. I położyliśmy się spać. Nie przypuszczaliśmy, że się jeszcze tej nocy zerwiemy.

Koło trzeciej kompanię poderwał alarm. Rechot strzałów i po chwili cisza. Gorączkowo narzucaliśmy oporządzenie i sprawdzaliśmy broń. Przed wejściem do budynku wartownicy umacniali stanowiska kamieniami. A na dworze mgła jak mleko. Widzialność bardzo ograniczona. Staramy się zrozumieć sytuację.

— Janek ranny...

— Dostał trzy pociski ze Schmeissera, z odległości 5 kroków...

— Silny patrol niemiecki przedarł się szczytami...

Niedaleko huknął strzał, powtórzony przez echo między skałami.

— Porucznik Lubański z dwoma ludźmi nawiąże łączność z pierwszym plutonem. Niebezpieczeństwo, zdaje się, minęło, ale czuwać trzeba — „Stary" mówił to z zupełnym spokojem.

Ppor. Lubański spojrzał na nas:

— Pójdziecie...

Owionął nas chłód nocy. Mgła była tak gęsta, że trudno było cośkolwiek widzieć, nawet o kilka kroków. Szliśmy ostrożnie, przygotowani w każdej chwili do strzelania z „hipu".

Ppor. Lubański szedł pierwszy.

JERZYCZ

OBRONA PESCOPENNATARO

Był mroźny wieczór 21 grudnia. Na dolinkach, nad morzem chodzi się bez płaszczy, ale tu, w górach, śniegi spadły.

W kasynie przy drinku siedziało smętnie kilku oficerów z generałem, dowódcą angielskiej dywizji.

Na prawo, nad Adriatykiem, zajmowała pozycje 8 Armia, z drugiej strony 5 Armia Amerykańska szła, aż po morze Śródziemne. Między tymi armiami szło strome pasmo gór, przez które ani nieprzyjaciel, ani my nie moglibyśmy prowadzić żadnych poważniejszych operacji. To też dywizja generała Keightley'a była rozrzucona na szerokiej przestrzeni między obu armiami, jako strzegąca terenu.

Nic nie działo się w tym ponurym krajobrazie górskim i zbliżająca się Wigilia nie wróżyła, że przyniesie jakieś emocje.

Nagle wszedł pośpiesznie oficer służbowy i zameldował, że dowódca szwadronu rozpoznawczego brytyjskiego pułku kawalerii, który zajmował skrajne, prawoskrzydłowe stanowisko w dyzlokacji dywizji — w górskim miasteczku Capracotta nad rzeką Sangro, odległym o dwie godziny jazdy autem od sztabu dywizji — przysłał łazikiem chłopa włoskiego, który uciekł od Niemców z wiadomościami, wymagającymi natychmiastowej decyzji.

Wprowadzono małego, czarnego człowieczka, który począł coś szybko mówić dziwnym, tutejszym narzeczem, żegnając się szybko raz po raz. Z tego potoku słów cierpliwy tłumacz wydobył zeznanie następujące:

Opowiadający zeznał, że został wzięty, jako przewodnik, wraz z trzema innymi chłopami. Mieli doprowadzić górami oddział, li-

czący 250 żołnierzy niemieckich, strzelców alpejskich, do wioski, zawieszonej na dużej wysokości. Wioszczyna ta liczy podobno niewiele lepianek, aczkolwiek wiele liter ma w nazwie.

Pescopennataro!... Oficerowie pochylili się gorączkowo nad mapą. Tak, ta wioska jest obsadzona przez 70 polskich commandosów. Siedzący na uboczu oficer polski *), który odbywał stage przy dywizji, zbliżył się gwałtownie.

Z chłopa niewiele więcej można było wydobyć. Uciekł po drodze, wpadł po żonę, doszli do Capracotta, skąd przesłano ich tu. Niemcy powinni właśnie dochodzić do Pescopennataro.

Nie było sposobu posłać pomocy Polakom. Z najbliższego do nich punktu można było posuwać się tylko pieszo. W dzień, przy ostrym marszu, drogę tę można przebyć w cztery godziny. W nocy wysyłać tymi perciami oddział było niepodobieństwem. Szwadron, stojący w Capracotta, był lekkim szwadronem rozpoznawczym, nie przystosowanym zupełnie do tego rodzaju operacji, w której nie można było użyć wozów pancernych. Poza tym, kiedy przewodnik dobrnął do Capracotta, nawet natychmiast wysłana pomoc byłaby o dwie godziny spóźniona.

Generał połączył się natychmiast z dowódcą szwadronu.

— Właśnie otrzymaliśmy meldunek z Pesco — chrypiała słuchawka — że atak się zaczął.

Generał spojrzał bezradnie na polskiego oficera:

— Czy pan sądzi, że 70 Polaków da sobie radę z oddziałem wypadowym 250 strzelców alpejskich?

Polski oficer rozumiał, że czy odpowie tak — czy inaczej, polscy commandosi pomocy nie otrzymają. Więc odpowiedział:

— Pan generał obawia się, że jest ich za mało? Ja sądzę, że jest ich — quite enuogh...

---

*) Płk. dypl. Klemens Rudnicki.

— So!... — mruknął dywizjoner. Nie wiadomo było, czy w tym mruknięciu jest aprobata rezolutności, czy niechęć dla chwalby. Z ciężkim sercem poszli spać.

O świcie z Capracotta przyszła wiadomość radosna: „Atak odparty. Na przedpolu zostało 20 niemieckich trupów. Polacy mają trzech rannych, w tym jeden ciężko. Polscy commandosi udali się w pościg za nieprzyjacielem."

Oficer polski wyjechał do Capracotty za szarą. Pierwszą osobą, na którą się natknął, był rtm. Bohomolec, oficer łącznikowy polskich commandosów, ułan Krechowiecki, który ongiś jachtem przepłynął przez Atlantyk.

Kiedy przybył włoski chłop, zapewniając, że pilne wieści, major, dowódca brytyjskiego szwadronu, wielki służbista, kazał go natychmiast i w sposób najszybszy odstawić do dywizji.

— Wypytajmy go naprzód, bo może nam wiadomości się przydadzą — nalegał rtm. Bohomolec.

— Diabeł go tam zrozumie... — mruczał major.

Sprowadzono tubylca, mówiącego z kiepska po francusku. Powoli wyszło, że idzie o napad na Pescopennataro. Uprzedzono siedzących tam Polaków.

Kapitan, dowodzący kompanią, przed wojną porucznik piechoty w Dyw. Podhalańskiej, odznaczony krzyżem Virtuti Militari za walki 1. Dywizji we Francji (dla którego to miała być pierwsza, jak zresztą dla wszystkich Polaków, poważniejsza walka we Włoszech), niezwłocznie obsadził wyjścia ze wsi i odpowiednio rozlokował rozporządzalne cztery c.k.m.-y.

Niemcy podeszli z kilku stron naraz. Na niektórych punktach obrony walka szła na granaty ręczne. W czas uprzedzone o zbli-

żaniu się Niemców, dwie baterie brytyjskich 25-funtówek pokryły gęstym ogniem dojścia do wsi. Artyleria walczyła też i o swoją skórę, bo wypad niemiecki miał właśnie na celu, po zdobyciu z nienacka stanowiska polskiego, obejść i wygnieść artylerię.

Kiedy oficer polski, po uciążliwym marszu pieszym do Pescopennataro, trwającym pięć i pół godziny, i powrocie na grzbiecie muła transportowego, a potem łazikiem w towarzystwie wozu pancernego, który mu dla ochrony przydzielili troskliwi Anglicy, stanął przed dowódcą dywizji — generał angielski powitał go serdecznie i niecierpliwie:

— Niech pan zaraz przetłumaczy ten tekst — wyciągnął kartkę papieru — chcę go zaraz posłać tym chłopakom.

I następnego dnia przed frontem kompanii — weteranów wojny hiszpańskiej, byłych wiarusów legii cudzoziemskiej, górników francuskich i tych najliczniejszych, co przyszli przez zielone granice z Kraju, dowódca ich, kapitan Smrokowski, czytał:

„Do Dowódcy polskich commandosów.

Z okazji Pańskiego pierwszego starcia z przeważającym nieprzyjacielem wyrażam gorące podziękowanie Panu, Pańskim Oficerom i Szeregowym, za zdecydowane i dobre wykonanie zadania i utrzymanie powierzonego odcinka. Wasze działanie jest zgodne ze znakomitą tradycją Armii Polskiej i Brytyjskiej, to też, w imieniu żołnierzy 78 Dywizji, przesyłam Panu podziękowanie za dobre rezultaty walki.

Dowódca 78 Dywizji
C. A. Keightley, generał - major."

MELCHIOR WANKOWICZ

CZASEM TRUDNO WYTRZYMAĆ

Leżę pod ogołoconym z liści krzakiem — łokcie bolą już od ciągłego podpierania się na twardym kamieniu, a palce drętwieją od trzymania lornetki. Przede mną teren opada gwałtownie i poza łożyskiem huczącej wezbraną wodą rzeki podnosi się pionowa szkarpa. Tam, po drugiej stronie, są „ONI". — Złość nas ogarnia — chciałoby się wyrwać z tego stanowiska, przeskoczyć przez nurt rzeki, wpaść do domów po tamtej stronie, plunąć serią z tommy-gunu, czy walnąć w rozwarte drzwi granatem. Marzy się w cichości o stoczonej wręcz walce — a tu tymczasem, po na-

szej długiej wędrówce po bezdrożach górskich, zapadamy skrycie na stanowisku obserwacyjnym, by w odrętwieniu przetrwać dzień cały i następnej nocy znów niewidocznie wycofać się w górę. Wszystko to dla jakiegoś szkicu, dla wyznaczenia celów artylerii, która potym zbiera laury z naszej obserwacji.

Coś nagle poruszyło się — zmysły zaostrzają się, wzrok przykuwa punkt jeden. Za rzeką, z domu, leżącego około 400 metrów przed nami, wychodzą trzy postacie. Idą, jakby niedbale, zatrzymują się, to znów ruszają dalej. Już widać ich dobrze — dwie w wojskowych mundurach — trzecia to kobieta. Czy młoda i ładna? — trudno z tej odległości osądzić, w każdym razie porusza się zwinnie i lekko. Idą w stronę rzeki — może przeprowadzają przez pola minowe — a może chcą ją przeprawić na naszą stronę? Są już nad samym brzegiem.

Wtem zdumione oczy rejestrują nagłe szarpnięcie i huk jakiś rozlega się echem. Z pistoletu, trzymanego w dłoni przez Niemca, unosi się w górę leniwie wąska smuga sinego dymu. Ciało kobiety z rozkrzyżowanymi rękoma obija się o występy szkarpy, leci bezwładnie w dół i drga jeszcze konwulsyjnie na szarym, rzecznym kamieniu. Dwie krótkie serie z pistoletu maszynowego dokończają dzieła.

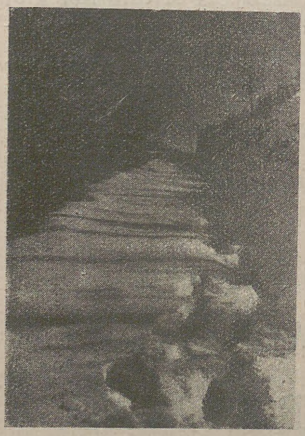

Mimowoli ręka zaciska się na karabinie; widzę oczy towarzyszy, zbiegające na linię celownika... Nie!... Nie wolno!.., nie możemy zdradzić naszego stanowiska, nie wolno, by Niemcy dowiedzieli się, że są obserwowani z tak bliska, że wszelkie ich placówki, kwatery i drogi są przez nas nanoszone na szkic, że to posłuży do planowania wypadu, lub do prowadzenia ognia artylerii. Coś chwyta za gardło, jakiś skurcz obrzydzenia i nienawiści dławi i dusi. Trzeba się jednak powstrzymać od wymierzenia doraźnej sprawiedliwości za ten mord i gwałt, dokonany ohydnie na naszych oczach, w zasięgu strzału naszych karabinów. Mamy roz-

kaz za wszelką cenę nie zdradzać naszego stanowiska obserwacyjnego. Dwaj Niemcy spokojnie odchodzą w stronę domu.

Nad nami, furkocząc, poczynają przelatywać pociski, eksplodujące gdzieś w dali głuchą detonacją. Zaczyna się codzienna zabawa artylerii. Myśl jest jednak zajęta czym innym, nie zwracamy na to prawie żadnej uwagi.

Wyjmuję szkicownik i poczynam powoli nanosić na plan położenie domku. To wszystko, co mogę dzisiaj zrobić...

STEFAN ZALEWSKI

NA SKALE

Ostatnie blaski zachdzącego słońca kładły czerwoną poświatę na skałę, na której siedziałem. W dole, u moich stóp, szumiało Sangro, tocząc spieniony nurt górskiej rzeki — za nim, na horyzoncie, odcinała się śnieżna, poszarpana grań Majella. Jakaś dziwna tęsknota zbudziła się do gór, których tak dawno nie widziałem — myślą wróciłem do Tatr, przez które wyszedłem z Polski, a z którymi tyle wspomnień mnie łączy.

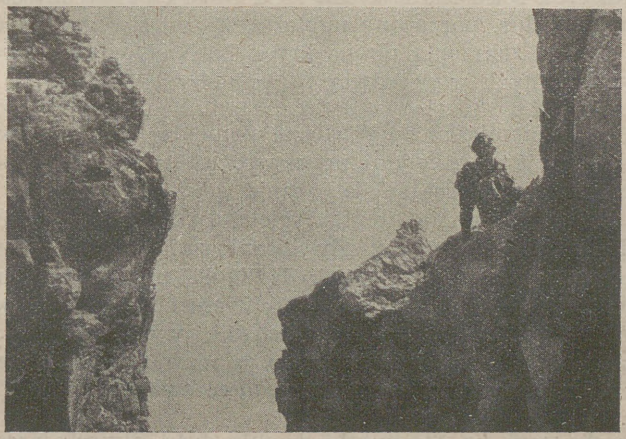

Wpatrzony w śnieżne zbocza, wsłuchany w szum górskiego potoku, zapomniałem, że to nie Tatry są przede mną. Zapomniałem, że tam, po drugiej stronie, są Niemcy, że, zamiast czekana; leży obok mnie karabin, że, zamiast zejścia do schroniska, czeka mnie całonocne leżenie w zasadzce. Skała, na której siedziałem, była mi znana — taki właśnie fragment grani był gdzieś w Śnieżnych Turniach — szum potoku przypominał Roztokę, czy Olczyską dolinę; łagodne zbocze naprzeciw mnie było Wołoszynem, czy Koszystą...

Czas skończyć rozmyślania i przygotować się do patrolu. I znów, mimo woli, przypomniało mi się wyruszenie na skalną tarzańską wyprawę. I tu i tam było troskliwe opatrzenie sprzętu— i tu i tam było pilne studiowanie drogi, tu stosunkowo łatwym terenowo zejściem nad rzekę, tam na pionowej skalnej ścianie. Tu i tam była niepewność, co droga przyniesie, czy będzie możliwa do przejścia, czy dalej „puści". Tylko, że tam przeszkodą bywał najczęściej pas skalnych przewieszek, lub gładkie, pozbawione chwytów płyty — tu zaś mieliśmy żywą przeszkodę: niemieckie patrole i gniazda c.k.m.-ów.

MACIEJ DRZEWICA

WIGILIA

Las szumiał, kołysany wichrem. Świerki schylały oszronione gałęzie nad ścieżką, wiodącą w górę krętymi zakosami. Zamarznięta ziemia dudniła pod stopami maszerujących, którzy ostrożnie, omijając gęsto rozrzucone wzdłuż trasy miny, pięli się ścieżką do góry. Gdzieś, z boku wśród krzewów, zabieliły się strzępy bandaży, porwany mundur, porzucone menażki. Z pod siwego szronu wyzierała czarna, zakrzepła plama krwi. To Niemcy opatrywali tutaj swych rannych w przedwczorajszej bitwie.

Las był „ziemią niczyją". Leżał pomiędzy naszymi stanowiskami i pozycjami, zajętymi przez wroga. To też patrol posuwał się ostrożnie, ubezpieczając się bacznie, gdyż w każdej chwili można się było natknąć na nieprzyjaciela. Dziwny to był patrol — z przodu i z tyłu jak zwykle, szły ubezpieczające grupki z tommy-gunami, grupa środkowa jednak dźwigała, miast broni, trzy olbrzymie choinki. Jutro wigilia — niewielu chłopców na niej będzie, bo przecież trzeba obsadzić placówki i wysłać patrole — jednak każdy pluton, czy to mieszkający w rozwalonym kościele, czy też w zrujnowanych domach, chciał mieć swoją choinkę.

Las skończył się. Od wioski dzieliła duża, otwarta przestrzeń, którą normalnie przebywało się skokiem, lub czołgało się wzdłuż niewielkiego zagłębienia. Teraz trzeba było przeciągnąć przez nią choinki, czego nie dało się zrobić, ani skokiem, ani czołganiem. Chwila... długa chwila i grupa środkowa, jakgdyby nigdy nic, przechodzi przez odkrytą przestrzeń... Wyczekiwanie, czy dzwoniącej w uszach, ciszy nie rozerwie nagle huk strzału. Trzy postacie z choinkami idą wyżej i wyżej... już dochodzą do cmentarnego muru na skraju wioski... już znikają między domami. Strzał nie padł... Czy Niemcy nie zauważyli?... czy może strzelać nie chcieli?

Noc była jasna, księżycowa, bezwietrzna. Wieś zasypiała powoli, przebłyskując to tu, to tam bladym światełkiem elektrycznej latarki. Nie wieś raczej, a ruiny, w których gnieździł się jakimś cudem obdarty, krzykliwy ludek, siłą przyzwyczajenia trzymający się swoich sadyb. Na względną, zamieszkiwaną całość składało się zaledwie kilka domów i kościół. Ten ostatni pulsował uregulowanym tempem bez względu na porę, czy rodzaj pogody. Przed budynkiem dowództwa przechadzał się wartownik — pod rytmicznym krokiem chrupała zmarznięta ziemia.

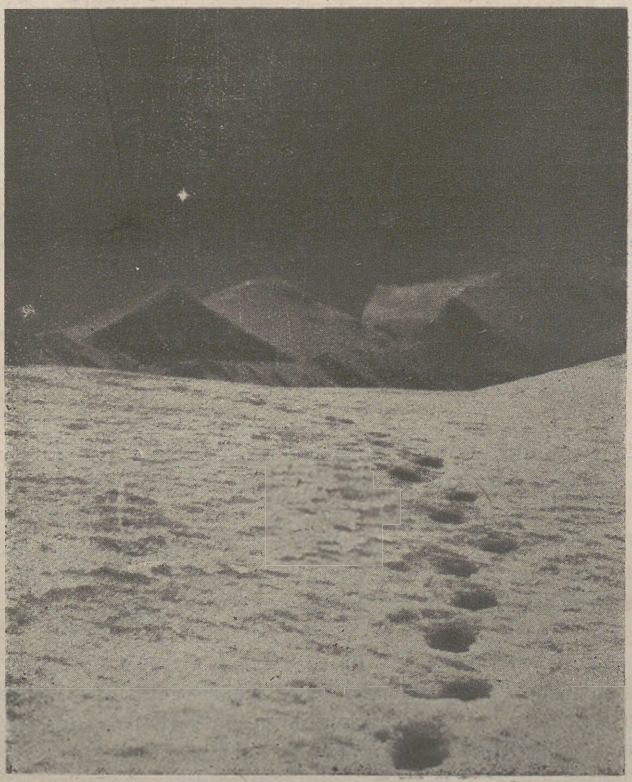

Wartownik nie myślał, ani o hałaśliwym chrupocie, ani o padającym w górach śniegu, ani o przytłumionym gwarze, dochodzącym z wnętrza bundyku. Cóż... do wszystkiego przyzwyczaić się można. Są już od kilku tygodni w tej, jakby przyklejonej do skał wiosce, skąd wychodzą na patrole, tu trzymają wartę... Chodził wzdłuż budynku, obserwował wyloty ulic.

W kościele, gdzie stacjonował pierwszy pluton, poczęli śpiewać kolędy. W godzinę później wiatr przyniósł melodię „Bóg się rodzi" z bliżej położonego budynku. Melodia wprawdzie nie har-

monizowała z brzękiem gitary, ale i śpiewający i ów indywidualista grający nie odstępowali od swego. Niezawodnie i w drugim plutonie już się z czupryn kurzyło. Ktoś wybiegł, zakaszlał, ktoś inny wołał: „Adaś... Staszek!...” i znikał we drzwiach. W rozwalonej stajni zaimprowizowali łaźnię w blaszankach od benzyny grzejąc wodę.

Wartownik uśmiechnął się do siebie, poprawił kołnierz i rozejrzał się badawczo wokoło. Nagle drzwi skrzypnęły i na dwór wyszedł „Stary”. Bez beretu i najmniejszych oznak sentymentu, jaki zazwyczaj ogarnia nas w momentach tradycyjnej wigilii, czy czegoś w tym rodzaju.

— Życzę wam na tym posterunku byśmy w przyszłym roku w lepszych składali sobie warunkach życzenia — rzekł.

Uścisnęli sobie dłonie. Oczy, spojrzenie powiedziało więcej. Wartownik wolno wkładał do ust kawałek ułamanego opłatka. „W lepszych warunkach...” Ileż to już razy słyszało się?... Na górze rozlegały się gromkie: „Niech żyje...”, „Najlepszego”; „W Polsce, panie poruczniku!...”

Tak... Dziś, wigilia... tutaj.., A kiedyś? W 1939 roku? W zamyśleniu potarł dłonią oczy, nie zauważając nawet, że przyspieszył kroku.

Fala wspomnień napłynęła z daleka. Chociaż pod okupacją, ale zawsze w domu. Ojciec, matka, rodzeństwo... A potym? Potym ciężkie dni przeprawy przez granicę, obozy na Węgrzech, Francja... Pamięć o przeszłości zacierała się. Odbiegała gdzieś myśl o Bożym Narodzeniu, o dziecku i matce przed „betlejemką”, o zapach śnieżnych. To kiedyś miało miejsce, to było...

Ani się spostrzegł, jak czas mijał. Na strychu zamiauczał kot. Gdzieś, w głębi domu rozległy się kroki, rozdudniły na stopniach, wybiegły na zewnątrz. Wartownik odetchnął z ulgą. Zaśnie wkrótce... odrzuci myśli... zapomni... będzie sobą...

Wspomnienia sprawiały ból.

— Będzie jutro pogoda?

— Przypuszczam, panie kapitanie...

Więc nie zmiana. Lecz wdzięczny był za to odezwanie się, za wyrwanie go z zadumy, za wciśnięcvie w rzeczywistość. Właśnie w tej chwili.

(*JERZYCZ*)

KOLĘDA

Wśród nocnej ciszy, wskroś czarnych godzin
Przez mglistą trwogę ku dniowi brodzim
Śpiewać dzisiaj nie będziemy
Przywarci czujnie do ziemi
Naprzeciw wroga.

W milczeniu głuchym ruin bronimy —
Z świata dawnego tylko ruiny —
Ale z szpiku naszych kości
Rozprzestrzeni się, rozprości
Nowy, cudny świat.

Przebacz nam Jezu za mroczne twarze,
I że Ci piosenki nie niesiem w darze;
Zbliż swą dłoń do piersi naszej,
Tam Ci wszystko wytłómaczy
Jej pospieszny szept.

Bolesław Świtalski

„TWO DIRECT HITS — WELL DONE"

Nareszcie po czterech latach doczekaliśmy się porządnej zimy. Zadymka szaleje już trzeci dzień i nie zanosi się na to, aby przestała w ciągu najbliższych godzin. Zaspy śnieżne zasypały przejścia między ruinami zwalonych domów i resztą pozostałych, utrudniając poruszanie się w górskiej wiosce Pescopennataro.

Tu pojedyncza ściana zburzonego domu, tam sterczący ponad resztę rumowisk osmolony komin, a trochę dalej grupa ciągnących się wzdłuż stromej ściany skalnej, domów z ciemnymi oczodołami okien i z zawalonymi dachami. Wszystko to stało zbolałe, umęczone i swą bezradnością o pomstę wołające do nieba, ubrane zaś w białą szatę śnieżną nabrały jeszcze większego wyrazu nędzy i ubóstwa.

To rycerze Hitlera, walczącego o „przestrzeń życiową", zaznaczyli w ten sposób swą drogę powrotną do Reichu, zanim przeszli na drugą stronę rzeki.

Wczoraj dali upust swym namiętnościom tutaj, a dziś tam, w dole, nad rzeką w S. Angello, ich patrol rozstrzelał trzech Włochów. Wczoraj dwaj „gentlemani" z pod znaku swastyki zepchnęli kobietę włoską ze skał, a następnie dobili ją, strzelając z pistoletu maszynowego i karabinu, a dziś ich banda, około sześćdziesięciu ludzi zrabowała Villa S. Maria, zabierając żywność i biżuterię.

Niewidzialne dla zaminowanych, zapułapkowanych i umocnionych „bunkrów", dobrze zamaskowane w terenie oczy naszych patroli śledziły każde poruszenie na tamtej stronie rzeki. Tu dowódca patrolu naniósł na szkic c.k.m., który wczoraj strzelał do kobiet i dzieci, przechodzących rzekę na naszą stronę, a tam zaznaczył dom, z którego wyprowadzono nieszczęśliwą Włoszkę na rozstrzelanie. W innym miejscu rozpoznał placówkę łączności.

Nic nie uszło uwagi kilku lornetek, które nieraz po kilkanaście godzin bez przerwy przeszukiwały pilnie powierzony im odcinek.

Po długim wypatrywaniu, rysowaniu i utrwalaniu sobie terenu w pamięci, wracały patrole do swego m. p.

Połowa zadania została wykonana.

Drugą połowę możnaby nazwać „combined operation" — na małą skalę. Rozpoczynała się ona następnego dnia z rana, skoro tylko widoczność pozwoliła wyszukać wczoraj rozpoznane cele w terenie.

Młody kapitan - artylerzysta, Anglik, rozpoczynał wstrzeliwanie się do opisanego mu celu. Początkowo pociski padały zwykle dosyć daleko od swego miejsca przeznaczenia. Potym coraz bliżej i bliżej, aż w końcu „obramowanie" wyniosło kilkadziesiąt metrów.

Oczy bolały od wypatrywania i już chciało się odłożyć lornetkę, gdy nagle ruch jakiś w rejonie naszego celu nakazał za-

trzymać szkła przy oczach i zmusił do jeszcze bardziej wytężonej obserwacji.

Czterech ludzi wybiegło z ostrzeliwanego domu, popędziło w kierunku wioski. W chwilę potym dwóch następnych, potym jeszcze dwóch — wszyscy biegną w tym samym kierunku.

Niemcy, ogarnięci szałem trwogi, zrozumieli, że są celem ognia angielskiego artylerzysty. Zrozumieli, że są celem Nr. 1 w dniu dzisiejszym. Szukali ratunku w ucieczce. Syczący świst pocisku zatrzymał ich w połowie drogi do wioski i wpędził do przydrożnego rowu. Zaraz po wybuchu zerwali się i popędzili w kierunku opuszczonego domu. Znów zatrzymali się. Wpadli do rowu. Podzielili się na dwie grupy i pobiegli w odwrotnych kierunkach. Znowu padli. Wreszcie rzucili się wszyscy do opuszczonego przed chwilą budynku. Zatrzasnęli za sobą drzwi, jak gdyby w ten sposób chcieli odgrodzić się na zawsze od ścigającej ich śmierci. I w tej chwili dwa kolejne pociski uderzyły w dom. Były „w celu". Dym zmieszany z kurzem zwalonego domu przesłonił nam widok. Artylerzysta przerwał ogień.

Zapaliliśmy papierosa — najmniejszego znaku życia więcej w rejonie domu nie zobaczyliśmy. Pozostałe dwie nagie ściany zdawały się sygnalizować na punkt obserwacyjny meldunek: „Two direct hits — well done".

Dowódca patrolu przystępował do określania następnych celów.

STEFAN ZALEWSKI

OSIEM DNI WŚRÓD ŚNIEŻNYCH ZASP

To była naprawdę w swoim rodzaju Noc Sylwestrowa. Zadymka, że nie widać nic z odległości pięciu metrów. Duże, mokre płaty śniegu wirują w powietrzu, biegną jakąś szaloną linią, by skręcić się w spirale, wyrżnąć o ziemię i poderwać gęstą chmurą, gnaną w odwrotnym kierunku olbrzymim powiewem wichury. Ściana białego puchu raz kładła się, raz wywracała, odskakiwała, biła wściekłym taranem w sterczące wśród rumowisk kominy i pokrzyżowane, zwalone bezładnie krokwie, szarpała oderwaną blachą dachu i kawałkiem rynny, zła, że napotkała w swym bezmyślnym pędzie na jakiś opór. Świst, wycie i chłód toczył się potężną falą, rozdygotał na moment na studni, prychającej wodą na środku placyku, uderzył w szeroką gardziel uliczki, zachichotał nad stanowiskiem c.k.m.-u i pognał wzdłuż żlebu hen po San Angelo.

Mieliśmy przejść na stanowiska Belgów, śnieg jednak położył kres wszystkiemu.

O patrolowaniu, ani mowy być nie mogło. 4-go stycznia drugi pluton wyszedł utartym przekopem, by po kilku godzinach wrócić, przebywszy około pięciu kilometrów. Śnieg leżał tak wielką zaspą, że człowiek z koniem mógł się zapaść w nich z całą pewnością. I ledwie przestał padać — z czego skwapliwie korzystaliśmy, ażeby łopatami przebić przejście chociażby od plutonu do plutonu — poranek dnia następnego witał nas nową niespodzianką. Zaspy sięgały połowy drzwi wejściowych. Ruiny przeciwległego domu tu i ówdzie jeno sterczały kikutem cienkiego komina, futryny, bądź kawałkiem muru.

Spoglądaliśmy na siebie z niepokojem. Powstawały dwie dręczące alternatywy: niezdolni jesteśmy do patrolowania — Niemcy nie są zdolni również; ale żywność? amunicja? jak trwać będzie ten stan rzeczy?

Przecież to trwa już od szeregu dni... Ruchy mamy ograniczone do tego stopnia, że poza wnętrzem budynku nigdzie więcej poruszać się nie można. Mróz trzyma bez przerwy. Biel śniegu oślepia nieledwie, a monotonia otoczenia — lśniąca czasami w promieniach słońca — zaczyna już denerwować. Ten i ów bardzo dokładnie przecina papierosa na trzy równe części przy otwieraniu i zamykaniu pudełka uważając, by nie rozsypać wykruszonego tytoniu. To samo z zapałkami. Niektórzy wyspecjalizowali się w cięciu drewienka żyletką tak, że zapałka wystarcza też na trzy razy...

„Stary" decyduje się w końcu na rekwizycję artykułów żywnościowych u ludności cywilnej. Nie ulega wątpliwości, że pochowali już do tej pory i napotykamy na opozycję. Bardzo niemiła rola iść z Tommy-gunem i szukać w prywatnym mieszkaniu Włocha jego własnych zapasów...

Ale trudno znaleźć inne wyjście, jeśli własne się wyczerpały.

Burza śniegowa szaleje bez przerwy prawie.

„Cavallero" przodował w wyszukiwaniu ziemniaków i szynek.

Przejął się swoją rolą i jest nieustępliwy. Zna Włochów, jak żaden z nas...

8-go stycznia pojawiły się amerykańskie samoloty. Powstała jakaś nieopisana poprostu radość, gdy pierwsze containery zahuśtały na spadochronach. Biegł kto żyw, tonął w zaspach, gramolił się na wierzch i biegł dalej, niepomny, że niemiecki obserwator artyleryjski zauważył go i może na nas skierować morderczy ogień dział.

Połykał się, lecz nie ustawał, byleby prędzej i byle najbliżej... Kosze były ciężkie i nie sposób ich dźwigać w rękach. Pchaliśmy w kilku po śniegu, zapadaliśmy z nim razem, ale nie stanął żaden w zapasach z trudnościami. Byle do drogi... Ciężka jest ich

zawartość, lecz ona każe nam jaśniej myśleć. Koszmar przekreśliła rzeczywistość: po ośmiu dniach odcięcia od świata, po pozostawaniu wśród górskich szczytów jeno i głębokich zasp — jesteśmy uratowani.

Poto, by w dwa dni później przedzierać się przez wykopy, rozkazem przerzuceni na inny odcinek, nad rzekę Garigliano.

(*JERZYCZ*)

GARIGLIANO

Z DZIENNIKA BOJOWEGO

Po pożegnaniu przez dowódcę 78 Dywizji w Carpignone, Kompania zostaje przerzucona transportem samochodowym przez Vinchiaturo — Lucera — Troia — Avellino — Aversa, do Villa Litterno (20 km na północ od Neapolu), dokąd przybywa w godzinach popołudniowych dnia 12 stycznia 1944 r. Tego samego dnia dowódca Kompanii melduje się u dowódcy 56 Londyńskiej Dywizji Piechoty, gdzie otrzymuje zadanie współdziałania z Dywizją, dokonania głębokiego wypadu na tyły nieprzyjaciela (niszczenie dowództw artylerii, dezorganizacja nieprzyjaciela) w najbliższych działaniach 5 Armii.

W okresie 13 — 15 stycznia kilkakrotne zwiady terenu przez dowódcę Kompanii i oficerów.

Dnia 16 stycznia Kompania zostaje przesunięta w rej. Sessa Aurunca i w nocy przechodzi do rejonu wyczekiwania, 1 km na północ od m. Lauro. W ciągu dnia 17 stycznia Kompanię odwiedził d-ca 56 Dywizji. W czasie tej wizyty, oraz kilkakrotnie później, rejon zostaje ostrzelany przez artylerię nieprzyjaciela; straty kompanii — 1 ranny, wśród Anglików kilku zabitych.

Zadaniem kompanii jest przejście przez czołowe oddziały, nacierające po sforsowaniu rzeki Garigliano i zajęciu wzgórz, dominujących nad rzeką, przedostanie się na tyły nieprzyjaciela i w ciągu dwóch dni robienie dywersji w rejonach dowództwa 71 dywizji niemieckiej w m. Coreno i Ausonia. Po wykonaniu zadania powrót przez czołowe linie 46 Dywizji Piechoty.

O godz. 18.00 dnia 17 stycznia Kompania wyrusza na podstawę wyjściową na południowym brzegu rzeki Garigliano. Po silnym przygotowaniu ogniowym artylerii, trwającym od godz. 20.00 — 21.00, Kompania wyrusza wślad za nacierającymi oddziałami 56 Dywizji i forsuje rzekę na łodziach pod silnym ogniem artylerii i broni maszynowej nieprzyjaciela. Po przekroczeniu rzeki, na polu minowym Kompania ponosi straty: 4 ludzi ciężko rannych. Ponieważ czołowy baon 56 Dywizji nie uchwycił do godz. 03.30 dnia 18 stycznia nakazanych punktów przyczółka i nie opanował wzgórz za rzeką, kompania wyrusza do natarcia i o godz. 04.30 opanowuje wzgórze, gdzie po dwóch godzinach zostaje zluzowana przez baon piechoty

Mass
Valle di Sujo
M. Rotondo
450
320
M. Valle Martina
.321
.215
M. Caoliello
161
Sujo
M. Castelucco
Mass. Tibalai
Garigliano
Scafo di Sujo
.12
Garigliano
R. Pin
tima
R. Raurane
10
Miano di sopra
Miano di salle
0 250 500 750 1 km

Miejsce forsowania rzeki przez Kompanię

Rejon natarcia 56 Dyw.

Rejon natarcia 5 Dyw. (bryt.)

Ślady pozycji niemieckich

Gaj pomarańczowy

Morze Tyrreńskie

WIDOK NA RZEKĘ GARIGLIANO Z POZYCJI NIEMIECKICH W REJ. SUJO.

(Gaje oliwne, widoczne po drugiej stronie rzeki, stanowiły podstawę wyjściową do natarcia)

„2-5 Queens". Równocześnie sąsiednie wzgórze na wschód zdobywa oddział 40 Royal Marines Commando. O godz. 06.30 wyrusza 1 Pluton, celem opanowania wzgórz na północny wschód od Sujo i patrol, pod dowództwem rtm. Wołoszowskiego, celem rozpoznania doliny Valle Zintoni i wzgórz Mt. Valle Martina. Pluton 1-szy, po zniszczeniu punktu oporu moździerzy, punktu obserwacyjnego artylerii i połączeń telefonicznych, opanowuje nakazany rejon i organizuje się obronnie. Patrol rtm. Wołoszowskiego osiąga nakazany przedmiot, zmuszając do wycofania się przeważającego nieprzyjaciela, zadając mu straty i biorąc 6 jeńców. Nieprzyjaciel wykonuje przeciwuderzenie — jednak wzgórze Mt. Valle Martina, dzięki wzmocnieniu patrolu częścią plutonów 1-go i 2-go zostaje utrzymane. Nieprzyjaciel ponosi straty: 30 zabitych i dwu nowych jeńców oraz kilkunastu rannych, których zabrał ze sobą. Straty własne: 4 zabitych (rtm. Wołoszowski, st. strzelcy Klajber, Słowiński i Decker) oraz 22 rannych i kontuzjowanych.

Po godz. 10.00 rozpoczyna się praca małych patroli w nakazanych kierunkach na Coreno i płn. Castelforte, celem wykonania zniszczeń i dezorganizacji na tyłach nieprzyjaciela. Praca ta trwa do świtu dnia następnego. Całość Kompanii, ze względu na poważne straty i konieczność utrzymania zdobytego terenu, do czasu nadejścia oddziałów 56 Dywizji pozostaje na miejscu, ugrupowując się obronnie i wytrzymując kilka nawał artyleryjskich.

Dnia 19 stycznia o świcie, po powrocie patroli, Kompania zamyka lukę, się wytworzyła pomiędzy oddziałami piechoty brytyjskiej, i patroluje przedpole. O godz. 12.10 Kompania przechodzi do odwodu jednego z baonów 56 Dywizji, gdzie ponownie odwiedza Kompanię Dowódca Dywizji.

W dniu 21 stycznia kompania przechodzi do odwodu Dywizji i zostaje wycofana za rzekę, zaś w dniu 23 przechodzi do odwodu 10 Korpusu i staje na biwaku w m. S. Agata.

Dnia 27 stycznia Kompania otrzymuje rozkaz wykonania wypadu na Mt. Tuga i Valle Maie, jednakowoż, ze względu na bardzo mały stan kompanii, rozkaz ten zostaje odwołany.

W czasie pozostawania w odwodzie Kompanię wizytują kolejno: Dowódca 56 Dywizji, Dowódca 46 Dywizji, Dowódca 2 S. S. B-de bryg. T. Churchill i Dowódca 10 Korpusu, gen. Mc Creery.

Dnia 6 lutego 1944 r. Kompania zostaje wraz z 2 S. S. B-de wycofana z O. de B. 10 Korpusu i przechodzi do m. S. Andrea di Vico Equense w rej. Castellamare — Sorrento na południe od Neapolu, na wypoczynek i reorganizację.

GARIGLIANO

Garigliano — to rzeka szara, tocząca swój mętny nurt w obrzeżu wierzb i wiklin...

— to rzeka nie mająca w sobie nic lazuru wód włoskich, tylko smutek mazowieckiej strugi, płynącej w piaszczystym obrzeżu...

— to rzeka, nad którą pozostały krzyże z polskimi nazwiskami...

— to rzeka, która stanowi nowy rozdział w historii naszego oddziału.

Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy, opuszczając odcinek 78 Dywizji. Wielu sądziło, że po miesięcznym pobycie na górskim odcinku frontu udajemy się na zasłużony odpoczynek — byli nawet i tacy, którzy łudzili się, że może odjedziemy do Anglii. Oczekiwał nas jednak nie pobyt w wygodnym „Campie", lecz nowa akcja która dała nam dalsze doświadczenie bojowe — akcja, która zespoliła jeszcze bardziej kompanię i zacieśniła głębiej więzy koleżeństwa — akcja, z której możemy być dumni, bo przysporzyła sławy orężowi polskiemu.

Cena, którą zapłaciliśmy — w zabitych i rannych — jest wielka, lecz dla nas nie ma zbyt wysokiej ceny, jeśli chodzi o spełnienie swego obowiązku. A zadanie wykonaliśmy duże — walczyliśmy bowiem za siebie i za oddziały, które miały zdobyć wzgórza przez nas zajęte w boju i osłonić pierwszą fazę naszego zadania...

MACIEJ DRZEWICA

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA

Nad nami rozszalało się piekło ognia — kolorowe smugi świetlnych pocisków znaczą rozmaite desenie na czarnym tle nieba. Stanowiska artyleryjskie co sekundę rozbłyskują łuną salw armatnich. Przeciwległy brzeg wykwita pomarańczowymi bukietami wybuchów. Gdzieś z boku rozjaśnia mrok pożar — płoną zabudowania i zarośla, znacząc na stoku góry zabawny kształt olbrzymiego serca. Białe, czerwone i zielone rakiety wystrzeliły w niebo.

Huk jest potężny i głuszący wszystko. Poprzez grzmot ognia artylerii przebijają krótkie uderzenia Boforsów i jazgotliwe ujadania Vickersów i Brenów — może dlatego nie słyszę dźwięków orkiestry? Bo przecież to chyba nie jest przygotowanie do natarcia, tylko uroczystość wianków na Wiśle — pamiętam: tak samo z nocy zrobił się dzień, rakiety i ognie bengalskie wystrzelały w niebo, najrozmaitsze światła i reflektory rysowały desenie na czarnym tle nocy, a nawprost mnie, na tratwie płonęło duże, ogniste serce.

W dole tak samo szumiała cicho rzeka — tylko, że tam, na Wiśle, pływały oświetlone żaglówki, rozbrzmiałe gwarem i śpiewami, a tu, na Garigliano, cicho bezszelestnie przesuwały się łodzie, wiozące commandosów, atakujących przeciwległy brzeg.

I tu — wpatrzone w kolorową bajkę świateł — ginęły w przeciągu godziny setki istnień ludzkich...

MACIEJ DRZEWICA

ZERO HOUR

Kto był we Francji 14 lipca, a zwłaszcza w Paryżu, będzie zawsze pamiętał wspaniały widok iluminacji za pomocą rakiet czy ogni bengalskich i petard. Podobne widowisko miałem teraz przed oczyma, tylko że nie był to Paryż z Sekwaną i Pont-Neuf w oddali, lecz Włochy, otwarta dolina z rzeką Garigliano, a za nią, tam, gdzie światełka się topiły — milczące, czarne góry.

Tym razem był to śliczny kontrast ciszy nocy i „Petard" artyleryjskich, czarnych gór i czerwonych pocisków świetlnych — Bauforsów w kierunku fortyfikacji linii Gustawa.

Godzina „zero" zbliżała się. Za chwilę, już zaraz wyruszymy do pracy. Padła krótka komenda: „Uwaga, naprzód". Przed nami stała ciężka praca. Ogólnie mówiąc, szliśmy na „cichą robotę" z zadaniem stworzenia jaknajwiększego chaosu na tyłach nie-

przyjciela. Teren był górzysty i wymagał nie tylko charakteru, ale i sprawności fizycznej.

Zanim jednak mieliśmy przystąpić do właściwej pracy, dywizja, do której nas przydzielono, miała sforsować rzekę i zająć pierwsze pasmo wzgórz po drugiej stronie. Tam, już na własną rękę, mieliśmy się przedostać na tyły Niemców, zanim świt nastąpi. Nieprzyjaciel wciąż milczał — rzekę już przekroczyli saperzy i oddziały Commando. Stworzono przyczółki. Ruszyliśmy w stronę przeprawy.

Koci krok naszego oddziału budził szept wśród tych, których mijaliśmy. Po gumowych podeszwach rozpoznawali rodzaj naszej broni.

Przed nami stały same zagadki, miny i nieprzyjaciel. Wtem zabłysły zielone światełka z gór. Goniły się, jak świetliki i gasły w cieniu rzeki. Padliśmy pod krzaki i tylko kilka ściętych gałęzi spadło na nas. „Zaczął się taniec" — pomyślałem.

Chlupot wioseł jedynie zakłócał głęboką ciszę tej chwili. Przeprawa szła sprawnie; co łódź dobijała do brzegu, kilku z nas ubywało. Przyszła kolej i na moją grupę.

Po tamtej stronie czekał na nas Dowódca, aby wyruszyć w dalszą drogę. Przed oczyma moimi ciągnęła się w stronę gór biała taśma, a przy niej spali, spali Anglicy. „Na gołej polanie" — po-

myślałem — „co za nieostrożność". Czołówka nasza zaczęła się wydłużać równolegle do taśmy. Przechodząc koło jednego ze śpiących, zawadziłem o jego nogę. Sztywna noga, jak hamulec osadziła mnie na miejscu.

Ci Anglicy już nigdy nie zbudzą się... zrozumiałem ich obojętność. Jakoś nieprzyjemnie tu było; wilgoć od rzeki przeszywała mnie na wskroś, a lekki wiaterek starał się wygasić ogień, jaki się we mnie żarzył. W prawo i lewo od taśmy mogą być, a miejscami są miny.

Teren niezbadany, na którym czyha zdrada. Z gór nieprzyjacielskie k.m.-y zaczęły kłaść ognie krzyżowe. Nasza artyleria

przerwała ogień, by nie razić własnych oddziałów. Od czasu do czasu Schmeisser z Tommy-gunem wszczynały spór. Z bijącym sercem słuchałem, który z nich ostatni przemówi i zmusi do milczenia przeciwnika. Bauforsy nie ustawały w pracy. Moździerze nieprzyjacielskie zaczęły okładać naszą dolinę. Co chwilę padaliśmy, aby zaraz po wybuchu czy serii poderwać się i wykonać skok do przodu.

Byłem teraz w czołówce. Za dwie czy trzy godziny nastąpi świt.

Nieprzyjaciel wciąż jeszcze trzymał pierwsze pasmo wzgórz.

Po pięciu godzinach walki byliśmy ciągle w dolinie. Przeszliśmy przez oddziały brytyjskie i dochodziliśmy do podnóża góry.

Należało opanować grzbiet, dominujący nad wioską Sujo. Zadanie proste, zadanie, o które się rozbiły dotychczasowe wysiłki.

Dowódca Kompanii zadecydował, że pluton nasz pójdzie na tę robotę. Reszta Kompanii otrzymała swoją pracę. Od zdobycia tego grzbietu zależało dalsze powodzenie natarcia i możliwość łatwiejszego opanowania sąsiednich wyniosłości. Od powodzenia tej akcji uzależniony był stosunek sztabu dywizji do nas - Polaków. Wreszcie od wykonania zadania zależały życia nasze.

W głowie szumiały mi słowa kapitana: „W pierwszym rzędzie pamiętaj, aby wykonać zadanie". Każdy z nas musi wykonać zadanie, jakie mu jest powierzone bez względu na to, co go czeka. Wykonać zadanie, wykonać zadanie, a przede mną prawie

spadzista ściana tego wzgórza porośnięta miejscami dzikimi krzewami, miejscami zaś porozrzucanymi głazami, cudem zwisającymi nad przepaścią. Bardziej w prawo — łagodniejsza ściana na szerokości stu metrów, dalej przepaść, poczym znów ściana, zbiegająca się z naszym pagórkiem gdzieś przy wierzchołku. Nie jeden już próbował podejść od tamtej strony, lecz bez powodzenia. A nieprzyjaciel stał się czujniejszy, choć był zarazem pode-

nrwowany. Ogień jego stał się mniej celny, częstszy i częstokroć niepotrzebny. Byli to jednak weterani z pod Stalingradu, uzupełnieni świeżym żołnierzem — jak zdążył nam donieść nasz wywiad. Jednym słowem — groźny i zacięty przeciwnik siedział w tym gnieździe nad naszymi głowami. Księżyc oświetlał nam place z bladym uśmiechem.

„Wykonać zadanie" — to było credo naszego zespołu.

Szykowaliśmy się do pracy. Porucznik szeptem wydawał ostatnie zarządzenia: „Drużyna trzecia w tyralierę w prawo — drużyna czwarta z lewej strony. Tymczasem ubezpieczał nas bren czwartej drużyny — sam leżałem przy nim. Nasz brenganista był starym sportowcem, bokserem w dodatku i raz rozruszany, stawał się strasznym zapaleńcem.

Ja, z natury będąc flegmatykiem, hamowałem jego porywy. Jednym słowem — uzupełnialiśmy się doskonale, dodam jeszcze, że „Bouboule" był trzecim w naszym zespole i, jak oka w głowie, pilnował swego towarzysza, ten zaś, myśląc o „Bouboulu", miękł nieco i czekał na grubasa, a zarazem ubezpieczał jego posuwanie się. Przy tej okazji stwierdzam, że nieprawdą jest, jakoby grubaski mają odwrotnie proprocjonalną dozę odwagi do swej tuszy. Dowodem tego w późniejszych walkach był „Bouboule". R.k.m. naszej drużyny posuwał się na lewym skrzydle. Drużynowy (Wojtek mu na imię) był wszędzie, gdzie tylko „coś" mogło być, choć zasadniczo trzymał się z resztą drużyny z naszej prawej. Patrząc w górę, widzieliśmy dokładnie zarys każdego kamienia i krzaka. Serca w nas zamarły. Przez myśl przeszło mi pytanie, czy tam na górze również tak dobrze widzą, jak i my. Nie powin-

ni, bo to przecież noc... ale ten księżyc, co nam w plecy świeci?... Nie śmiałem odwrócić się do tyłu, nie chciałem się przekonać, czy widzą — i tak to nic nie pomoże — pomyślałem. Byłem raz jeszcze na stromym wzniesieniu, u szczytu którego leżało Zadanie. Z pod buta któregoś z nas wyślizgnął się kamyk. Postacie nasze na chwilę zamarły. Czy on tam posłyszał? — pytanie to trwożnie wzruszyło nas wszystkich.

C.k.m.-y grały w oddali z lewej i prawej, w dolinie moździerze, u nas panowała cisza. Cisza niezakłócona. Po chwili ruszyliśmy dalej.

Szliśmy coraz ostrożniej i coraz wolniej, a szczyt był coraz bliżej. Niebezpieczeństwo też się zbliżało, lecz nikt z nas już w tym momencie o tym nie myślał. Każdemu chodziło o dopadnięcie pierwszemu do tego Niemca. Noże nasze wymownie zarysowywały się na lewej nogawicy battle-dressu. Już ponad miesiąc bijemy się z nieprzyjacielem, a jeszcze ani razu nie było sposobności użycia sztyletów. Kto wie, może tym razem przytrafi się okazja dla amatorów. „Szansik", jak to my mówimy. Całkiem na prawym skrzydle trzecia drużyna z równą sprawnością, jak my, posuwała się naprzód. Wspólnie zaczęliśmy docierać do ostatnich skał, dzielących nas od płaskiego stosunkowo szczytu. Ruch był coraz wolniejszy, postacie nasze przylepiały się do skałek lub krzaków, coraz to rzadszych, a oczy dziwnie każdemu błyszczały. „Szansik" był chyba z nami — a może Niemcy nas tylko podpuszczali i zaraz z jednego z tych krzaków zioną ogniem? Zaczęliśmy już iść na czworakach. Przed nami stopniowo zarysowywały się nowe szczyty, potem góry całe. Siedzieliśmy na samym szczycie. Czyżby nieprzyjaciel się wycofał? A może go wcale tu nie było? Zająłem stanowisko z lewej strony szczytu. Przede mną, o jakie 20 kroków piętrzyło się samotne drzewo, wokół porastały krzaki. Brenganista i ja spoglądaliśmy w tę stronę. Od lewej, tuż nad wąwozem ubezpieczał nas Antoś. Zastanawiałem się, co się dzieje na naszym prawym skrzydle, ciekawiło mnie, gdzie jest ich bren i co mają przed sobą. Jeszcze te dwadzieścia kroków pozostało nam do przebycia.

Może pan porucznik prześle jakiś rozkaz w tym czasie? Wiedzieliśmy dobrze, co mamy robić, a jednak oczekiwaliśmy na coś, co nie nadchodziło.

Czegoś było brak.

— Haende hoch! — krzyk rozdarł ciszę nas otaczającą. Padła seria z brenganu na naszym prawym skrzydle. Wiedziałem już, gdzie jest Franek, ten stary legionista, co tylko w diabła i swój bren wierzył, wiedziałem również, co on ma przed sobą.

— Halt, wer da? — odezwał się ktoś z za drzewa, a za tymi słowami posypała się seria „Spandau'a".

— Ognia! — rozkazałem i seryjką po seryjce splunął nasz bren.

Tomigany zaczęły szczekać, a z tamtej strony zapanowała cisza.

Coś bren trzeciej przestał grać — pomyślałem — pewno zacięcie.

Wtem padł jeden granat, drugi i trzeci — coraz to bliżej nas. Na nowo odszczeknęliśmy krótką serią. Jedną tylko, gdyż nastąpiło zacięcie. Niewypał, jak się okazało, to też natychmiast przywróciliśmy do użyteczności nasz bren. Nowa cisza zapanowała. Z prawego skrzydła drużyna trzecia obchodziła stanowiska nieprzyjaciela. My mieliśmy w razie czego dać osłonę ogniową. Za niecałą godzinę świt nastąpi. Zaczynało szarzeć. Trzecia drużyna weszła na stanowiska nieprzyjacielskie. Kolejno zbadano każdy krzaczek i kamyk, lecz Niemcy uciekli, porzucając broń i zostawiając dwa trupy. Ten „Frankowy" pierś miał rozdartą, a na niej widniał Eiserne Kreutz. Parę kroków od niego porucznik, schylony wraz z naszym doktorem, udzielali komuś pomocy.

Któryś z trzeciej widocznie został trafiony.

Pierwszy pluton zmienił nas na stanowiskach. Było już jasno. Szedłem wypocząć gdzieś między krzaki czy skałki. Po drodze napotkałem rannego — miał rękę przestrzeloną i kość złamaną. Był to nasz legionista Franek. Przystanąłem przy nim na chwilę i spytałem, jak to tam było. — „Ano, tamoj siedzą za skałką, widzę naraz — idzie gość w naszym kierunku i hełm niemiecki zabłysł w świetle księżyca. Krzyknąłem „Haende hoch", ale on szedł dalej, no to pociągnąłem za spust — trrr — seria poszła, a on machnął kozła w powietrzu i zrobił fik fik.

Rozglądałem się dalej i zobaczyłem następnego, ale go jeszcze dobrze nie rozpoznałem, gdy w tym sam od niego dostałem i tylko — Jimmy, bierz karabin — zdążyłem zawołać i padłem."

Opatrzony Franek odchodzi wolno do tyłu.

A na nas czekało tegoż dnia nowe zadanie, nowa góra i nowe natarcie.

J. J.

OSTATNI PATROL RTM. WOŁOSZOWSKIEGO

— Zostaw już wreszcie tego Niemca, idziemy dalej — powiedział rotmistrz do Jurka, który z zaciekawieniem oglądał „Żelazny Krzyż", błyszczący na piersi zabitego.

Było już prawie zupełnie widno — poza wzgórzami dominującymi nad doliną Garigliano, niebo czerwieniło się zorzą wschodzącego słońca. Nad rzeką snuły się dymy nawały pocisków arty-

leryjskich, a gdzieś na zboczach naszego wzgórza dogasały pożary.

Patrol ostrożnie przeniknął pomiędzy szczytowymi skałami i niewidocznie posuwał się wśród krzewów małej dolinki. Coś zabłysło w trawie — to porzucony r.k.m., który jeszcze przed chwilą wypluwał na nas serie pocisków, teraz dziwnie drażnił spokojem niepotrzebnego przedmiotu. Nieco dalej hełm niemiecki i zakrwawiona chusta znaczyły drogę ucieczki. Ledwo widoczna kozia perć wiodła w górę między głazami. Cisza i spokój panował zupełny — nawet dalekie mruczenie artylerii w dolinie nie mąciło harmonii beztroskiego krajobrazu.

— Tiuu — tiuuu — zaświstało coś nagle i kamienie prysnęły drobnymi odłamkami. Wszyscy przycupnęli wśród głazów, dających dobrą ochronę. Nieprzyjacielski strzelec wyborowy, ukryty gdzieś na zboczach przeciwległego wzgórza, znalazł sobie dobry cel w naszym patrolu. Wacek chciał strzelać w stronę, skąd padały strzały, ale rotmistrz go powstrzymał.

— I tak mu nic nie zrobisz — powiedział — przesuniemy się niespostrzeżenie dalej.

Czołgając się, doszedł patrol do grzbietu i znikł we wgłębieniu. Na małej łączce, wśród suchych i kolczastych badyli pasła się spokojnie krowa, dziwnie zbłąkana w tych kamienistych górach, w środku toczącej się bitwy.

— Będziemy mieli śniadanie — trzeba wydoić tę krowę — zawołał rotmistrz, ale obserwator, meldujący Niemców na sąsiednim wzgórzu, rozumiał miłe perspektywy — trzeba było iść dalej. Po dłuższym marszu wzdłuż grzbietu napotkano niewielki domek, zamieszkały przez brudną rodzinę włoską.

— Tedesco, tedesco — brzmiało co drugie słowo szybkiej paplaniny Włocha. Przerażeni gospodarze ostrzegli, że opodal, w leżącym poniżej drugim domku znajduje się duża ilość Niemców.

Z lewej dołącza kilku ludzi z ppor. Z. na czele, którzy patrolowali sąsiednie wzgórze. Wszyscy grupują się pod domkiem, gdy

nagle Jurek cichym psyknięciem zwraca uwagę. Ścieżką w dole idzie drużyna Niemców — stalowe hełmy błyszczą z za kamiennego murku. Szybko zajęte stanowiska. Seria z r.k.m.-u zadzwoniła po murze. Dwa czy trzy rzuty granatem, jakieś pojedyncze strzały — rotmistrz z brenem rzuca się długim skokiem do przodu. Jeden z Niemców legł z rozprutą piersią — inni odstrzeliwali się z za kamieni. Konrad poderwał się z tomiganem, zaledwie dwadzieścia metrów dzieliło go od nieprzyjaciela—tomigan zaciął się — potrząsając groźnie bezużyteczną bronią, wydał niearty-kułowane okrzyki, runął na Niemców. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu... Z za kamieni podniosło się siedem postaci w mundurach „feldgrau", z podniesionymi do góry rękami. Hitlerowskie pozdrowienie nie wymaga chyba wzniesienia obu dłoni?

Jeńców szybko odesłano do tyłu. Odgłosy walki zaalarmowały nieprzyjaciela. Z dala poszła seria c.k.m.-u — na przedpolu ukazał się nacierający oddział.

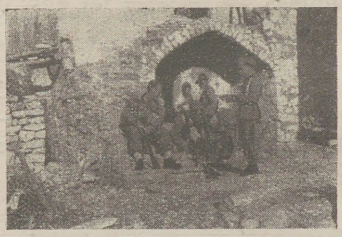

Murek i głazy naokół domku stały się szańcem obronnym. Walka była zażarta. Rotmistrz szalał ze swym brenem — był wszędzie — wydawał rozkazy — dwoił się i troił w oczach. Koleś, ujrzawszy Niemca przed sobą, zapomniał o ostrożności, podniósł się i strzelił — Niemiec zwalił się z nóg, ale w tej chwili upadł i Koleś, trafiony celnym strzałem w pierś. Wszelka pomoc już była spóźniona.

Dalej, na stoku góry leżał Władek, nie mogąc ruszyć się, i tylko dawał znaki ręką — został ranny w nogi. Zenon, czołgając się, podszedł bliżej — był już niedaleko, gdy nagle kilka kroków od siebie ujrzał Niemca, celującego do rannego kolegi — za późno było na złożenie się i strzał, można było tylko szybko rzucić się na nieprzyjaciela. Niemiec spostrzegł ruch i drgnął — strzał był niecelny. Momentalnie rzucony granat gwizdnął koło uszu Zenona, ale w tej chwili nastąpiło zwarcie dwóch ciał — sztylet commandosowski błysnął w ręku. Granat wybuchł z hukiem, raniąc obu, ale sztylet już tkwił w karku Niemca. Ciało bezwładnie osunęło się na kamienie.

Po chwili Zenon, sam brocząc krwią, wyciągał rannego Władka do tyłu.

Wacek miał ubezpieczać z prawej, ale widząc, co się dzieje w przodzie, nie wytrzymał i skoczył, przesadzając śmiało dwa

murki. Nieprzyjaciel nie spodziewał się tak nagle ataku z tej strony, to też Wacek miał dobry cel, rozkładając kilku Niemców, zanim sam nie został ranny odłamkiem granatu. Ktoś z naszych wycofywał się z twarzą zalaną krwią, ktoś inny z cicha jęczał, leżąc za kamieniem. Daleko na przedpolu widać było Heńka, jak ciężko ranny wzywał pomocy.

— Zygmuś', zamelduj dowódcy, jaka jest sytuacja... Trzeba nas wzmocnić — były słowa rotmistrza, które słyszeli nieliczni, pozostali z patrolu. Potem znów rozdygotał się jazgotem r.k.m., a Zygmuś biegł z meldunkiem, skacząc od zasłony do zasłony.

Strzelanina ucichła. Rotmistrz oddał r.k.m. i wysunął się do rannego Heńka — widać było, jak na dłoni, jak rozcinał mu mundur i wyjmował bandaż opatrunku osobistego. Pochylony nad ciałem, opatrywał ranę. Wtem padł strzał — cichy, pojedyńczy — tak niewinny, zdawało się, po tym całym huraganie ognia, jaki był tutaj przed chwilą. Rotmistrz zwinął się w nagłym skurczu i upadł obok rannego.

— Rotmistrz... zabity... doleciały z wiatrem słabe, urywane słowa. Heniek z trudem usiłował podnieść się, lecz w tej chwili padł, trafiony w głowę celnym strzałem „snipera".

Drugi pluton nadchodził z pomocą. Dojście było trudne, gdyż dobrze ukryci strzelcy wyborowi mieli pod obstrzałem całe zbocze. Pod domkiem był już nieprzyjaciel. Fredek dostał właśnie celny postrzał w tył głowy. Mózg bryznął na kamienie.

Adam był wściekły — na czele swej drużyny nacierał na nieprzyjaciela z pasją i zaciętością — jego tomigan pluł serię za serią w Niemców, nie spodziewających się takiej furii natarcia.

— To za Franka! To za Heńka! To za Fredka! A to za to, żeście mnie do nieprzytomności zbili w Zakopanem — wykrzyki-

wał i za każdym razem jakieś ciało z głuchym uderzeniem zwalało się na ziemię.

Janek — amunicyjny r.k.m.-u — zmieniał właśnie stanowisko, gdy wtem, trzy kroki przed sobą ujrzał wycelowaną w siebie z za kamienia lufę. Nie było czasu na wyjęcie pistoletu — z gołymi rękami rzucił się na osłupiałego Niemca, dusząc go za gardło. W czasie szamotania spostrzegł podczołgującego się z pomocą innego szwaba — nie namyślając się wiele, wyjął prawą ręką rewolwer, lewą wciąż dusząc przeciwnika i poprzez jego ramię wypalił do czołgającego się, poczym kolbą zdzielił przez łeb bliższego.

Za murkiem jakiś Niemiec biegł na czworakach do tyłu — Stefan popędzał go celnymi seriami z pistoletu maszynowego — wreszcie rozłożył trupem na samym zakręcie ścieżki. Nieprzyjaciel wycofywał się w popłochu, zabierając lżej rannych z sobą. Wokół domku leżało około trzydziestu zabitych Niemców — liczni ranni jęczeli z daleka.

— Pomściliśmy rotmistrza — kłoś zauważył — ale to go nam nie wróci.

Z doliny wychodziło nowe natarcie niemieckie.

MACIEJ DRZEWICA

DOMEK NA WZGÓRZU

Poranek był wtedy wyjątkowo piękny. Słońce coraz wyżej wschodziło na lazurowe niebo i przygrzewało coraz mocniej. Od czasu do czasu można było usłyszeć przeraźliwe szczekanie karabinów maszynowych, czasami przeszywał powietrze świst lecącego pocisku, poczem rozlegał się gwałtowny huk. Grupa żołnierzy w zielonych battle-dressach wspinała się po skalistym zboczu gór. Szliśmy wolno, często przystając, aby złapać pełny oddech, wchłonąć nieco powietrza do zgłodniałych płuc. Osiągnąwszy szczyt, zmęczeni usiedliśmy. Niektórzy chciwie wysysali sok ze świeżych pomarańczy, inni, paląc papierosa, przecinali gruby kabel telefoniczny. Porucznik oglądał teren. W dole rozpościerała się płaska dolina, tchnąca jeszcze pamięcią nocnych walk. Przez środek jej płynęła leniwie na kształt długiego węża rzeka. U koryta jej rozrywały się właśnie pociski. W pobliżu, z boku, widniały stare mury zameczku, pamiętające jeszcze zapewne rzym-

skich cezarów. Naprzeciw, na szczycie gołego wzgórza stał ledwo widoczny gołym okiem domek. Tam właśnie była skierowana uwaga porucznika. Szukał czegoś długo przez lornetkę, poczym krótko zadecydował: Brauliński i Kaszubski, pójdziecie nawiązać łączność z porucznikiem Z., znajdującym się prawdopodobnie w rejonie tamtych zabudowań — mówił, wskazując palcem na wzgórze.

Wyznaczeni, szybko wstaliśmy i sprawdzając broń, ruszyliśmy w tamtym kierunku. Teren przed nami był gęsto poprzecinany równolegle biegnącymi kamiennymi murkami. Nakazywał więc ostrożność i jaknajwiększą czujność. Po kilometrze ujrzeliśmy na horyzoncie gęsiego idących żołnierzy. Zenon przez lunetę „snippera" rozpoznał naszych. Ze względu na odległość, a w obawie zerwania łączności wrócił z powrotem, ja natomiast pośpieszyłem przed siebie. Szedłem szybko, chciałem bowiem jaknajprędzej dostać się do porucznika Z. Dodawał mi przy tym energii biały, nęcący dymek, wydobywający się z komina domku. Marzyłem, zdaje się, wtedy o kubku ciepłej kawy i kromce świeżego chleba. Nadspodziewanie szybko znalazłem się na szczycie. Wokół domku ujrzałem kilku swoich. Wszyscy patrzeli w jedną stronę, tam wycelowane mieli lufy.

— Niemcy idą, padnij — wrzasnął wtulony w pobliski krzak Stefan. Na ostrzeżenie to nie zwróciłem jednak uwagi i w najlepsze waliłem do domu.

— Padnij — syknął przez zęby rotmistrz, machając równocześnie ręką ku ziemi. Przykucnąłem, rzuciwszy spojrzenie tam, gdzie patrzeli wszyscy. Radosny doprawdy widok ukazał się moim oczom. W odległości sześćdziesięciu metrów szło kilku pochylonych śmiesznie Niemców. Słońce odbijało się w ich dużych hełmach, w rękach trzymali broń, gotową do strzału. Padłem więc momentalnie i przytulony do ziemi, przeczołgałem się niewidocznie ku zbitej kupie gruzów, tworzącej znakomitą zasłonę i podpórkę na tomigan. W tejże sekundzie, mając Niemca na muszce, pociągnąłem za spust. Zamek wolno, ze zgrzytem poszedł do przodu. Zarepetowałem i pociągnąłem powtórnie z tym samym skutkiem. Dziwnego wtedy doznałem uczucia. Rumieniec złości zalał mi twarz, czułem się dziwnie bezradnym. Byłem przecież bezsil-

ny wobec zbliżających się Niemców. Spojrzałem na rotmistrza. Był niezwykle zadowolony, oczy mu się śmiały. Widziałem, jak odbezpieczył granat i z dużym zamachem cisnął go w krzaki, gdzie ukrył się nieprzyjaciel. Świadomość bezsiły w jednej chwili minęła. I ja przecież miałem granaty. Uniosłem się, aby rzucić, w tej samej jednak sekundzie wybuch niemieckiego granatu przycisnął mnie do ziemi z powrotem.

— Ile metrów są od nas? — zapytałem opodal leżącego Stefana.

— Dwadzieścia — padła odpowiedź.

Odrzuciłem łyżkę i z całej siły rzuciłem. Rotmistrz tymczasem strzelał krótkimi seriami z r.k.m.-u. Dzielni „Synowie Wotana" zaczęli chyłkiem spływać z powrotem po stoku do swoich. Rotmistrz, ściskając brena pod pachą, pobiegł za nimi. Siał niemiłosiernie po krzakach; jedynie głuche jęki świadczyły o celności jego ognia. Wyskoczyłem z Jurkiem za nimi. Postanowiliśmy, wobec wyczerpania się amunicji rotmistrza, „powojować" krzykiem. Udało się to całkowicie. W tejże minucie kilku „dzielnych" wojaków wyrżnęło karabinami o ziemię, aby podnieść puste już łapy w górę. Nie wiedzieliśmy dotychczas, że można w ten sposób wojować z „niezwyciężonymi" żołnierzami Rzeszy.

Drobny ten sukces zawdzięczamy jedynie kawaleryjskiej krwi rotmistrza, który swoją odwagą i brawurą poderwał nas za sobą. Łzy cisną się do oczu, potęguje się nieodparta chęć odwetu, gdy uświadomimy sobie, że człowiek ten odszedł już od nas na zawsze. Zginął śmiercią wspaniałą, piękną w swej tragedii, kiedy, pochylony nad rannym Heńkiem, niósł mu ostatnią pomoc tam, pod domkiem na wzgórzu.

KONRAD BRAULINSKI

„COTA NR 320"

Po noclegu — o ile można było nazwać noclegiem przesiedzenie nocy na twardych kamieniach jaru, mając jedynie płaszcz przeciwiperytowy jako posłanie i okrycie równocześnie — rozprostowywaliśmy skostniałe członki, przeszedłszy do małego gaju oliwnego, gdzie już Sobek usiłował zrobić coś w rodzaju śniadania. Herbata z rumem smakowała znakomicie. Przed nami zarysowały się w ranną mgłę spowite stoki i szczyty gór, nad którymi dominowała jedna kamienista, jasna, łysa — rzekłbyś. Tam mamy dotrzeć. I wierzyliśmy, że się powiedzie.

Naraz ostry niby świst, niby pomruk przeleciał nad naszymi głowami, zarechotał, furknął i głucha detonacja rozbiegła się echem. Artyleria rozpoczynała swą codzienną, nękającą akcję. W górach naprzeciw nas szczeknęło znowu i w łuku przelotu

świst potężniał, rósł, aż runął wybuchem bliżej tym razem. Potem trzeci bardziej w lewo.

— Siedzimy na osi obstrzału — Jurek był specem artylerii, jako że w PAC-u służył uprzednio. Popatrzał przytem na „Łysą", wykrzywił wargę, ukazując przytym bezzębne dziąsła i dodał. Obserwatora tam mają, ani chybi... Słyszysz teraz?... W widły już nas bierze... ciepło będzie, jak nas wymaca.

Słowom towarzyszył czwarty gwizd, zatrzęsło coś jakby ziemię chciało w posadach ruszyć. Przypadliśmy odruchowo do mokrych jeszcze traw. Niewątpliwie zauważyli nas.

— Lekarz... padło gdzieś z dołu — podajcie dalej, niech doktór natychmiast tu przyjdzie.

Zaturkotał w powietrzu piąty, szósty, siódmy. Przez wysoki łubin biegł lekarz naszej kompanii. Z krzaków, z pod drzew, z rowu dobiegały pytania: „Kto?" Okazało się, że oberwał i jeden z naszej Kompanii. Wśród Anglików są zabici i sporo rannych.

— A nie ruszaj się jeden z drugim niepotrzebnie i z gaju nie urządzaj Ogrodu Saskego, bo wyrżnie cię jakieś żelazo zwariowane w łeb i tyle zarobisz — „Stary" szedł w towarzystwie generała brytyjskiego, który przyglądał się nam z uśmiechem, jakby co najwyżej przechadzał się po wyniosłości, skąd przyjrzeć się można dobrze manewrom.

W gaju przetrwaliśmy dzień cały, ale kilka następnych nawał artyleryjskich nie wyrządziło w naszym szczupłym gronie już żadnych strat. Na zarządzonej o zmroku zbiórce wysłuchaliśmy ponownie szczegółów zadania, w plutonach sprawdzono stany i pomaszerowaliśmy bliżej podstawy wyjściowej do natarcia. Baterie obu stron milczały, jakby i TAM i tu gotując się do morderczego skoku.

Przysłaniał nas głęboki jar, o istnieniu i długości jakiego wiedziało zapewne niewielu. Miejscami rząd maszerujących wy-

chylał się, załamywał, jakby przyginał, zapadał w ciemne pasmo kanału i pozostawał. Szliśmy pomału. Cicho, pokryci, jakby na defiladzie, wolno. Nie stukały kamienie, nie zadzwonił karabin, ni bagnet... Długi sznur sylwetek klapnął wreszcie pod stromą wkopu ścianą i już się nie ruszył. Nawet nie przypuszczałby nikt, że tam są ludzie.

— Jeszcze kilka minut...

Punktualnie o godzinie dziewiątej zagrzmiały działa. Odezwały się z różnych punktów najprzeróżniejszymi głosami, chichot utonął gdzieś w dali niewidocznej, w pojęk wszczepił się rechot „Vickersów", zajazgotał niby dzwoniąca po sękach rżniętego drzewa piła, a sznury świetlnych pocisków „pelotek" przecięły ciemność. To nie były sznury — to były setki czerwonych kul, z cichym sykiem sunące w dal — TAM, na przeciwną stronę. Wyrywały się naraz z kilkunastu stron, brzęczały zadowoleniem i mknęły, mknęły, by wbić się, wcisnąć w żywe ciało, by opaść oparzeliną i szrapnela skowytem, by wżreć się, wgryźć głęboko... Nad nami wisiała ognista sieć ruchliwych punkcików, wydłużająca się w linie, wisiała jak strop, pod którym rozpoznawaliśmy się bardzo wyraźnie. Strop ten ział krwią, morderczy bieg niósł posiew śmierci tym, których nie przydusił sześciotygodniowy szał baterii. Wyglądało to niczym urocza świateł iluminacja, prawdy, jakiej nie odtworzy żadne pióro. To trzeba widzieć... temu trzeba się przyjrzeć... Trzeba odczuć całą grozę piękna, jakie roztaczało się przed zdumionym okiem.

— Chciałoby się potem umrzeć!

Nie mogłem się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów głośno. Lucek zaśmiał się cicho.

Oryginalna kanonada trwała bez przerwy. Na horyzoncie powstawały łuny, z prawej strony wystrzeliwało parę ognistych snopów, na stoku góry z prawej płonął las. Żywioł ogarnął nieforemny, duży trójkąt, buchał płomieniem, rozszerza się coraz bardziej. Szczyty tamtej strony milczały. Może oszołomiło ich uderzenie taranu ognia, może przygniotło, powaliło brutalnie o ziemię — która nie była ich, za którą z fanatyzmem mieli złożyć żywot, albo ustąpić...

Paliła nas gorączka. Artyleria huczała niczym duże bąki — coraz rzadziej już, od czasu do czasu jeno. Rozkaz poderwał nas i pchnął w niewidoczną jaru gardziel. Szyki zmieszały się, sznur sylwetek zachybotał w marszu. Wychodzimy na odkrytą równinę, biała taśma wykreśla nam trasę. Tuż przy drodze pokotem leży batalion „Queen's". Wymiana słów, śmiejemy się do siebie.

Artyleria milczy. Natomiast z przeciwnej strony odzywa się grzechot broni maszynowej, który powala nas na ziemię. Wzmaga się, nabiera na sile i... przerwa. Podrywamy się rzutem gwałtownym, nagłym, skok — i przesłania nas gęstwa konarów. — W dole cicho szumi Garigliano. Szeleszczą opadłe liście, czasem

gałąź trzaśnie krótkim klaśnięciem. Słychać stuk stóp o dno łodzi, plusk wioseł. Zsuwam się w dół za swoim dowódcą plutonu. Żołnierz przykucnięty na dziobie „płaskodenki" trzyma się gałęzi, nie pozwalając, by wartki nurt zepchnął ją od brzegu.

— Ready!

Ujmujemy za wiosła. Ciało opada na zgięte kolano przy burcie. Skupiona uwaga, miarowy ruch ramion. Żywo przypominają się treningi w Achnacarry... Rzeka w tym miejscu jest ponad 50

metrów szeroka, ale oto jeszcze parę poruszeń wiosłami i z chrzęstem wpływającej między krzewy łodzi dobijamy do brzegu. Na stromym brzegu Anglicy są pomieszani z nami... Wyżej — niemiecki Schmeisser utrudnia przejście, ostrzeliwując połać doliny. Nawoływania to tu, to z bardziej odległego dolatują miejsca. Lądowaliśmy w różnych punktach.

„Stary" skupia Kompanię możliwie najbliżej siebie. I znowu skok. Broń maszynowa Niemców ostrzeliwuje dolinę zajadlej, szybciej, z kilkunastu jednocześnie stanowisk. Wgruża się w ciała kolumn, których nie widzieli może, lecz obecność których wyczuli napewno. Marsz przechodził miejscami w posuwanie się tyraliery. Morderczy posiew kładł w brózdy śmiałków, trzymał, zdawał się przygniatać... Lecz oni szli. Uparci, stanowczy, niezmordowani...

Głuchszy, tak dobrze nam już znany gwizd. Walimy się, gdzie kto może, wyczekując. Nikt z nas nie strzela. Gwizd przechodzi w syk, szloch, łkanie i wybucha donośna detonacja. Potem drugi... kilka naraz... padają gdzieindziej. A zatem — ciężkie moździerze... Żołnierz pada, podrywa się, przebiega pewien odcinek i znów rzuca się w cuchnące wyziewami siarki i błota bruzdy.

— Romek... gdzie czoło? Na co u cholery czekasz?...

Jakiś rów, kładka, drzewo. Nad nami bzykają świetlne pociski „maszynek", jak rój upartych os. „Queens" stoją po pas w wo-

dzie, niezdecydowani, co począć... Przechodzę kładkę, za mną Heniek i Romek.

I oto huk rozdziera powietrze, potem jęki, zmieszane głosy i szloch... Nie bólu łzy, a olbrzymiego zawodu...

— Konrad... chcerio... serwus — nie zobaczymy się więcej.., Koledzy... dobijcie mnie... O.., Jezus„

Coś chwyta za gardło... za samą krtań... i ciśnie, łamsi w uścisku. Aż powietrza brak, aż szarpie żałością, aż gniecie. Miny. Przeklęte pułapki minowe, których całą masę używają Niemcy w obronie... Ktoś krzyknął: „Lekarz". — Ktoś inny dodał: „Nosze już są..." i niemal jednocześnie drugi huk. Nie!.... uczucie, jakie powstawało, nie można nazwać bojaźnią. To był rodzaj niesmaku, coś nieprzyjemnego, coś arcy-zbrodniczego przy tym... Tego się nie da określić... W tym żaden lęk i żal nie krył się nawet...

To Janek, który biegł tamtym z pomocą... i Anglik – sanitariusz...

— Boże, zmiłuj się nad nami — ktoś szeptał pobożnie, lecz w modlitwie tej słyszałeś pragnienie niemyślenia o tym, co się stało.

„Stary" szukał innego przejścia. Rannymi zaopiekują się koledzy i sanitariusze... Skokami przedostajemy się za lasek, znów rozrzuceni pozostając w płytkich bróżdach. Po dłuższej chwili poszliśmy. Pewniej już, bo artyleria przerwała kanonadę — jeno broń maszynowa terkotała zajadle gdzieś na stokach.

W pierwszych zabudowaniach powitał nas ogień „Schmeissera". Kucnęliśmy wyczekująco pod ścianą wysokiego budynku. Przesłaniał nas kamienny mur. Niemcom utrudniało to przenikliwe wejrzenie na drogę. Najwidocznie strzelali na czucie. Nasz drugi pluton przebywał już skokiem most. Następni szybko podczołgiwali się do przodu, by przebieg i z konieczności na odkrycie wystawiona figura, trwał jak najkrócej. Stąpnięcie i odbicie się gumową, pewną w takich razach podeszwą było niezawodne. Kilka długich kroków... pac... tuż przy drzewie podczołganie się wyżej, trwało sekundy. „Schmeisser" strzelał świetlną serię.

Na odległą górę z lewej strony biegł rój „fajerwerków". Nie tak już jednak skoncentrowany, nie tak szybki w locie, nie tak bogaty w treści. Wydawał się obecnie jak epilog głupiego żartu, jak coś niepotrzebnego, jak parodia nieledwie... Drapaliśmy się stromym, miejscami kamienistym, miejscami pokrytym gęstymi krzewami stokiem. Czasem przykuwał nas do miejsca ogień karabinów maszynowych — wykorzystując teren, nie zatrzymywaliśmy się jednak nigdy nad chwil kilka.

Drugi pluton wysunął się na czoło. Kilka strzałów wcisnęło nas znowu we wnęki i wgłębienia, ale oto seria z Tommy-guna, a nieco wyżej zagdakał bren. Więc pierwsze starcie... Głosy, tupot nóg, ktoś syczał z bólu... na ziemi leżał Niemiec. Niemiec dekorowany Żelaznym Krzyżem za walki w Polsce. Jeden z tych,

którzy w swym fanatyzmie zginęli za Fuehrera. Tym razem odbiegł go uśmiech losu. Polacy mścili krzywdy, zadane we Wrześniu i dziś zadawane Narodowi.

Niżej i bardziej w prawo echem obiły się strzały, potem krzyki, klątwy i rumor spadających kamieni. „Queens" atakowali „pillbox" na sąsiednim stoku. Jeszcze dalej szli Royal Marines z 40-go Commando. Drapaliśmy się szybciej, czepiając się występów skalnych i krzewów. Góra była w naszym posiadaniu. Na szczycie usadowiła się nasza broń maszynowa i moździerze.

Biwakowanie nie trwało długo — co głodniejsi chrupnęli parę sucharów — i marsz. Z wysuniętymi patrolami poszli rtm. Wołoszowski i ppor. Zemanek. Zejście wiodło po stromym, kamienistym stoku, gdzie należało posuwać się powoli z uwagi na zbocza sąsiednich wzgórz, o których nie wiedzieliśmy, w czyim są posiadaniu.

Na jednym z występów opuszczone przez Niemców stanowisko moździerza. Nie zdołali go nawet w odwrocie zabrać ze sobą... Stał zwrócony lufą w kierunku, skąd przypuszczano natarcie — bezużyteczny, ze skrzynkami amunicji obok... Na dnie jaru ktoś krzyczał. Mietek i Jurek mieli zadowolone miny, a jeden z nich buńczucznie potrząsał zdobycznym „Schmeisserem". Odprowadzili jeńców. Zaskoczeni nagłym pojawieniem się Polaków, nie usiłowali nawet podejmować walki. Kilku z naszych uzbroiło się dodatkowo w zdobyczne pistolety i karabiny.

„Stary" uśmiechał się. Nie było czasu na rozpytywania. Wolno dostaliśmy się na przeciwległe zbocze. Pierwsze patrole były już przypuszczalnie dosyć od tego miejsca daleko. Czas naglił. Nie można było garstki ludzi pozostawić samym sobie... Ciągle ta niepewność, gdzie można się Niemców spodziewać, nie dawała spokoju.

Dzień wstawał słoneczny, ciepły. Przed nami dobra widoczność, pozwalająca na wglądnięcie daleko w głąb. Z lasu posypa-

ły się serie. W przodzie grzechot strzałów. Szybkie, natarczywe, nerwowe... Znów kilka pojedyńczych.

— R.k.m. do przodu! Pozostać przy nich aż do odwołania rozkazu!

„Stary" okiem dowódcy dojrzał sytuację. Wiedział, co robi, decydując się na ten krok... Ostatni r.k.m. drugiego plutonu...

Po kamieniami zarzuconym stoku, potykając się raz po raz, rwał ku nam Zygmuś.

— Tam giną... — zaczął zadyszany. — Tam trzeba pomocy... Pluton Niemców naciera...

Na linię wysunął się drugi pluton. Pierwszy obejściem zataczał krąg z lewa. Po stoku wzniesienia, skąd przybył „nerwowy zwiastun", skradał się już pchor. Jedwab z „Jimmym". Walka przeradzała się w chytre, skryte dojście do obu stron. Niemcy przeważali o tyle, że zajęli wcześniej stanowiska. Ponadto wspie-

rał ich ogień karabinu maszynowego, osadzonego na płaskim wierzchołku największego wzniesienia.

— Rany Boskie... patrz!

Nie spuszczaliśmy oczu z tego, co się przed nami rozgrywało. Celowniczy napróżno szarpie rączkę r.k.m.-u... Niedbałość Anglików o magazynki daje w tej chwili widoczne rezultaty. Ale sytuację naprawia Zenon. Por. Czyński pokazuje mu coś. Karabin z lunetą podnosi się, spoczywa lufa w tamtym kierunku. Dalej jednak wali na ziemię plut. Blasiak, chwieje się pchor. Jedwab i jeszcze ktoś...

Por. Zalewski, wykorzystując zasłonę z kamieni, podsuwa w tyraliere rozrzucony pluton na stok już. Ktoś się dźwiga... nie można zdala rozpoznać twarzy... Głęboki rozmach ramienia... Ktoś inny tuż przy mnie syknął, jakby go trafił odłamek.

— Przeniósł, psia krew!

Rzeczywiście. Granat przeleciał aż na drugą stronę. Następny lepszy... i dalsze. Po prawym stoku jakaś sylweta śmiało biegnie naprzód. Znów ktoś zwalił się z nóg... i następny... Terkoczą tommy-guny zajadle, bez wytchnienia Z boku wtóruje r.k.m. na zmianę z r.k.m.-em „Jimmiego". Wplatają się w to pojedyncze strzały karabinowe.

— Rotmistrz zabity. I Klajber... i „Koleś" — dowiadujemy się.

Biegnę z rozkazami, skacząc przez murki, byleby prędzej. Kamienie i wysoka trawa utrudniają gonitwę... Padam. Strzały z kilku stron. Na wzniesieniu ktoś leży bezwładnie. Decker... dostał od strzelca wyborowego w tył głowy. Silnie broczy krwią i jest nieprzytomny.

— Jurek... już nie mam sił... kona, a ja mu nic pomóc nie mogę — Adaś jest zrozpaczony. Patrzy na mnie z takim bólem, jakbym to ja był przyczyną śmierci tamtego. Cisnął bandaż o ziemię i ukrył twarz w dłoniach.

Skokami przebiegają pojedyńczy żołnierze.

— Psubraty trafili mi Jasia Młynka... — Wojtek jest wściekły. Mija mnie szybkim zrywem.

Oddziałek mocno przetrzebiony przesunął się bardziej w głąb oliwnego gaju, przypadając pod wysokimi ścianami z kamienia... Zbyszek napróżno usiłuje nawiązać łączność z brygadą.

Mieliśmy czterech zabitych, dwudziestu rannych, wielu utykało na nogi. Staraliśmy się nie poddawać przygnębieniu, które jednak przytłaczało. Przed nami znacznie od naszych większe siły nieprzyjaciela, stanowiska broni maszynowej na wzgórzach, „sniperzy" zaszyci w gąszczach nierozpoznanych stoków... Kota 320... I defilada rannych, którą dziś rano zapoczątkował Franek Słysz...

Na wysuniętych placówkach nasi obserwatorzy. „Sniper" strzela z różnych kierunków. Nie jeden, jak się później okazało. Godzina późnego popołudnia. Ten i ów stara się coś skonsumować, ale jakoś kąski nie przechodzą przez gardło.

Na domiar wszystkiego rozpoczęła swą akcję artyleria niemiecka. Żelazo waliło się zrazu na przeprawę na rzece i wąwóz, ryło ziemię, niczym lemiesz nadrzuconego pługa, rwało zajadle, wściekle. W gwiździe przelatujących pocisków czaiła się bezgraniczna złość i okropność mordu. Gaj oliwny jęknął echem wybuchu. Skrócili celownik... Nie ulegało kwestii, że „sniper" spełnia zarazem rolę obserwatora artyleryjskiego.

Zmieniamy miejsce. Przebywamy wolno murki, zbiegamy w dół, kucamy w momencie zbliżania się syku pocisku... Jest ich coraz więcej... coraz częściej bądź uderzają w gaj, bądź warczą nad nami. Kamienie z rozbijanych murków fruwają w powie-

trzu. Niektórzy z kolegów naprawdę cierpią z powodu nóg. Staramy się przecież trzymać razem.

Hen w dole, przy mostku, który w nocy przeszliśmy, widzimy placówki „Queens Regiment'u". Obleśny uśmiech wypełza mimowoli na wargi. „Nasze zaplecze"...

„JERZYCZ"

LISTY

Siedzę na spalonej słońcem trawie pod kamiennym murkiem i wygrzewam strudzone ciało. Nie słyszę ciągłego huku dział i grzechotu karabinów maszynowych i nie myślę o tym, że zaraz pójdziemy dalej. W ręku trzymam paczkę listów, znalezionych przed chwilą na zdobytej niemieckiej pozycji.

Dziwne to listy, zabrane od zabitych, rannych czy wziętych do niewoli „Niemców", i dziwne uczucie mam, przeglądając tę korespondencję. Z nagłówków biją w oczy znane nazwy: Katowice... Pszczyna... Wisła... Gorlice::: a dalej jakże drogie, a jak dawno nie słyszane słowa: „Kochany braciszku..." „Drogi Synu..."

Listy z Kraju... z Polski... pisane po polsku.., I mimo woli zaczynam zazdrościć tym chłopcom w mundurach „feldgrau", że mogli korespondować ze swoimi bliskimi, że mogli jeździć do domu na urlopy, że wiedzą, co się TAM dzieje. I nagle te listy stają się niezmiernie drogie dla mnie, nie mającego już z górą cztery lata żadnego listu z domu. Bo przecież list do mnie byłby pisany chyba tymi samymi słowami:

> „....Pozostaje nam jedynie Boga wraz z Tobą prosić, by Cię tam jakoś od tego wszystkiego uchronił i pozwolił Ci cało i zdrowo powrócić."

I dalej — jako że korespondencja pochodzi z okresu świąt Bożego Narodzenia — czytam szereg uwag o świętach, tych

świętach, które były stworzone jako symbol Radości i Pojednania, a są dziś symbolem Smutku i Rozłąki.

„.... nadchodzą święta; jakie one będą, to sam Bóg wie. Dla nas w każdym razie strasznie smutne, jakich my jeszcze nie przeżywali. Posyłam Ci w tym liście opłatek, jeden od rodziców, a drugi od sióstrów."

Jakoś dziwnie się robi na wspomnienie opłatka. Już piąte Boże Narodzenie spędziliśmy na obczyźnie i już pięć razy moi najbliżsi łamali się opłatkiem beze mnie. Przynajmniej wierzę, że się łamali, bo przecież wcale nie wiem nawet, czy żyją i gdzie się znajdują. I oni też nie wiedzą nic o mnie. Ta sama myśl przewija się także i w listach:

„....nic nas nie cieszyła ta Wilija. Jeśli my mieli przeszłego roku smutną, to latoś dopiero. Bo przecież jeszcze August i Jerzy żyli, a latoś zostałeś Ty sam. Jeśli my przeszłego roku przy stole płakali, to latoś tem bardziej. Bo nie wiemy, jaką Ty latoś Wilije odprawiasz i kaj — czy chociaż tam żyjesz jeszcze..."

Tak — nie wiemy, czy jeszcze żyje — ale jeśli właściciel tych listów żyje, to w każdym razie nastrój jego nie jest zbyt podniosły. Mówią o tym niedokończone listy do kolegów i do domu:

„....brakuje mi dwóch braťów i Tobie też — niech pieron strzeli ta cała wojna."

„....jak przeżyłem ten dzień, to sam nie wiem — był to Sąd Boży, piekło i koniec świata. Nic ino głowę chowałem, by nie słyszeć już huku motorów i eksplozji bomb..."

To tylko odwet za Warszawę, za Westerplatte, za Bzurę, za tyle, tyle bombardowanych miast i wsi...

„....jest to coś strasznego być na froncie, a już najgorsze to ta ciągła ucieczka..."

Wiem, znamy ten nastrój odwrotu, przeżyliśmy go już dwukrotnie, we wrześniu 1939 r. i czerwcu 1940 r. Ale zato dziś Niemcy cofają się wszędzie, mimo zapewnień w komunikatach i dziennikach, co potwierdza odpowiedź z domu na jakiś list:

„....piszesz nam, że wy nie idziecie naprzód, a jak w gazecie czytom, to wy ino naprzód idziecie — i komuż teraz wierzyć?..."

Nie lepsze nastroje się na Wschodzie. Znajduję list od kolegi na froncie rosyjskim — skąd? Bliżej nie wiadomo? Nagłówek mówi tylko „Russland".

„....kolegów to Ci muszę napisać, że już wogóle wcale nie mam, wszystko jest w lazarecie, no i gdzie indziej też. Taki dzień, jak żem wtedy przeżył, to bym już więcej przeżyć nie chciał."

Z domu, od rodziny idą na to słowa otuchy, słowa pocieszenia:

„...nie bierz sobie tego do głowy i nie wątp. Zło minie tak jak pominęło dobre. I przyjdzie znów ten czas, że będziesz się miał lepiej. Nie śmiej sobie zniechęcać życie, tylko żyj z tą nadzieją, że jutro będzie lepiej. Nic wiecznego na świecie nie ma — i to się skończy i kiedyś wszyscy do swoich domów wrócimy."

Czasem dodane są rady, które aż dziw, że cenzura niemiecka przepuściła:

„...najlepiej mają ci, co się dają zajonć, ale tylko do Englije... Zeby Ci Pan Bóg dał szczęście też teraz się dostać do Englika do niewoli. Jak będziesz miał przyleżytość, to daj się zabrać."

A o tym, jakie są nastroje w Kraju i co społeczeństwo sądzi o wyniku tej wojny, obrazuje nam odpowiedź na jakiś otrzymany z frontu list:

„...piszesz, że tam bunkry budujecie, a i to ani czasu nimosz pojeść. Widzi Niemiec, że przegro, a tak się wszędzie zabezpiecza."
„...mam nadzieję, że się to już wszystko niedługo skończy."

Niemcy jednak nie tylko umacniają się i budują „bunkry", ale i powołują coraz to nowe roczniki pod broń. Każdy list z Kraju zawiera liczne nazwiska tych, którzy dostali karty powołania. W wojsku idzie wszystko szybko — opisuje to jeden ze świeżych rekrutów:

„...w piontek rano my tu byli, w sobota nas łoblekli, w poniedziołek my przesienga mieli, a we wtorek to już syło los..."

Nie wszystkie jednak listy są smutne i poważne. Zrzadka trafiają się i wesołe. Jeden z adresatów awansował na Obergrenadiera — i oto jaką odpowiedź dostaje z domu:

„...bardzo nas rozfeselił tyn list, gdy przyszedł i czytom na kopercie Obergrenadier i wszyscy my się śmiali. A potym otworzyłam list i czytom, żeś jest od 1 października wyższy i pierwszy lepszy wojok musi cię słuchać. Bardzo się z tego śmiejemy, że ty nie umiesz po niemietzku, a dostoł żeś ta gwiazdka. A napisz nam, jak to bydziesz rozkazywał, czy po polsku, czy po niemietzku?..."

„...pisał nam jeden kolega, że by żeś już dobrze mówił po niemiecku, ino że nie chcesz..."

Dziwni byli ci „Niemcy" na pozycji przed nami, którzy nawet po niemiecku mówić nie umieją. I nie mówią nie dlatego, że nie mogą się nauczyć, ale dlatego, że nie chcą. Ale kiedy już włożyli na siebie mundur, to walczą dobrze, bez względu na to, jaki mundur noszą. Zaczynam rozumieć teraz, dlaczego tragicznym zrządzeniem losu w niektórych momentach walka była tak zacięta. I wiem to, że gdzieś tam daleko w kraju, może w tym samym nawet mieście, za mnie i za mego przeciwnika jest wznoszona w tym samym języku błagalna prośba

„...o szczęśliwy powrót naszych synów w domowe progi prosimy Cię Panie..."

MACIEJ DRZEWICA

O ŚWICIE

Jest jeszcze mrok, kiedy stajemy mocno na szczycie góry. Nogi ostatnim wysiłkiem i wolą doszły tu, serce bije głośniejszym przyśpieszonym tempem. By tutaj się znaleźć, trzeba było wyrzucić Niemców stąd. Nie ma na tym szczycie miejsca dla nich i dla nas jednocześnie.

Musieli stąd pójść precz, bo my musieliśmy je wziąć. Słyszę głos wodza — padają rozkazy, drużyny wychodzą na swoje stanowiska — odpoczywamy — wracam ku środkowi szczytowej płaszczyzny, potykam się o coś, co nie powinno według mej podświadomości kierującej krokami znajdować się między głazami i trawą — sterczy między wiechciami trawy but żołnierski — teraz widzę zabitego — to Niemiec, na mundurze Żelazny Krzyż, na twarzy okrutny smutek; twarz o rysach ostrych — jednak przeciętna. Tak jak on nie czuł, gdym potknął się o jego nogę, tak nic we mnie nie drgnęło, nie czułem nic, kompletnie nic — byłem tak obojętny na jego śmierć jak jeden z tych głazów, którym obojętne było, czy Niemiec za nim się schroni, czy Polak teraz z zań strzela.

— On stał nam na drodze — musiał więc paść wraz ze swym Żelaznym Krzyżem, który, o ironio, dostał za 1939 rok, ze swymi szalonymi ideami w swoim bezmyślnym zaślepieniu — jeśli mu obowiązek jego nie pozwalał na cofnięcie się — musiał tu paść.

Tymczasem jest już całkiem jasno. Odrywam swój wzrok od trupa — w dole grzmią echem gór skoncentrowane wybuchy niemieckiej artylerii — wstrząs powietrza dochodzi tu do nas — odwracam głowę i patrzę przez ramię tam, gdzie teraz jest pie-

kło, na znanym nam dobrze kolanie rzeki, gdzie w nocy była przeprawa, na oba płaskie brzegi Garigliano pada żelazo ognia dywizjonu ciężkiego; wybuchy są suche, druzgocące, gęste i jakżeż celne.

W tym miejscu zamiast mgły porannej nad rzeką unosi się brunatny kurz. Dalej — hen — jak okiem sięgnąć leży dolina ujścia rzeki.

Wstaje dzień — niebo żółknie już wschodzącym słońcem — w prawo cieniutką, delikatną niteczką srebrzy się piana fal morza — na wprost wzgórza w mgiełce. Stamtąd wyszliśmy wczoraj. Teraz błyskają czerwienią w szarości poranka salwy artylerii angielskiej. Mimowoli szukam oliwkowego sadu, skąd zabrali nam rannego Mietka, gdy popołudniową ciszę przerwały zbyt bliskie wybuchy 88-ki — szukam owego gaju pomarańczowego, który stanął nam swymi zdradzieckimi minami na drodze, gdzie w ową czarną noc, która właśnie odchodzi — kilka godzin temu a zda się, że to tygodnie — zostali ciężko ranni Zbyszek, Habdas, a potem Wilkosz... ich jęk, ich słowa dźwięczą jeszcze mi w uszach, są przeraźliwe, przenikające.

A rzeka płynie sobie dalej swym wartkim biegiem w płaskiej dolinie, zataczając kształtne półkola i nagłe zakręty, płynie sobie, choć tyle nad nią przewaliło się zdarzeń tej nocy, choć wody jej szare, dziś rano może są różowe, choć jeszcze tylu rzeczy będzie ona świadkiem — płynie.

A my — idziemy dalej — słyszę głos wodza — wydaje rozkazy...

ANDRZEJ CZYŃSKI

Z „Commandosowej Ballady"

(FRAGMENT)

. . . . . .

Wpatrzeni w świateł desenie
Rojem pocisków rzeźbione
Szli Commandosi jak cienie
Na wypad — na tamtą stronę

Nad Garigliano, w słonecznym
Dniu co się ledwo zaczynal
Posnęli w walce snem wiecznym
Rotmistrz — i jego drużyna

Domek na wzgórzu wyniosłem,
Leje w oliwnych krzakach,
I krzyże drewniane, proste,
Pamiątką są po Polakach.

I szemrze głuchą pieśń woda,
I gaj oliwny im śpiewa . . . .
Tak żal, że to nie wierzby,
Że to nie polskie są drzewa . . . . .

. . . . . .

Maciej Drzewica.

„Z 2 S.S.B-de DO 2 KORPUSU"

Z KRONIKI KOMPANIJNEJ

W dniu 6 lutego 1944 r. kompania przybyła do wsi S. Andrea di Vico Equense, położonej na skalistym półwyspie między Neapolem a Salerno. Dnia 9 lutego o godz. 12.00 odbył się przegląd Kompanii przez dowódcę 2 Special Service Brigade, bryg. T. Churchill'a, który wyraziwszy uznanie za wspaniały wygląd żołnierza po walce, w przemówieniu przechodzi wszystkie działania Kompanii z okresu 2 miesięcy, podkreślając odwagę, bitność i dobre wykonanie zadania, ze specjalnym zaznaczeniem, jak duży wpływ to miało w działaniach Ósmej, a następnie Piątej Armii.

W ciągu okresu od 6 lutego do 4 kwietnia 1944 r. Kompania doskonali się i utrzymuje sprawność fizyczną przez ciągłe ćwiczenia lądowe i morskie, przeprowadzane wraz z innymi oddziałami Commando. Pewien czas wykorzystany jest również na wycieczki krajoznawcze, kilka zaś dni, w których żołnierze mają możność obserwowania największego od 1906 r. wybuchu Wezuwiusza, pozostawia niezatarte wrażenie.

W okresie pobytu w S. Andrea Kompanię odwiedza przedstawiciel Naczelnego Wodza, płk. dypl. Ludwig, żywo interesując się przeżyciami wojennymi i życiem obecnym żołnierzy; ponadto dowódca Kompanii otrzymuje następujące odręczne pismo od Naczelnego Wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

Dowódca Samodzielnej Kompanii Commando — Kapitan Władysław Smrokowski.

Przesyłam Panu Kapitanowi treść pisma Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, skierowanego do mnie, które należy odczytać przed frontem kompanii:

„Z radością i wzruszeniem dowiaduję się od Pana Generała o tak dzielnych wyczynach naszego pierwszego oddziału na kontynencie.

W razie przesyłania Kompanii Commandosów wyrazów swego uznania, proszę Pana Generała o dołączenie również moich.

(—) WŁ. RACZKIEWICZ."

Ze swej strony przesyłam Panu Kapitanowi, oficerom i wszystkim szeregowym Kompanii wyrazy mego uznania i życzenie żołnierskiej pomyślności w dalszej walce o Ojczyznę.

Gen. Kazimierz Sosnkowski.

Dla upamiętnienia walk nad Sangro i Garigliano zostaje wykonany srebrny pierścień pamiątkowy, wręczony wszystkim żołnierzom Kompanii, którzy brali udział w tych walkach. Obrączka pierścienia ma kształt wygiętego sztyletu commandosowego, zaś na tarczy wyryty jest znak „Combined Operations" i napis „Poland - Commando". Wewnątrz wygrawerowany napis „Sangro — Garigliano 1943 — 1944". Wszystkie pierścienie są numerowane.

Dnia 4 kwietnia Kompania otrzymuje przydział taktyczny do 2. Polskiego Korpusu (który przybył na teren Włoch z Środkowego Wschodu) i transportem samochodowym przejeżdża do m. Busso w rej. Campobasso.

Dnia 9 kwietnia 1944 r., w pierwszy dzień Świąt Wielkiejnocy, w ramach uroczystości wielkanocnych 2. Korpusu, dokonuje przeglądu Kompanii Naczelny Wódz gen. Sosnkowski i d-ca 2. Korpusu gen. Anders. — Wczesnym rankiem Kompania udaje się do m. Boiano, gdzie wraz z oddziałami 2. Korpusu oczekuje przybycia dostojników. Po raporcie przemawia do żołnierzy gen. Anders, mówiąc m. in.:

„Znajdują się wśród nas żołnierze Kompanii Commando. Jesteśmy z was dumni. Słyszałem z ust dowódców sprzymierzonych słowa podziwu o waszej dzielnej, bojowej postawie. Drugi Korpus wita was serdecznie. Życzę wam, aby dalsze wasze czyny przyniosły sławę orężowi polskiemu."

O godz. 10.00 przybywa Wódz Naczelny, poczym Biskup Polowy W. P. ks. Gawlina odprawia uroczystą mszę świętą. Po nabożeństwie Naczelny Wódz. gen. K. Sosnkowski przemówił w następujących słowach:

„Żołnierze! Kompania Commando jest pierwszą polską bojową jednostką, która w marszu powrotnym do Ojczyzny przelała krew swoją na ziemi włoskiej. Kompania Commandosów Polskich w walkach od Pescopennataro i od rzeki Garigliano dokonała niepospolitych czynów bojowych, które wzbudziły podziw i szacunek wśród wojsk sprzymierzonych. Pod Pescopennataro Kompania, walcząc w odosobnieniu, będąc otoczona i odcięta, odpiera natarcie trzykrotnie większych sił niemieckich, utrzymując zwycięsko pole walki, zadając przeciwnikowi ciężkie straty i zmuszając go do odwrotu. Nad rzeką Garigliano Kompania, wyprzedzając natarcie piechoty, zdobywa stanowiska niemieckie, zaś w dalszym przebiegu akcji, przechodząc głęboko na tyły przeciwnika, dokonuje udanego wypadu na m. p. 71 dywizji niemieckiej, na drodze powrotnej zaś niszczy trzy działa nieprzyjacielskie, zdobywa sprzęt i wraca szczęśliwie do swoich, prowadząc jeńców — licznych w stosunku do sił własnych.

„Żołnierze! Stwierdzam, że K o m p a n i a C o m m a n d o s ó w P o l s k i c h d o b r z e z a s ł u ż y ł a s i ę O j c z y ź n i e. W imieniu służby dziękuję jej dowódcy, oficerom, podoficerom i szeregowcom."

Poczym, przechodząc do zalet żołnierskich, wykazanych przez żołnierzy 5 Kresowej Dywizji Piechoty, kończy przemówienie i przystępuje do dekoracji 21 żołnierzy z Pierwszej Samodzielnej Kompanii Commando i 15 z 5 Dywizji. Defilada oddziałów przed Naczelnym Wodzem i odznaczonymi kończy uroczystości.

W dniach 13 i 24 kwietnia Kompania kolejno zmienia miejsca postoju z Busso do Colledanchise i Capriatti; w tej ostatniej miejscowości przyby-

wa do nas pierwsze uzupełnienie w sile 20 szeregowych. Pierwszy raz mamy możność bliższego zetknięcia się w ramach naszej kompanii z żołnierzami, którzy przeszli Rosję i Środkowy Wschód. Wspólny język znaleziono odrazu i zżycie się nastąpiło b. szybko. Okres 24 kwiecień — 13 maj zużyty jest na intensywne i forsowne szkolenie uzupełnienia w treningu commandosowym. Element jest b. dobry fizycznie i za wyjątkiem wyszkolenia morskiego, którego nie można przeprowadzić, szybko dorównuje starej kompanii.

PATRZĘ NA NEAPOL

Siedzę na marmurowej balustradzie i patrzę z dala na zatokę Neapolitańską. U moich stóp miasto — w dali poza lazurem wód uwieńczony obłokiem dymu stożek Wezuwiusza. Jestem tu po raz pierwszy — ale dziwnie znany mi jest ten obraz. Myśl cofa się daleko... bardzo daleko...

Pamiętam radość, kiedy jako dziesięcioletni chłopiec dostałem duży atlas geograficzny. Na jednej z pierwszych stron były uwidocznione najciekawsze krajobrazy świata. Pomiędzy Morskim Okiem w Tatrach a himalajską perspektywą Kanchenjungi widzianą z Darjelingu widniała panorama, którą właśnie teraz oglądam. Tylko że teraz, zamiast białych plam żaglówek na błękitnej wodzie zatoki drzemią szare cielska okrętów wojennych. Ale Wezuwiusz jest ten sam — ten sam, o którym marzyłem będąc dzieckiem i tak samo go sobie wyobrażałem.

I miasto jest to samo — tak samo w dole schodzi nad zatokę równymi rzędami białych domów. Tylko niespodziewanie coś mąci harmonię, coś, co zniekształca obraz, zapamiętany z dziecinnych lat, ale co nie jest mi wcale obcym i nieznanym.

Na stary film dziecinnych wspomnień nakłada się obraz nowszy — bardziej żywo stojący w pamięci — Warszawa z końcem 1939 roku. Te same ślady walki na przedmieściach, te same ruiny i zwaliska, ściany domów ziejące pustką wybitych okien i wyrwami pocisków artyleryjskich, jezdnie z świeżo zasypanymi kraterami bomb. Trzeba dopiero uprzytomnić sobie, że to nie Mokotów czy Wola z niezarównanymi jeszcze barykadami w poprzek ulic, że ten tramwaj, lawirujący między zwałami rumowisk i zerwaną wybuchem jezdnią, to nie „trójka" jadąca na Żoliborz, że długie kolum-

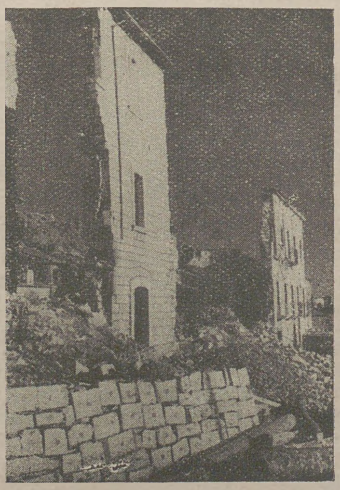

ny samochodów to nie armia niemiecka przerzucana z powrotem na zachód, tylko amerykańsko – angielskie wozy zaopatrzeniowe, że ten gwarny, natarczywy, rozczochrany tłum handlujący czym się da i gdzie się da, to nie mieszkańcy Nalewek czy Nowolipek, wyprzedający żołnierzom wszystkie swe zapasy, tylko Włosi jak zwykle zarabiający sprzedażą souvenirów na obcokrajowcach.

DRZ.

WEZUWIUSZ

Wybuch Wezuwiusza nie był dla nas czymś zwykłym. Cztery piąte stanu Kompanii o Wezuwiuszu słyszało tylko tyle, iż jest to olbrzymi, charakterystyczny masyw z dymiącym zlekka kraterem, oglądając na filmach i zdjęciach. Stożkowate, rozwalone cielsko obserwowaliśmy już od Neapolu w czasie transportu z m.p. za Sessą do Vico Equense, z lewej strony niewidoczne wprawdzie, dobrze znane z historii starożytnej wykopaliska Pompei. Wówczas drzemał. Sino-błękitne smużki unosiły się chwilami lekką mgiełką, niczym niezdrowe wyziewy.

20 marca było zimno. Chłód przenikał wskroś, a wiatr dął z taką siłą, jakby chciał w wiewie swym unieść resztki zimowej pory, zawodził przeraźliwie w zakamarkach i wąskich kanałach przejść między zabudowaniami. Niebo bez gwiazd, ciemno, ponuro. Pierwszym zwiastunem o niebywałym wydarzeniu był Maciej Drzewica. Przechodziliśmy gremialną grypę (jeśli o nasze locum chodzi), ciekawość przecież przemogła.

Toż to nieledwie sensacją było dla nas. Nawet dla świata — co ograniczały działania wojenne. Nie wiedzieliśmy, jak długo pozostawać tu będziemy... Bądź co bądź atrakcja niezwykła, biorąc pod uwagę czas wolny; czas, który nie upływał nam na lenistwie, a przeciwnie, w którym marszo-biegi, marsze naprzełaj, wychowanie fizyczne, strzelnice utrzymywały i kondycję, i pochłaniały całe dni częstokroć. Jeśli się jest w akcji — poza nią nic nie zaprząta umysłu. W owym okresie — choć pamiętało się o szeregu fragmentów z działań za rzeką Garigliano — wybuch Wezuwiusza wytrącił wszystko z równowagi i byłoby niesposób o tym nie wspominać.

Rzecz ciekawa, że od pierwszej chwili więcej zainteresowania zauważyć można z naszej, niż ze strony Włochów, choć — jak sami twierdzą — wybuch przerósł rozmiarem ostatni największy z przed 250 laty.

Jest od nas względnie dobrze widoczny, jakkolwiek w prostej linii dzieli odległość kilkunastu mil. Wspaniała kaskada płomieni.

Krater zionął dosłownie ogniem. Szczyty gór, położonych znacznie bliżej i dalej rozsiane, tonęły w powodzi ognia, jakby gdzieś przeogromny szalał pożar i zdawał się iść poprzez niedosiężne dla oka połacie. Niebo krwawiło rozległą łuną. Z najwyższego wierzchołka sączyła się niczym posoka lawa, szeroką wstęgą spływając po zboczu.

Groza przejmowała — jednocześnie oczy przykuwało piękno niezwykłego faktu. Człowiek przyglądałby się, stał i patrzał.

Tej nocy i dnia następnego głuche detonacje dochodziły aż do nas, podobne do strzałów armatnich, czy wybuchów wielkich bomb lotniczych.

Niejednokrotnie szyby dzwoniły w ramach i lżejsze przedmioty podskakiwały na stole. Wstrząsy były silne, raz mocniejsze, raz słabsze, ale z tą samą występujące potęgą tak w dzień, jak i w nocy.

Wczesnym rankiem 23-go niebo zaciągnęły rdzawo – popielatego koloru chmury, przez które nawet słońce nie miało sił się przebić. Wraz z drobniutkim, niczym miałko starta cegłą pyłkiem, w powietrzu unosiła się odurzająca woń siarki. Pył osiada wszędzie. Jest tak złośliwie przenikliwy i tak olbrzymie jego ilości unoszą się, że mimo zamkniętych okien i drzwi dostaje się do najodleglejszych zakamarków. Wystarczy być na dworze przez 10 minut, by popiół wcisnął się za koszulę i rękawy, by osiadł na brwiach, włosach, by pokrył cały mundur cienką, ceglastego koloru warstwą. Trudno wyobrazić, do jakiego jest to stopnia dokuczliwe i porównać chyba jedynie można z burzą piaskową na pustyni.

24-go tak olbrzymie tumany unosiły się w górze, że nie można ani czytać, ani pisać. O szyby biją ziarnka piasku, podobne czasem rozmiarami do małego grochu. Na wszystkim leży osad. W sieniach warstwa trzy-czwarte centymetra, jednolita, równa. Po jednej tylko nocy z jednego pokoju gospodyni wymiotła pełne wiadro pyłu, który przecież wciąż faluje w powietrzu. Chodzimy umorusani i źli jak nieszczęście. Wielu obecnie jest małomównych z konieczności, bowiem i bez otwierania ust wulkaniczny popiół chrzęści w zębach...

O ćwiczeniach jakichkolwiek mowy być nie może. Lekarz, który jest zaangażowany dosyć poważnie wobec chorych z Kompanii, a angażuje się niezależnie od tego u ludności cywilnej, wygląda jak nieboskie stworzenie.

Część naszej Kompanii udaje się na wycieczkę pod samo zbocze Wezuwiusza. Pył, dym i wyziewy siarki utrudniają podejście. W drodze mijamy uciekinierów z górskiej wioski S. Sebastiano, którą dosięgła lawa. Płynny, wrzący żywioł miażdży i gniecie mury domostw i przelewa się wolno przez ulice.

25-go spadł deszcz. Odnosi się wrażenie, że teraz z nieba spadają krople błota, co jeszcze bardziej psuje humor i uniemożliwia pojawienie się na zewnątrz. Stosujemy to w miarę możliwości.

Z okien, z za brudnych, papką z rozmokłego pyłu oblepionych szyb rozciąga się ponury, wstrętny wprost widok. Konary drzew pokryte osadem, trawy brunatne, ścieżki, wszystko, dosłownie wszystko aż się lepi od brudu...

Deszcz pada. Raz gruby, pada bez przerwy. Innym razem drobniutki, niczym mgiełka.

Wezuwiusz pomrukuje starczo, ochrypłe, kłąb wyziewów urasta nad kraterem do rozmiarjw jakichś nieprawdopodobnych figur, ae atrakcja ma się raczej ku schyłkowi.

Tymbardziej, że strużki wody też swego dokonały. Wyjeżdżając przecież do Capriati al Volturno, spotkaliśmy na trasie liczne jeszcze ślady pierwszego wybuchu.

(*JERZYCZ*)

VIRTUTI MILITARI

Byliśmy naprawdę zmęczeni. Wszystko odbywało się w tak szybkim tempie, że na nic dosłownie nie było czasu. Ledwie człowiek wsiadł do auta, a po godzinnej jeździe wyboistą, nad stromymi urwiskami drogą, która w kilkunastu miejscach wiła się serpentynami to w dół, to pod górę — ledwie zeskoczył i twarz zapyloną zdołał jako tako chusteczką wytrzeć, gdy „Stary" zarządził zbiórkę. „Ciuk" papierosa ułonął w głębokiej przedniej kieszeni. Potem przemarsz na placyk przy stacyjce kolejowej, kilka „równaj w prawo", przestępowanie z nogi na nogę, raporty; dwukrotne „Czołem Panie Generale", nabożeństwo.

Dzień był bardzo pogodny, jeden z tych wczesnych dni kwietnia, który uśmiecha się pełnią słońca, który ukazuje nam całą

krasę włoskiej wiosny. Od czasu do czasu jeno wiał lekki wiaterek, leciutki jak delikatne muśnięcie.

W zagrodach wrzało życie podobne życiu naszej wsi. Gdakanie kur, pianie kogutów, bek owiec. Na nas podobne głosy wywierają wrażenie, objawiające się w zależności od pochodzenia — na swój sposób. Trudno przecież zapomnieć, mimo 4-letniej po przeróżnych krajach tułaczki i przyglądaniu się temu wszystkiemu, co nam było obce — to, z czym żyliśmy, z czym stykaliśmy się na każdm kroku, z czym było nam tak swojsko i dobrze...

Doprawdy, nie odnosiło się wrażenia, że tuż prawie przed nami toczą się bitwy, że w zależności od ich wyniku będziemy użyci, że wogóle jest wojna i że w nią jesteśmy aktywnie wciągnięci.

Każdy z nas wiedział i świadomie zdawał sobie z tego sprawę, poco tu zostaliśmy wezwani i dla jakich powodów uczestniczymy na nabożeństwie, poczym ma nastąpić chwila, o której wspomni historia — jednak dosłownie powagi „Dziś" nie odczuwało się zupełnie, nawet w słowach Dowódcy Drugiego Korpusu, który krótko przywitał się z oddziałami, a w świątecznych życzeniach chciał powiedzieć więcej. W naszych uszach brzmiało to jak z przed pięciu laty: „Wodzu, prowadź na Kowno..." Bogate słownictwo naszego języka w pewnych określeniach staje się suchą prozą, spopularniałą przez ciągłe powtarzanie się, stereotypowym tylko zwrotem.

Zdania były mocne. Kryło się w nich coś niezwykłego... a nade wszystko silna wiara. Powiedziałbym, że wiara w posłannictwo, jakie nam Dziś — istniejące już na przełomie lat czterech — narzuca. Jak gdyby nie stać nas było na stworzenie czegoś nowego. Takie zdania ujmują. Takie zdania wprowadzają ufność.

Nabożeństwo dobiegało końca. Człowiek mimowoli dziękował w myśli „szewskiemu specjaliście", że rozwiązał tak świetnie sprawę szycia butów na gumowych podeszwach, że nie dokuczały stopom. Ostatecznie „wbrew regułom budowanym przez laików" Commandos jest tylko człowiekiem i może przyjąć walkę wręcz, ale nie musi cierpieć z powodu obuwia.

Coraz częściej przestępujemy z nogi na nogę. Chciałoby się gdzieś usiąść na chwil kilka, albo na murawie wyciągnąć się wygodnie... Stoimy przecież od czterech i pół godzin niemal bez przerwy...

Kornie chylą się głowy... Ręka biskupa polowego, celebrującego nabożeństwo, kreśli w powietrzu znak Krzyża świętego.

Zbliżał się doniosły moment. Moment, którego niepodobna przedstawić kilku zdaniami tylko. Byle by pamiętać. O tym będzie mówić historia naszego oddziału, nas samych, historia Wojska Polskiego.

Wódz Naczelny rzuca ogólny szkic naszej pracy i dorobku, przedstawia bojowe sytuacje, którym i my przysłuchujemy się niczym czemuś nowemu.

To — zdaje się — było już tak dawno... Tak wprost fantastycznie brzmi, że aż trudno sobie samemu wyobrazić, że człowiek zdolny jest jednak dokonać czegoś. Prawda... zasiane po cmentarzach i polach groby, nazwiska tych, którym lekarze i szpitale udzieliły pomocy... Nazwiska tych, którym nikt i nic nie wynagrodzi utraty nóg i rąk... Nazwiska tych, którzy życie własne wystawili na morderczy ogień karabinów maszynowych, mówią więcej. Więcej potrafią powiedzieć... Kiedy to było?...

Człowiek gotów powiedzieć, że dni są odległe, a przecież trzy nie upłynęły miesiące od czasu, kiedy szczupła garstka przemknęła koło jednego z bitnych „regimentów" skokami, przebyła mostek.. i utonęła w mroku. Oni zostali. O szczupłym oddziałku wiedzieli mało. Może nawet nie wiedzieli, że Polacy... którzy „przeciekli" przez ogień „sniperów", ukrytych w gąszczach drzew i krzaków.

Czy wiedzieli, skąd wracali... ile postawili kroków, by przebyć dzikie, kamieniste zbocze... nie zatrzymać nad skalistym urwiskiem... zejść w jary, z których poprzedniej jeszcze nocyział ogień moździerzy na posuwających się do ataku?... Odległe to jednak dni. Dni, w których walczyliśmy o spokój własny, by osiągnąć cel, by w walce znaleźć i poznać siebie... by zdobyć to wielkie Coś — albo zdechnąć jak pies, lecz z duchem człowieczeństwa, które dokona mordu z logiką rozumującego bydlęcia, by zrabować to, co nam zrabowali. Ale do akcji iść bez lęku... ale opanować siebie... nieść mord przez skryte dojście... nie czekać, nie obserwować, tylko.., rzygnąć nie kulą, a ogniem i siać śmierć, kalectwo, zniszczenie i strach, jak oni sieją. Zawrzeć się w końcu po czterech latach i pokazać, żeśmy tacy sami jak ci w kraju, twardzi i nieugięci... że na froncie jesteśmy teraz równi sobie, inni, niż we wrześniu, że nie jesteśmy nic gorsi...

Wódz Naczelny mówił, a myśmy przeżywali przeszłość. Utonęli okiem wspomnień, a zapomnieli się i tak pozostali. W tej chwili były to dla nas słowa. Wielkie słowa, lecz zbyt słabe, zbyt inne od rzeczywistości, zbyt ubogie. Co stworzyła Chwila, to ogarnie zmysł tego jedynie, który walił się na szary kamień stoków, na cuchnące siarką błoto, który żegnał konającego towarzysza tu-

łaczki i szedł dalej, zaciąwszy zęby. Z nami szła myśl, słowo matki, z nami szło Zadanie.

„...14 grudnia 1943, w chwili, gdy jeden ze strzelców w jego plutonie został ranny, podsunął się..."

Pamiętamy to. Pamiętamy bardzo dobrze, choć wiele innych epizodów nastąpiło po tym. Z Ameryki był. Z Chicago. Jedyny w naszej Kompanii ochotnik z U.S.A. — i pierwszy... Tuli go gliniasta ziemia cmentarza w Capracotta, pierwszego Polaka, który padł na ziemi Włoskiej i pierwszego, który został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

— Poruczniku Czyński Andrzeju... — słowa Generała brzmią uroczyście, sakramentalnie. Cisza zalegała placyk tuż za stacyjką kolejową, gdzie czworobok oddziałów przecina szereg przedstawionych do odznaczeń.

Szesnastu Commandosów i siedmiu z Dywizji Kresowej. Słowa są silne, jak uderzenia. Coś czepia się gardła, sięga uściskiem, coś dławi... Szybko, coraz szybciej bije serce, chce wprost wyskoczyć ze wzruszenia... coś chce krzyczeć, wyć, szlochać i śmiać się wielkim śmiechem, coś chce, by świat cały, z nimi po tamtej stronie, wiedział, krzyczał, i szlochał naszą radością. Właśnie w tej chwili, kiedy praży słońce włoskiej wiosny, kiedy nasi wrogowie zarzucają nam opieszałość i brak aktywności, kiedy z tym po niewolniczej roli w Rosji spotkał się tułacz z Polski, do którego los łaskawszy uśmiechał się uśmiechem, i kiedy do uszu dochodzi odległy huk dział.

Padają komendy, chrzęszczą karabiny. Naczelny Wódz wolno maszeruje w kierunku prawo-krzydłowego przedstawionych do odznaczeń.

Nie słyszę nic. Patrzę, utonąłem wzrokiem w twarzy porucznika, dzielę z nim radość, wzruszenie, doniosłość chwili. W jego spojrzeniu jest coś, czego nie sposób opisać słowami. Twarz ma stężałą, szczęki zwarte i widać, że całą moc woli wytęża, by całą moc woli zachować, by panować nad sobą. W zastygłym obliczu nie drgnął oni jeden muskuł. Oczy jeno, którymi nie widział napewno, to płonęły ogniem, to przesłaniała je jakby mgła. Może myślał o Franku z Ameryki, może o tych w szpitalu, może starał się myśleć z wysiłkiem człowieka czymś wyczerpanego i nie mógł. Coś mówi przez ściśnięte gardło, lecz nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Virtuti Militari... Pierwsze, wśród żyjących, Virtuti Militari w Kompanii Commando... Pierwsze nasze Virtuti... On je zdobył, przed nim Naczelny Wódz salutuje... ale nam się zdaje, że to przed całą Kompanią, że dekorował Franka, Rotmistrza i tych z nad Garigliano i tego w Pescopennataro, i tych w szpitalach bez nóg... Myśmy to zdobyli krzyżami mogił, kalectwem, krwią, trudami.

Jego radość jest naszą radością. Symbol jest naszym symbolem. On jest nasz. On i jego Virtuti Militari.

Są ludzie, którzy przeżywają w życiu wielkie momenty. Czasem jeden tylko moment. Ale są także ludzie, którzy tych momentów są świadkami jeno, lecz przeżywają je w równej mierze. Szczęście jest podzielone.

Czasami ujmujemy je pieszczotliwie, czasem twardo, czasem rzewnie.

W każdym z tych wypadków rozumiemy jednak, że jest wielkie, a tym bardziej większe, jeśli jest nasze.

Dla nas tym szczęściem był 9 kwiecień 1944 roku, Virtuti Militari, Kawaler Krzyża i... pamięć.

(*JERZYCZ*)

POZNALIŚMY SIĘ ZNOWU

Okoliczności zetknęły nas z sobą dopiero na terenie 2. Korpusu. Smieszne może: poznawaliśmy się znowu — poczynając od uścisków dłoni, od rozmów, budzących łzy wesołości i tajonej żałości, poprzez serdeczność i wylanie się szczere, otwarte właściwe naszej rasie. A przecież — nie śmieliśmy sobie tego powiedzieć, że znaliśmy się tak dobrze i to odnawialiśmy nasz wzajemny, przyjacielski, bratni stosunek, dawną zażyłość i dawną prawdę.

Lody pękły nadwyraz szybko i nikt się temu nie dziwił, żadna ze stron nie zatrzymywała się nad tym dłużej.

Wielkanoc... Naczelny Wódz... Przegląd...

Dzień upalny, nieledwie skwarny. Poważny nastrój chwili udzielał się wszystkim i z prawdziwą dumą patrzyliśmy na szczęśliwców, występujących do dekoracji. Z heroicznym zaparciem

się siebie po pięciu tęsknych, brzemiennych zemstą latach, zmierzyliśmy się z wrogiem na obcej ziemi, manifestując tym zbrojny wysiłek i współudział Narodu Polskiego, narodu, który nie uległ, nie zaprzestał walki, i cierpień nie zapomniał. Przez półtora roku pozostawaliśmy wśród obcych... Od pięciu miesięcy pozostawaliśmy na froncie i mieliśmy już wiele nauk poza sobą...

Mały placyk za stacyjką kolejową, oddziały ustawione w czworobok, polowa Msza św., generałowie, delegacje, cisza; chrzęst karabinów...

A potem mocny, twardy krok defilujących kompanii, dłonie przy beretach i furażerkach, jakaś rzewna radość i duma we wzroku, jakieś ciche uznanie bez słów, jakaś wiara, której nic nie złamie.

W niej musimy wytrwać, zwyciężyć, dojść — —

Komandosi... Bodajby dwóch, trzech chce każde większe zgrupowanie gościć u siebie. Choćby jednego... Oddziały, stacjonujące w m. p. D-twa nieledwie mają do nas pretensję, że... nas jest tak mało.

Nie, To już onieśmielało. To już chwytało czymś za krtań, zapierało oddech. Chciało się krzyczeć, wyć, śmiać się i szlochać...

Tylu znajomych. — Chciało się wpaść w ramiona i tak pozostać...

Po półtora roku wśród obcych. Po pięciu miesiącach akcji, nie mając nieledwie pojęcia, że w Italii są oddziały polskie...

Opowiadaniom, dopytywaniom się (jakże często bez odpowiedzi) nie ma końca. Wszyscy mówią szybko, przekrzykując się, jakby lękając, że zabraknie czasu, że ktoś odejdzie... Wszyscy się śmieją, wybuchają jednym głośnym rechotem, znów przekrzykują.

— Każdy z nich ma minę, jakby się mu syn urodził... — mówi por. K. z Kompanii Łączności Korpusu. Sam ma łzy w oczach i cieszy się najbardziej z tego, że jeden z naszych był uczniem jego siostry, nie zastanawiając się nad tym, że „ziomek jest okrągluteko", czternaście lat młodszy i że moje plecy najbardziej odczuwają jego wylewne zadowolenie.

Na stole wszystko, co można było u Włochów kupić, jakieś wina, artykuły z NAAFI, każdy podsuwa swą menażkę, nóż, widelec, ten ustawia krzesło, tamten znów podaje ręcznik, „bo to i wino zostawi plamy, i tłustego mięsa kawałek może powalać

spodnie" — a mnie to jeno onieśmiela coraz bardziej, czuję, że się rumienię, i bąkam coś niezrozumiale.

Nie zapomnę tego dnia nigdy. Ludzie, których bodajże nigdy przed tym nie widzieliśmy, stawali zakłopotani w samej chęci wyświadczenia nam usług. Może nie mogli właściwie pojąć swej roli i wskutek tego byli bezradni.

— A skąd jest pan plutonowy... to znaczy, skąd pan pochodzi? — co chwilę rzucił któryś i czekał.

To ci z zagród, albo prosta brać robotnicza, która szuka się i dopytuje o siebie najczęściej. Chcę każdemu coś powiedzieć, bodaj dwa — trzy zdania. I znowu poznaje mnie któryś...

Po pięciu latach, po przeżyciach w dwóch innych jakby światach, ale zbratani tym samym Celem, może w przede dniu Zada-

nia do którego napewno tym razem pójdziemy wspólnie... Pamiętali. Żyjemy Chwilą, o której myśli się z pewną dozą odrazy. Czas biegnie nadto szybko i nie wiemy, na jak długo znów się rozstaniemy.

Lecz trzeba coś przemilczeć i w niepamięć Teraźniejszości cisnąć brutalnie... Ożywa w nas radość, każdy chce się czegoś dowiedzieć, każdy chce się wywnętrzyć, podzielić wrażeniami.

Przecież pierwszy raz... Bezwiednie jakby zadaję sobie pytanie: jak to wyglądać będzie w Odrodzonej Polsce, jeśli któryś z nas tej szczęśliwej chwili doczeka?...

Toć ci na przykład. Byli w mojej drużynie podczas kampanii wrześniowej. Jestem cały rozdygotany... Bo nie mówią, a krzyczą już, nie ustępując sobie.

Wypieki na zniszczonych przeżyciami twarzach. Któryś z zamglonym wyrazem oczu szarpie d-cę plutonu za rękaw, chce coś powiedzieć, gestykuluje rękami i głos uwiązł mu w gardle.

Byli naprawdę prości. Prości po polsku, szczerze.

Słowa często zastępowało zdanie całe, a myśli przecież tłoczyły się coraz świeższe.

— Pamięta pan?...

Czemuż miałbym zapomnieć... Czy możliwe jest spokojne przejście do porządku dziennego, jeśli jakiś moment swoim rylcem wyżłobił głębokie znaki, a dziś się je rozrywa świadomie?...

Z niektórymi z nich wiązały mnie wspólne, twarde przeżycia dni we Lwowie, inni pamiętają jeszcze Wilno, naloty w Czeremszu, pierwsze groby pod Włodzimierzem Wołyńskim.

Daleko ulatujemy myślami. Ktoś wchodzi. Wiadomości, że jestem tutaj, rozchodzą się i po innych plutonach.

Są uradowani nieoczekiwanym spotkaniem.

Oto mój były instruktor... oto mój były zastępca... tamci z drugiego plutonu. —

I znów „pamięta pan?"...

Patrzymy na siebie z niemym wyrazem prawdziwego rozczulenia.

Przy rozstaniu nie było jednak już tylu słów. Nad nami wisiał olbrzymi cień wojny i to, czego nie wiedzieliśmy. Nieme wybiegało pytanie, czy ujrzymy się kiedyś — czy też widzimy się ostatni raz. —

JERZYCZ

JAK NAS WIDZI 2. KORPUS

(Według reportażu z „Parady" Nr. 11 z dn. 28 maja 1944 r.)

Piękne to było wojsko – gwardia. Doborowe. Wysportowane, wybrane z milionów. Chłop w chłopa, jak lale malowane, żołnierzyki ołowiane z jednej formy odlane. A i wymagania przy tym wyborze stawiano nie byle jakie: przecież taki car Paweł do „swoich" pułków wybierał takich tylko, co nos krótki a zadarty mieli...

Na modłę nosa Cesarskiej Mości. A wiarusy gwardii napoleońskiej?

Te wąsy sążniste? Wzrost czapą niedźwiedzią jeszcze podwyższony? A Fryderyk Wielki co to mniejszego chłopa, niż blisko dwa metry, za gwardzistę nie uważał.

I jak takie wojsko defilowało. Ziemia drżała. Równało — choć niwelatorem sprawdzaj. A chwyty robiło — jeden trzask — jeden stuk. Oczy barwami tęczy radowało. Czerwień, złoto, srebrne haftki, guziki, pętelki, akselbanty; z łosiowej skóry spodnie... na mokro — do figury wkładane. Gorsetem ponoć też nie gardzono.

A tańczyli dzwonili ostrogami, a serca kobiece jednym spojrzeniem do stóp kładli.

Gwardia.

Minęły te czasy, znane nam z powieści historycznych, z filmów, z operetki. Ale teraz, w tej wojnie totalnej, mamy też swojego rodzaju „gwardię". Nie mówię o tej — latającej, czy pływającej, ale takiej, co starym zwyczajem po twardej ziemi się rusza.

Zestawić ją, porównać z tą starą? Pożal się Boże. Ani blasku, ani trzasku. Wzrostem: i tyki duże, i taki, co go grubo niżej średniego zaliczyć trzeba. Nosami, wąsami — rozmaitość i pstrokaci-

zna wprost gorsząca. Chwytami i musztrą chyba też nie jedna kompania wartownicza ich zakasuje. A jednak... wybierano do tych oddziałów starannie, przez sito niejednego badania cedzono. Tylko ochotników.

I tylko takich, co płuca z szerokim oddechem i serce końskie i oko celne i ręka twarda i głowa otwarta.

Nie żąda się od nich, by „ziemia pod stopami drżała"; ale wymaga się, by chodzili cicho, jak koty. Nie równanie „na włos"; ale w pełnym rynsztunku, z maszynkami i granatnikami swoich jedenaście kilometrów na godzinę odwalić trzeba.

I lśnić, czarować też nie muszą, bywa za to, że gęby na modłę dzikusów sadzą, czy innym paskudztwem smarują, a „sukno mocno plugawe" wkładają. Błyszczące akselbanty zastąpiły liny grubaśne, szable dzwoniące — noże w nogawce ukryte, czaka i czapy ogromne — hełmy brudno-zielone, siatkami, gałązkami, szmatkami zeszpecone. I gęsi krok na placu musztry odpadł.

Pozostał marsz — przez pola minowe, czołganie się przez zasieki kolczaste, małpie łażenie po drzewach i skałach, pływanie w rynsztunku, i skoki... z paruset metrów. Dziwna to „gwardia"; co to żadnej cesarskiej, czy królewskiej mości nie służy, a walczy dla Sprawy swego narodu i wolności świata.

Anglicy i Amerykanie, Belgowie i Francuzi, Norwegowie i Holendrzy. I my — Polacy.

I „gwardią" wcale ich nie nazywają, choć są zawsze tam; gdzie najtrudniej, najniebezpieczniej. Są pierwsi. Na rękawie noszą skromny napis: „Commando" i swój znak kabalistyczny.

Nasi Komandosi mają już wyrobioną markę, i to wysokiej klasy.

Pierwsi Polacy na tutejszym gruncie. Ciężkie zadania.
Opinia i pełne szacunku uznanie dowództwa angielskiego itd.

Broń Boże nie pisz, że są „skromni"; zdyscyplinowani i odważni..." Jest to przywilej przełożonych, potwierdzony wielką ilością Krzyży Virtuti Militari i Walecznych. I krzyży drewnianych. I sal szpitalnych. O swoich wyczynach opowiadają niechętnie i dziwnie lakonicznie. Nie piszą „historii" i kronik nie prowadzą. Odkładają to na lepsze i spokojniejsze czasy.

Teraz mają „robotę". Uważacie? Nazywają to po prostu — „robotą". I wcale nie ubiegają się o tytuł stachanowców.

Stare przysłowie powiada: „Z człowiekiem trzeba beczkę soli zjeść, by go dobrze poznać". Co do komandosa, powiedziałbym, że trzeba z nim beczkę wina wypić, aby język rozwiązał.

A jako, że są ludzie trunkowi i łby mają tęgie — może nawet jedna nie starczy. I wtedy będzie opowiadał dziwnie ciepło i dziwnie serdecznie... Nie o sobie i swoich wyczynach, ale o tych drubach„ co do szpitala odeszli, lub na zawsze w ziemi włoskiej zostali. Całe bowiem Commando jest związane, scementowane najpiękniejszą rzeczą pod słońcem — przyjaźnią męską i braterstwem krwi. To już samorzutnie powstaje w czasie takiej „roboty".

Powiedzmy — „mokrej roboty". Teraz są na odpoczynku. W odwodzie.

I choć na tych zasłużonych wakacjach przenosi się ich stale z jednego m. p. do drugiej jeszcze gorszej dziury — ćwiczą, uczą się, doskonalą się nadal. No i w chwilach wolnych... jakby to powiedzieć... niszczą alkohol w każdej postaci. Smoki sakramenckie.

Byłem u nich na jajku. Jajku wielkanocnym. Odludzie. Zapomniana wioszczyna włoska. Stół wielkanocny, ksiądz — Włoch

święcił. A potem rozczulił się księżyna i zamieniwszy parę słów z obecnym, wbitym w uroczysty tużurek burmistrzem — kropnął kazanie. Teraz znam wagę powiedzonka: jak na tureckim kaza-

niu. Było to zupełnie to samo, a trwało to minut czterdzieści i osiem. Z namaszczeniem i przejęciem słuchało bractwo, niedobrym okiem łypiąc na uroczystego reprezentanta ludności cywilnej, który bez żenady pałaszował w tym czasie pierniki. Po czym „wódz" (komandosi są diabelnie wszechstronni) całe kazanie przetłumaczył dosłownie:

— Zrozumieliście tyle, co ja. Musiało być bardzo piękne, więc... pijmy zdrowie. Pito. I to jak. Kazio, sierżant szef, co to za matkę kompanii uchodził, a minę teściowej posiada — wyparł się Commando. Nie należy do nich, nie jest szefem. Jest wilkiem, i wył, słowo daję, wył głosem zawodowego wilka leśnego. O północy bractwo było „gumowe" i uliczki były za wąskie; i niejedno posłanie na właściciela naprózno czekało. Lecz dnia następnego, o godzinie siódmej rano byłem świadkiem cudu: Kompania wypucowana, wygolona, zapięta na ostatni guzik, wymaszerowała.

Jako fachowiec z uznaniem piszę — miedziane łby. Korespondentem nie jestem, więc wywiadu z nimi nie robiłem. Nie lubię zresztą tego diabelnie. Gwoli jednak prawdy, muszę rozwiać szereg legend i opinii krzyczących, które krążą na temat zielonych beretów. A więc: nieprawdą jest, jakoby śpiewali pieśni niecenzuralne. Prawdą natomiast jest, że mają też pieśń piękną, poważną i wzniosłą — marsz pogrzebowy dla swego „wodza". A „wódz" ostatniego z ostatnich śpiewaków przeżyć przysięga... i śpiewa z nimi razem. Nieprawdą jest, że łapiduch komandosów

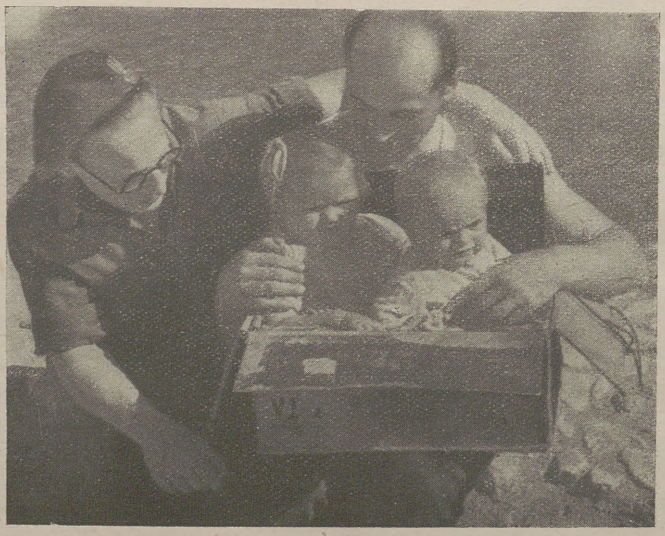

żywcem pożera włoskie niemowlęta i serca dziewczęce. Prawdą natomiast jest, że za lingwistę uchodzi i przed dekoracją Krzyżem Walecznych, dwa dni uczył się odpowiedzi: „Ku chwale Ojczyz-

ny, Panie Generale". Potem, w chwili decydującej, ledwie wykrztusił: „Dziękuję... bardzo... Generale.." Nieprawdą również jest, jakoby strzelec Niegrudzień był niemową, bo sam słyszałem, jak w czasie dekoracji Naczelny Wódz zapytał go, gdzie był ranny: „Urodziłem się w Sosnowcu, Panie Generale... a to wszystko przez to, że zegarka nie miałem... bo by się kółka jego rozsypały... a tak, to tylko papierosy w tej papierośnicy, no i kula osłabła..." I prawdą jest, że dostał od Naczelnego Wodza zegarek, a teraz marzy o papierośnicy. I jeszcze jedno, nie wierzcie, że komandosi lubią się fotografować. Z własnego doświadczenia wiem, że sztuczkami magicznymi ściągają chmury deszczowe, by w czasie ulewy bezbronnego fotografa ograć do suchej nitki w karty.

I wierutną blagą jest, jakoby wrócił od nich w... wypożyczonych portkach.

WIKTOR OSTROWSKI

ZIELONE BERETY

Wszystkie nasze „pestki"
Janki, Hanki, Zosie,
Jeśli o kim marzą,
To o Commandosie,
Chociaż mają w koło
Dziarskich chłopców w bród,
Lecz na Commandosów
Lecą jak na miód,

Inny pości i zazdrości,
Kicha, zdycha, schnie z miłości.
A Commandos spojrzy raz,
I jak z bicza trzasł.

Zielone berety z fantazją na ucho,
Idą Commandosi, trzymaj się dziewucho.
Oprzeć się tym chłopcom, nie wiem kto by mógł,
Takim musi ulec, najzaciętszy wróg.
Zielone berety, miny zawadiackie,
Uciekaj dziewczyno, bo wpadniesz w zasadzkę.
Jeśli ich się boisz to przed nimi wiej,
Ale jeśli kochasz, powiedz im O'Key.

Na nic groźne miny,
Wybuchowe tony,
Z miną i z wybuchem
On jest oswojony
Opancerzysz serce;
Jemu „pal to sześć"
On i do „pilboksu"
Też potrafi wleźć
Na podkopy i podchody
I zasieki i przeszkody
Nie wiesz sama jak i skąd
Już ci przerwał front,

Zielone berety i zielone oczy,
A dziewczętom mało serce nie wyskoczy.
Zielone berety, tylko ich się strzeż
Często pod beretem jest zielono też.
Zielone berety wstążką ozdobione,
Która z Commandosem zagrać chce w zielone?
Dla dziewczyny z góry to przegrana gra,
Z Commandosem zawsze przegra to co ma.

KONRAD TOM

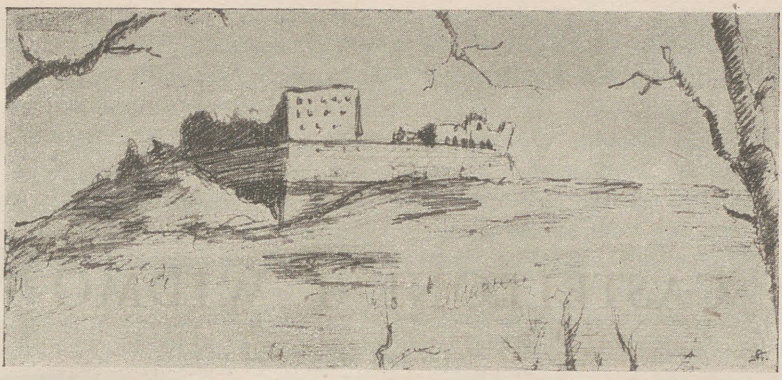

„MONTE CASSINO"

Z DZIENNIKA BOJOWEGO

W dniu 14 maja Kompania zostaje przydzielona pod względem taktycznym do 5 Kresowej Dywizji Piechoty i w tym samym dniu przewieziona do m. Aquafondata do wąwozu Inferno, gdzie pozostaje w odwodzie do dnia 16 maja. W dniu tym dowódca otrzymuje zadanie od Dowódcy Korpusu i dowódcy natarcia płk. dypl. K. Rudnickiego i w godzinach wieczornych domaszerowuje z Kompanią na „Cavendish Track", do rejonu wyczekiwania „C" na wschodnich stokach wzg. Castellone. Tu pod dowództwem d-cy Kompanii Commando zostaje stworzone „Zgrupowanie Commando", zwane też „Zgrupowaniem majora Smrokowskiego, w skład którego wchodzi kompania Commando i szwadron szturmowy 15 Pułku Ułanów Poznańskich.

W ciągu nocy Zgrupowanie przechodzi na podstawę wyjściową i o godzinie 07.00 dnia 17 maja 1944, po przejściu 14. baonu piechoty, rusza do natarcia przez wzgórze Castellone w kierunku na płn. - wsch. skraj wzg. San Angelo. W silnym ogniu artylerii i moździerzy nieprzyjaciela Kompania ponosi duże straty i natarcie zostaje wstrzymane. Kompania obsadza rejon wzg. 706 i zach. stok Castellone. O godz. 13.00 na podstawie rozkazu d-cy natarcia Zgrupowanie zostaje przerzucone przez „Widmo" i naciera na S. Angelo, celem wzmocnienia 17. baonu piechoty i utrzymania wzg. S. Angelo. W ciągu dnia 17 i 18 maja Zgrupowanie utrzymuje płn. - zach. część wzgórza i stacza liczne walki z patrolami i przeciwuderzeniami niemieckimi, pozostając cały czas pod silnym ogniem moździerzy oraz broni maszynowej i ręcznej nieprzyjaciela. Dnia 19 maja Zgrupowanie wraz z oddziałami 5 K.D.P. bierze udział w ostatecznym oczyszczeniu rejonu S. Angelo, poczym zluzowane przechodzi w godzinach południowych na stoki wzg. Castellone, skąd szwadron 15 p. uł. odchodzi do oddziału macierzystego, a Kompania powraca do Inferno. Straty kompanii wyniosły w tej akcji 2 zabitych (ppor. Bachleda i kpr. Morenszyld) oraz 34 rannych.

W dniu 21 maja Kompania powraca do swej bazy w Capriatti, gdzie pozostaje do dnia 3 czerwca. W tym dniu przechodzi do Oratino w rejonie Campobasso.

CASTELLONE I WIDMO

...Przez łąki idzie dobry Pasterz
I nad człowieczą płacze biedą,
Ziemia oddycha. Pachną trawy.
Ból gołębica płynie z nieba...

(Seweryn Ehrlich)

Dziwny zbieg okoliczności. Strofkę tę znajduję w egzemplarzu „Orła Białego", który z pewną nieśmiałością wręczył mi jeden z korpuśnych łącznościowców, kiedy wyjeżdżaliśmy na podstawę wyjściową do natarcia — i porównuje z tym, co się wokół nas dzieje.

Leżymy na stoku wzgórza, bokiem zwróceni do szczytów, milczących obecnie, przyczajonych wyczekująco.

Z dołu zieje ogień artylerii; nieco wyżej — zda się nad naszymi głowami — co pewien czas odzywa się syrena, poczym trzy działa harmonijnym zgrzytem rozrywają ciszę nocy, i wsłuchuję się ponownie z pewnego rodzaju lubością w echa, rozbijające się w niewidocznych dalekich jarach i wnękach. Stok lewego wzgórza, spowity mrokami, wył przeraźliwie jazgotem sześcio-lufowych moździerzy niemieckich. W krzyżujący się różnymi głosami harmider wgryzał się terkot maszynowej broni stron obu, czasem pojedyńczy wystrzał lub strzały i następny skowyt przelatującego górą pocisku artyleryjskiego.

Kpt. Zajączkowski zapoznawał nas z elementami ruchu radio. Ktoś zapytał o ogólną sytuację. Mały palec prawej ręki wykreślał na mapie jakieś półkola, spirale, biegł linią w poprzek, zataczał małe krążki. Mogliśmy o tym wiedzieć, albo też nie znać wszystkiego... Cóż nam po tym ostatecznie?... Tworzyliśmy swym oddziałkiem awangardę, która ma określone zadanie do wykonania, a nie ugrupowuje się na całej linii... Zresztą było już na tyle ciemno, że mogliśmy odejść.

Wąż ludzi sunie wolno prawą stroną marnej, zniszczonej, górskiej drogi. Jest ciemno, ale jasna plama poprzednika zarysowuje się dosyć wyraźnie. Od czoła docierają rozkazy, podawane szeptem po linii. Dochodzimy do „Betonu". Pod dosyć wysoką

szkarpą prowizoryczne schrony, wzmocnione workami z piaskiem. Z góry osłaniają bierwiona, poprzetykane patykami, albo poprostu plandeka. Wątpliwą to daje gwarancję nawet przed odłamkami pocisku moździerzowego.

Czekamy chwilę; czoło kolumny znika w gardzieli kamienistego jaru, niemal prostopadle zda się wgryzionego w strome zbocze. Przypomina to wielką rozpadlinę, albo głębokie pęknięcie w jakiejś bryle geometrycznej, w którą zagłębiamy się powoli, stopniowo. Szwadron szturmowy ciągnie za nami. Gdzieś na wysokości któregoś ze stanowisk 3-calowych moździerzy meldują, że z trudem, ale jakoś dołączyli... Błogosławimy w myślach treningi commandosowskie, które tak bardzo w każdym wypadku się przydają.

Przejście ciasne. Idziemy gęsiego, często opierając się o występy skał. Wejście jakby wykute w kamieniu. Tu i tam nasze „bunkry", wokół których noszaki moździerzowe. Jest tak cicho chwilami, że nasze kroki wytwarzają jeno rytmiczny, posuwisty szmer; jakoś poważnie, nieledwie majestatycznie. Wysoka ściana z jednej strony rzuca głęboki na nas cień. Wąska „szpara" wije się na zmianę to w lewo, to w prawo, odchyla gardziel, lub przeciwnie — ukazuje za zakrętem ciasne przejście, przez jakie przeciekamy bardzo wolno, pojedyńczo.

Nie uczuwamy żadnego zmęczenia, a nawet przeciwnie; w pewnym miejscu, kiedy wejście uroz maiciło marsz wspinaczką — z przyjemnością, z uśpioną po ćwiczeniach górskich przyjemnością stawiało się stopę na skalnych wypukłościach , żeby wciągnąć się przy pomocy splecionego kabla, jaki umocował na tym odcinku któryś z pomysłowych taterników czasu wojny. Tempo bez zmian. Nad nami skrawek nieba, przetykanego gęsto gwiazdami.

Wokół cisza i noc. Przerwy bardzo krótkie; raczej, by skupić się, niż dla odpoczynku, dla nabrania większego haustu oddechu. I znów wleczemy się wyżej, czepiamy kamieni i korzeni — w tym samym porządku i spokoju.

Czas wlecze się na wzór nas.

Schodzimy w lewo. Kładziemy się na skraju młodego, dosyć gęstego lasu. Jest około godziny 2 po północy. Trudno się zorien-

łować, gdzie jesteśmy i czy już na podstawie wyjściowej. Ogarnia nas rodzaj znużenia, senność — powiedziałbym. Poprostu nie chce się wierzyć, żeśmy szli do tego miejsca prawie trzy godziny.

W lewo od nas bije artyleria niemiecka — na co nasi odpowiadają z dołu, z przeciwnego kierunku. Czasem zawyje sześciolufowy moździerz, albo terkotliwym zgrzytem odezwą się wraże c.k.m.-y, wstrzelane w najprzeróżniejsze przejścia i wąwozy. Oddalone echa nie przeszkadzały nam jednak we śnie.

Po trzeciej dźwigamy się z dotychczasowego leża. Jesteśmy w całości, nasi w przodzie, szwadron szturmowy na lewym skrzydle. Gałązki uderzają po twarzy, czepiają się drelichów i oporządzenia, jakby chciały powstrzymać nas w oryginalnej wędrówce. Szarość budzącego się poranka pozostawała tu jeszcze w cieniu — cichutka, kwiląca spłoszonym ptactwem.

Gdzieś wystrzelono rakietę. Jasne światło zawisło w górze, zapełgało, zatrzymało zda się na stropie. Przebudzony słowik zawodził trele. Z boku zaterkotał suchym, przeciągłym zgrzytem „Schmeisser", odgłosy strzałów rozłukły się echem po gąszczach. Padliśmy. Odnosiło się wrażenie, że mimo zachowanej ostrożności nie zdołaliśmy jego czujności wprowadzić w błąd. Terkot coraz częstszy, nerwowy nieco. Idziemy dalej. Ale krótkie serie odzywają się już z kilku punktów, już echo przynosi odgłosy dalszych strzałów. Na ścieżce, wyznaczonej świeżo białą taśmą, legliśmy pokotem. Między kamieniami jakieś porzucone plecaki, zrolowane płaszcze, jakiś samotny hełm i jeden spinacz.

Krótkie klaśnięcie. W górze syczy pocisk, bulgoce, świst wzrasta i silna eksplozja. Moździerze... znowu syk, pojęk i wybuch. I znowu... i oto dwa niemal jednocześnie... i dalsze... Strzelają bateriami. Nie są dobrze zorientowani, biją na kierunek, lecz najwidoczniej nie zrezygnują szybko, aby nas „wymacać"... i poszukają w paru miejscach.

— Hallo, Paweł 9 Adam... — terkocze w słuchawkach. — Meldunek: „Patrol sanitarny został w czasie domarszu..."

„Stary" robi nieokreślony ruch ramieniem.

— Zapytać dowódców, czy oddziały gotowe! — rzuca, twarzą zwrócony w stronę pokrytego krzewami i dużymi kamieniami zbocza.

Tak! Są gotowe!

— Hallo, Paweł 9 Adam... Meldunek: „U nas jeden ranny od pocisku. Zaopatrzony".

Zbyszek powtarza dowódcy plutonu. Jest 06.18 rano.

Chrapliwy klask, warkot, odszczepany kamień stacza się w trawę, coś stuknęło w mój hełm. Zbyszek uśmiecha się. Jeszcze patrzymy sobie w oczy, gdy padają rozkazy.

— Za trzy minuty zaczynać!

Krótkim zrywem opuszczamy dotychczasowe miejsce. Narazie poruszamy się nieco automatycznie, jakby unikając szachow-

nicy wybuchów. Ucho łowi bezwiednie poryki żelaza, bijącego gdzieś w cele przed nami, kilka padnięć i dalsze skoki.

— Przechodzę 14... — melduje szwadron.

— Na grzbiecie zatrzymać się! — rozkazuje „Stary". — Porucznik Cegielski w natarciu przesunie oddział bardziej w lewo.

Sylwety żołnierzy to wyłaniają się, to znikają, biegiem przebywając krótkie odcinki. Skurczone ramiona, do biodra mocno przywarta broń. Jakaś wzniosła powaga w tych ruchach i spokój. Jakaś uparta chęć dotrzymania kroku, lub wyprzedzenia, jakaś zawziętość i zamknięcie się w skoordynowanej uwadze... jakaś dążność do kulenia się oszukańczego w sobie, by stworzyć krótkotrwałe pozory... Już staczają się w dół, już przesłania ich gęstwa krzaków, już walą się w pobliżu białych plam kamieni. — „Bren" gdacze zajadle tuż u podstawy przeciwległego zbocza.

Przed nami wyniosłość względnie dogodna w podejściu, naga, odkryta, ryta pociskami artylerii i moździerzy. Z lewej strony zalesione zbocze, gdzie toczy się obecnie zażarta walka, z prawej wysoki, kamienisty szczyt, z kompleksu gór skośnie do nas położonego. Natarcie od pierwszej chwili stwarza pewnik uderzenia, któremu nikt i nic oprzeć się nie zdoła.

Idziemy za „Starym" jak cienie, niemal wstępując w ślady jego stóp. Radiostacje „grają" jak rzadko dotychczas. Rozkazy przechodzą szybko, szybko przybywają meldunki, ogólna sytuacja ukazuje się przejrzyście. Każdy ruch jest zapowiedziany.

Przesłonięci krzakami schodzimy po zboczu. Kanonada i strzelanina nie ustaje. Niemieckie moździerze usiłują „wymacać" naszą Kompanię. Przechodzimy zasieki z drutu kolczastego, zbiegamy niżej, kierując się na las.

Gwizd, huk, dym, syk rozpryskujących się odłamków i kamieni. Jest nas siedmiu — niemal obok siebie. Pociski padają niżej, wyżej, tuż obok nas, w górę wyskakują słupy ziemi, na stoku pojawiają się leje, niczym ropiejące rany. „Stary" klnie.

Jakiekolwiek ukrywanie się przy pozostawaniu w tym rejonie byłoby absurdem. Pociski walą bez przerwy w tym samym pasie.

Równocześnie napływają meldunki. Kompania poniosła straty, ppor. Bachleda poległ, jest wielu rannych; szwadron został zahamowany ogniem artylerii, z czego skorzystali Niemcy. Byliśmy wystawieni na żer baterii stron obu. „Stary" z trudem decyduje się na wycofanie do linii grzbietu góry. Kpt. Zalewski jest w sytuacja tak ciężkiej, że nie może zabrać rannych. Chwila niezdecydowania, poczym zdeterminowane pozostawanie przy swoim. Już ewakuują... Szwadron zajmuje stanowiska.

Oddziały są rozbite na grupy, celem uniknięcia strat. Pociski padają z różnych kierunków. Niemiecka artyleria wydłuża celownik. W powietrzu grudy ziemi i kamienie. Stąd nie ustąpimy...

...Inaczej jest, niż przed czterema miesiącami, akurat dziś upływającymi 17 styczeń i 17 maj... Garigliano i pasma wzgórz w rejonie Cassino... Stan kompanii był liczniejszy — obecnie przy swoim boku mamy szwadron szturmowy... i obecnie ta w nas różnica, że „odwalamy robotę piechoty".

Z boku terkotał „Schmeisser". Strzały wydawały się być tak bliskie, że lada chwila można się było nieledwie spodziewać wybuchu ręcznego granatu. Bernard, który przejął radiostację od rannego Heńka, nie potrafi nic powiedzieć o ukrytym gdzieś „snajperze". Drugi plutonu ubezpiecza nas od strony lasu. Są meldunki: „Nierozpoznany w sile nieprzyjaciel na wysokości lewego skrzydła". Prawie równocześnie z tym... huraganowy ogień artylerii.

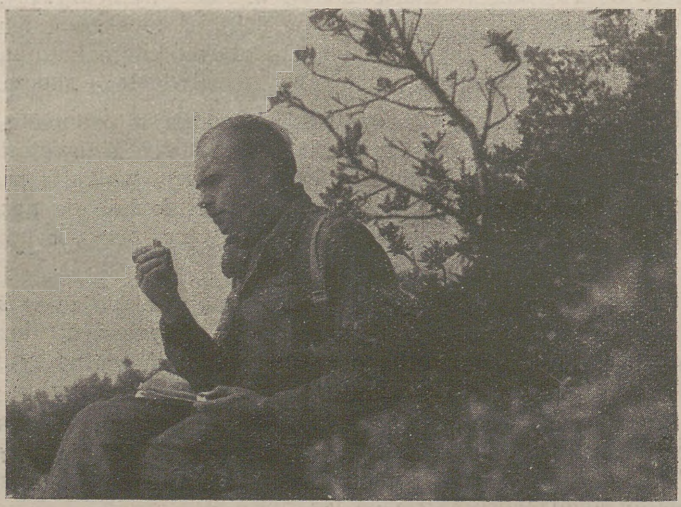

„Stary" siedzi chmurny. Nie odzywa się do nikogo. Ale my zdajemy sobie doskonale sprawę, o czym myśli obecnie.

Upał dnia stawał się już dokuczliwy. Słońce prażyło od rana, ale koło południa z nieba zdawały się spływać potoki żaru. Sie-

dzieliśmy w rodzaju stanowiska, wysoko obłożonego kamieniami, które nie stwarzały ani pół metra cienia. Pot spływał po twarzy, choć siedzieliśmy w bezruchu, a drelich ciążył nieznośnie.

— Korzystna dla nas okazja. Samoloty sprzymierzonych zniszczyły około 30 stanowisk moździerzy nieprzyjaciela — dowódca szwadronu szturmowego por. Cegielski mówi to z lekką swadą.

„Stary" przeciąga kości. Szum motorów zdaje się potwierdzać słowa młodego oficera — ale oto świst w górze, niby bezsilna wściekłość i zgrzyt rozpaczy, i żelazo taranem zwaliło się na skały. Wąwóz rozdzwonił się echem strzałów. Gdzieś za szczytami gdakały „pelotki".

Kiedy TO nastąpi? Kiedy poderwie nas rozkaz?

Patrzy jeden na drugiego i zdaje się w twarzy jego szukać odpowiedzi. Lecz twarze są znużone, o zastygłym wyrazie... Nieprzespana noc, atak, upał i ten nieustanny łoskot wybuchów, trwający od ranka... Wszyscy czekają.

Przychodzą rozkazy. Mamy wesprzeć batalion majora Baczkowskiego, który resztką ludzi utrzymuje stok Colle San Angelo, gdzie niemieckie oddziały spadochronowe po silnym przeciwnatarciu ponownie opanowały szczyt. Schodzimy w dół. Przesłaniają nas krzaki, nieco niżej zaś młody, rzadki las.

Wątpliwe bezpieczeństwo, ale zdołaliśmy ujść ich uwadze. Kładą zaporę ogniową, lecz przebywamy ją bez trudności. Najwidoczniej są już w to miejsce wstrzelani — wymownie świadczą o tym leje i gruszkowatego kształtu wgłębienia, często bardzo blisko siebie. Idziemy rojem, bez zbytniego pośpiechu. Przed nami naga, odkryta przestrzeń, rażąco szara i kamienista, przeraźli-

wie jasna i spokojna, okolona kompleksem gór. Z naszej prawej „Widmo", na które dostajemy się skokami. Gdzieś ze szczytu sypnęły serie z broni maszynowej, na które natychmiast odpowie-

dzieliśmy... mała pomyłka... to nasi. Szczęśliwie obeszło się bez ofiar.

Mijamy rozbite doszczętnie stanowiska. Z gruzów sterczą karabiny, wokół walają się mundury, maski przeciwgazowe, chlebaki, skrzynki z amunicją. W nozdrza uderza straszny smród rozkładających się, gnijących w skwarze ciał poległych. Za krzakiem, skulony, z tommy-gunem jeszcze w skurczem wykrzywionych rękach, siedzący żołnierz z któregoś z poprzednich natarć. W tej pozycji zastała go śmierć i w tej pozycji pozostał... Twarzy nie poznać. Bieleje odkryta szczęka, hełm zapadł na ramiona, mundur przykrywa resztki istnienia kogoś... Dalej niemiecka manierka, „baniak" pogięty, parciana taśma Spandaua... Z pod szczątków zapewne zdobytego bunkra tysiące much zrywa się do krzękliwego lotu, ukazując zdumionym oczom makabryczny obraz. Sześć trupów żołnierzy, zbitych w trwożną grupkę... Byli zaskoczeni... Czas przesunął klepsydrę. Ohydny smród — a jednak istnieje świadomość, że to byli ludzie, że od nich nikt nie odwracał przedtem z takim wstrętem głowy.

Koszmar sprofanowany nawet po śmierci towarzyszy nam na dosyć długim odcinku, szczerzy zęby ubóstwem istnienia, patrzy oczodołem — gdzie muchy znalazły pożywkę...

Pociski artylerii niemieckiej zdają się nas ścigać. Zbocze „Widma" rzygnęło tumanem rozbitej ziemi. Dopadamy jakiegoś stanowiska zakamuflowanego suchymi gałęziami i workami z piaskiem. Skoki i pierwsi już zbiegają w dół...

Przed nami stok San Angelo, niezakrzewiony, o dosyć stromym wejściu. Długie serie Spandau'ów walą nas między kamienie. Na zboczu dwa „bunkry", ziejące ogniem. Z za szczytu „Widma" klask i rosnące w locie syki pocisków moździerzowych.

Żelazo spada na dolinę, którą naciera nasza Kompania. Z drugiej strony głazu, przy którym przycupnąłem, dochodzi jęk rannego ułana. Z jaru wychyla się ranny ppor. L. Oblicze zastygłe w świadomości, która nic nie mówi... nie przychyla nawet głowy, gdy pociski przelatują coraz częściej, idzie na zbocze „Widma", gdzie biała taśma znaczy trasę do punktów opatrunkowych...

Ktoś znów o pomoc prosi. Ktoś anonsuje, że jakiś kapitan z Baonu Piechoty leżał od rana w wąwozie, ktoś prosi, by pozostawić go w bezwładnej pozycji... Dwie mapy zatknięte na patyki, zastępują flagę Czerwonego Krzyża — są jakby transparentem Cierpienia i Ofiary...

Jakże inaczej dźwięczą słowa poety: „Ból gołębica płynie z nieba..." Dźwięczą jak szyderstwo, gdy wokół ból ludzi, ból istnienia i myśli... — ból obracający się w ciasnej orbicie czasu.

JERZYCZ

DWIE SKAŁY

Nawpół siedzę, nawpół klęczę w dziwacznej pozycji, przytulony do szorstkiej skały. Koło głowy słyszę gwizd i coś z trzaskiem uderza w ścianę skalną, a potem rozsypuje się poniżej z dziwnym grzechotem — to kamień strącony z góry roztrzaska się na szereg mniejszych odłamków i teraz mąci hen w dole spokojną toń jeziorka Llyn-Gau. Mimowoli prowadzę wzrokiem za spadającymi głazami i dopiero biała taśma drogi Portmadoc — Caernarvon przerywa wędrówkę oczu.

W górze Adam poprzez przewieszkę wychodzi na szczytową płaśń, za nim Staszek dzwoni wyciągniętymi ze skały hakami. Fredek zwija niepotrzebną już teraz linę. Za innymi wyczołguje się na szczyt i kładąc się na płaskim odłamie skały, wypoczywam. W górze, na wyjątkowo pogodnym walijskim niebie żeglują białe obłoczki, przesłaniając chwilami słońce. Jest tak spokojnie, że nie chciałoby się właściwie myśleć o niczym i tylko leżeć w bezruchu czas długi.

— Panie poruczniku — przerywa głos jakiś — może by można już zejść? „Hole in the Wall" właśnie otwarło i trzeba się napić piwa.

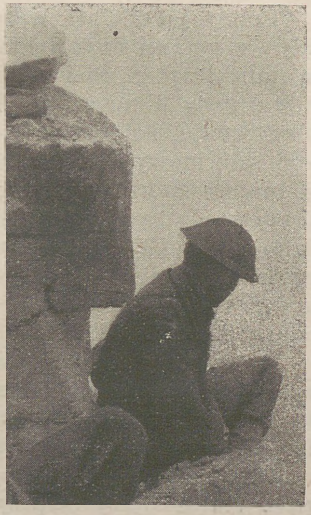

Znów w dziwnej jakiejś pozycji przytulam się do skały. Koło mej głowy słyszę ostre, krótkie uderzenia o kamień. To seria c.k.m.-u z przeciwległego wzgórza Passo Corno rozłupuje skałę. Jeden z rekoszetów świecąc opada dużym łukiem w dół. Przeprowadzam go wzrokiem i gdzieś w dali oko moje spoczywa nagle na białej taśmie szosy Cassino — Rzym.

Wyczołguję się nieco wyżej i leżąc na twardym głazie, patrzę na leniwie przesuwające się obłoczki na zawsze pogodnym, włoskim błękicie nieba. I mimowoli przypominam sobie tamten moment: też była twarda skała, też był bezruch i patrzenie w błękit niba i takie same białe chmurki przesłaniały słońce. Tylko... że Staszek został tak daleko pod śniegiem w Pescopennataro... że Fredek w pobliżu złotego gaju pomarańczowego nad Garigliano... że Adam wczoraj dopiero...

— Panie kapitanie — wyrywa mnie z zamyślenia głos jakiś — proszę zejść do nas. Jest jeszcze parę kropel wody w manierce, koniecznie trzeba się napić...

(MACIEJ DRZEWICA)

ZE WSPOMNIEŃ POZNAŃSKIEGO UŁANA

Zima, gdzieś nad rzeką Sangro, Pułk Ułanów Poznańskich zajmował odcinek obronny. Tego rodzaju akcja nie odpowiadała żołnierzom. Szkoleni na nowoczesnym sprzęcie, marzyli o walce podjazdowej. Marzenia te ziściły się. Choć spieszeni, ruszyli ułani szukać Niemców w ich własnych bunkrach za rzeką. Że działali dobrze, tego dowodzą cztery Krzyże Walecznych, którymi Dowódca Korpusu udekorował ułanów.

Zbliżała się wiosna. Komunikaty wojenne mówiły tylko o pojedynkach artylerii. Ale wśród wojska chodziły pogłoski o nowej ofensywie alianckiej.

Pewnego dnia pułk ruszył na nowe m. p. Domyślaliśmy się, że będziemy walczyć o Monte Cassino. Twierdzę, której nie zmogły waleczne oddziały hinduskie, nowozelandzkie, angielskie, amerykańskie i francuskie.

Pułk zajął odcinek ważny, wzgórze Castellone. Na ułanów sypały się pociski niemieckie rozmaitego kalibru do 1.500 dziennie. Są ranni i zabici. Pierwszy ginie na polu chwały por. Kokosiński. Chęć zemsty tłumi uczucie żalu.

17 maja, na rozkaz Dowódcy Korpusu, pułk wydziela szwadron szturmowy pod dowództwem por. Cegielskiego, do dyspozycji majora Smrokowskiego, dowódcy polskich komandosów. Całe zgrupowanie tworzy tzw. „odwód Korpusu do zadań specjalnych. Zadanie: wejść w akcję wtedy, kiedy na nacierające bataliony wyjdzie przeciwuderzenie nieprzyjaciela, a kiedy piechota zalegnie pod ogniem artylerii, przejść przez nią, poderwać i wysunąć się na czoło.

Od godziny 11 w nocy do 4 rano nasza grupa szła na podstawę wyjściową przez bardzo trudne dojście po skalistym ścieku. Oprócz nóg pracowały i ręce, by się wyciągnąć pod górę. Na podstawie wyjściowej ostrzeliwały nas moździerze i broń maszynowa. Nad ranem piechota przed nami rusza do natarcia. Ogień artylerii i moździerzy nieprzyjacielskich wzrasta. Major Smrokowski postanawia, po zorientowaniu się w sytuacji, natrzeć na St. Angelo, by ułatwić natarcie piechocie, przechodzącej już brawurowo przez wzgórze „Widmo". Mimo ciężkiego ognia artylerii niemieckiej, grupa śmiało idzie naprzód. Niestety, natężenie ognia nie słabnie. Są zabici i ranni. Pada porucznik Bachleda z Commandosów, z 15. pułku ułan Szczurek. Zaczynają gwizdać kule c.k.m.-ów. Mając 25 zabitych i rannych, grupa wychodzi z ognia. Major Smrokowski zarządza natychmiastową ewakuację rannych i zabitych.

Mimo tak dużych strat duch walki nie gaśnie. Nieprzyjaciel jednak nie daje chwili wytchnienia. Jego artyleria znów zaczyna

nas ostrzeliwać. W pewnym momencie pada pocisk na moją osłonę. Wychodzę cało, choć lekki krwotok i ogłuszenie unieruchamia mnie na dłuższą chwilę.

Po godzinie grupa jest uporządkowana i podejmuje dalej swoje zadanie dojścia do pillboxów na San Angelo i zlikwidowania ich. Jestem kontuzjowany po raz drugi i muszę odejść na punkt opatrunkowy.

Dalsze szczegóły o akcji naszej grupy podaję na podstawie opowiadań pozostałych towarzyszów broni.

W czasie zbliżania się do pierwszej fałdy na zboczu, ogień broni maszynowej zadał znów ciężkie straty. Niemieckie n.k.m.-y z dalszych pozycji ostrzeliwują podchodzących z bezprzykładną od wagą pod ziejące ogniem pillboxy niemieckie, commandosów i ułanów. Zapada noc. Dotkliwy chłód i pragnienie dręczą zmordowanych 24-godzinną walką żołnierzy. Łączność przerwana. Rano padły pierwsze bunkry. Mimo gwałtownego ognia naszej artylerii, nieprzyjaciel ogniem broni maszynowej stara się powstrzymać nasz ruch do przodu. Po południu przychodzą posiłki na nasz odcinek. Nasza artyleria kładzie na przeklęte bunkry skoncentrowane ognie.

W ciągu dnia znów zrzedły szeregi poczarpanej grupy. Z odwodu nadchodzi noc. Wyparci przez artylerię Niemcy opuszczają najwyższe bunkry. Po oczyszczeniu wzgórza, po 54 godzinach walki grupa odchodzi do odwodu.

ZYGMUNT WACHULKA

WRACAMY DO INFERNO

Po kilku słowach pożegnania, wypowiedzianych przez „Starego", rozchodzimy się w swoje strony. Walka stoczona razem, pod wspólnym dowództwem, trzy dni przetrwane na skalistym stoku San Angelo, nawiązały nową przyjaźń i nowe braterstwo broni. Ułani Poznańscy idą krętą ścieżką wśród krzaków szukać m. p. swego pułku — my, wzdłuż białej taśmy, znaczącej przejścei przez pola minowe, schodzimy w dół w stronę Cavendish-Track'u. Potykamy się o głazy i korzenie kolczastych krzewów. Tommy-gun zaczyna ciążyć straszliwie, nogi trudno oderwać od ziemi, spieczony język przysechł do podniebienia.

Kurz, zmieszany z potem, zlepia grubą warstwą niegolony od dawna zarost na twarzy. Teraz, gdy minęła już emocja walki i bezpośrednia bliskość nieprzyjaciela — poczyna wychodzić zmęczenie. Kilka dni prawie zupełnie bez jedzenia i wody odbija się na organiźmie. Skwar włoskiego maja zlewa żar słoneczny na wypalone i zorane pociskami kamieniste zbocze. Ogarniam wzrokiem gromadkę i nagle w odwykłym od myślenia, zmęczonym upałem i wyczerpaniem umyśle przerażająco zjawia się pytanie: — „Dlaczego nas jest tylko dwudziestu? Przecież w tamtą stronę szła cała Kompania". I dopiero powoli w komórkach mózgu zaczynają się odtwarzać fragmenty zdarzeń tak niedawnych, a zdaje się, że już o wieczność całą od nas odległych.

...potworny ogień artylerii wśród sterczących w niebo, strzaskanych kikutów drzew, gdy zaskoczeniem chieliśmy wejść na S. Angelo od północy ...kamienne schrony na grzbiecie, wiodącym od Castellone, gdzie chowaliśmy się przed ogniem moździerzy i odgryzali niemieckim patrolom ...natarcie z Widma na San Angelo w grzmiącym ogniu „Schmeisser'ów" i „Spandau'ów", walących w nas ze wszystkich bunkrów na wzgórzu ...próby wielokrotne zdobycia szczytowego bunkru ...polowanie na patrole niemieckie schodzące w stronę Villa Lucia ...walki w bunkrach na stoku ...morderczy ogień z c.k.m.-ów z Passo Corno na nieosłonięty bok naszej pozycji ...noce bezsenne z oczyma zbolałymi od ciągłego wypatrywania najlżejszego bodajże ruchu na odległej zaledwie o kilkanaście metrów od nas nieprzyjacielskiej pozycji ...i wreszcie to najgorsze ...ogień własnych oddziałów na zbocze, na którym trwaliśmy tak długo... „bo przecież myśleliśmy, że tam już nikogo z nich nie zostało"....

Trakt Cavendish wije się stromo w dół. Gorący podmuch przenosi od Widma i od Gardzieli mdły, słodki odór rozkładających się w upale setek poległych ciał. Ostrożnie w dół zsuwają się „jeepy", przepełnione rannymi.

Jesteśmy na dole. Skrzyżowanie dwóch polnych dróg bieleje szarym pyłem na tle dziwnej czerwieni. To łany maków kwitną dokoła i zasłaniają swą barwą nawet soczystą zieleń łąki. Przecież tak niedawno dopiero mówił o tych makach Adaś... i już nie ma go z nami. I o czym to jeszcze opowiadał?... aha... o tych mułach, rozszarpanych pociskami. Rzeczywiście, fetor nieznośny bije od licznych trupów zwierząt, zalegających skrzyżowanie.

Nadjeżdża kilka „jeepów", które mają nas zabrać.

— Gdzie są te linoskoczki? — pyta dowódca wozów żandarma, regulującego ruch.

Ładujemy się po kilku na wóz i pędem jedziemy w stronę wąwozu Inferno. „Doliną Śmierci" między wioską Cairo i wylotem wąwozu poganiają nas wybuchy pocisków artylerii, strzelającej gdzieś z rejonu Terelle. Tak, zupełnie inne uczucie mamy, wjeżdżając teraz w czeluść Inferno, niż przed kilku dniami. Wtedy przed nami było jeszcze „wielkie nieznane" — dziś już po wszystkim i nawet radość z dobrze spełnionego zadania zabita jest zmęczeniem. Dojeżdżamy do naszej prowizorycznej bazy. — W bocznej odnodze jaru wykopane ziemianki i schrony są magazynem, kuchnią i mieszkaniem.

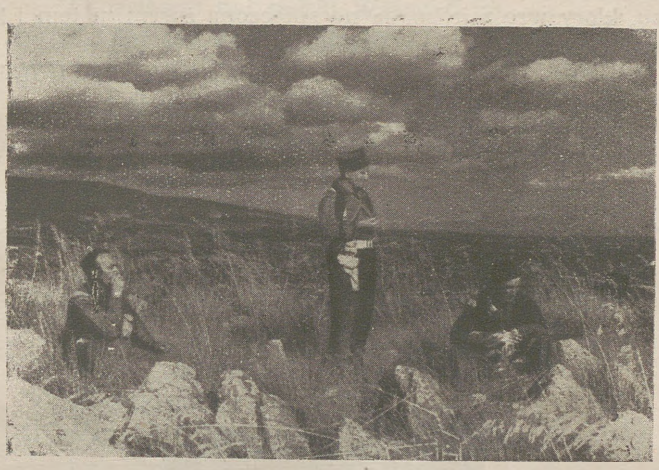

Naprzeciw nas wybiega mała grupka tych, którzy dbali o nasze zaopatrzenie w żywność i amunicję. Ściągają z nas oporządzenie, podają jakieś skrzynki, by można było wygodnie usiąść.— Zjawia się gorąca herbata, rum i po chwili wspaniała kolacja. Ten i ów przynosi ciepłą wodę, mydło, ręczniki... Dbają o nas, jak o małe dzieci. Porucznik M. podobno, gdy się dowiedział, że schodzimy z linii, całe przedpołudnie własnoręcznie skrobał ziemniaki, by zdążyć ugotować ich odpowiednią ilość na czas. Mimowoli dziwne uczucie nas ogarnia — ta więź commandosowa naszej kompanii, zadzierżgnięta i scementowana jeszcze gdzieś daleko w Fairbourne czy Achnacarry, nie po raz pierwszy zdaje egzamin. Każdy z nas, czy to przyszło mu walczyć, czy pozostać gdzieś w tyle, czujemy się jedną całością z wszystkimi — i jeśli kto był w akcji i jest teraz zmęczony, to pozostali poczuwają się do tego, by mu po powrocie dać wszystko i zapewnić największe w danych warunkach wygody. Tak było, gdy wracaliśmy z długich, górskich patroli w Capracotta, czy Pescopennataro. Tak było, gdy śnieg zasypał drogi i gdy muły, niosące przydział „NAAFI" dla

całej Kompanii, nie mogły przejść, Boguś przez dzień cały ciągnął na własnych barkach potężny ciężar, by tylko Kompania miała czekoladę, papierosy i rum. Tak było w ostatniej akcji, gdy nocą przez ostrzeliwane stale artylerią góry, nadludzkim prawie wysiłkem usiłowano dostarczyć nam żywność pod samą pozycję niemiecką, pod którą zaległiśmy. Tak jest i teraz: jesteśmy zadowoleni i syci dzięki wysiłkom kolegów, którzy na nas czekali.

Zabieram graty i idę do schronu, w którym przed wyjściem do akcji spałem z Jurkiem. Teraz jestem w nim sam. Poniżej świecą pustkami ziemianki, skąd jeszcze tak zdaje się niedawno dolatywały wesołe głosy Adama, Kazia i tylu innych.

Owijam się w koc i zmęczony nie czuję nawet, jak pomiędzy gałęziami brzeziny poczynają z szelestem zsuwać się krople deszczu, który wreszcie spada na spieczoną żarem, potem i krwią ziemię.

(MACIEJ DRZEWICA)

Jan Łukasz Pągowski

List do polskiego Commandosa

Maciejowi Drzewicy

Piszę list dzisiaj do Ciebie
Stary przyjacielu, Commando!
Piszę stąd, z tyłów dalekich,
Drzemiących w mgiełkach porannych,
Gdzie tylko sznur ambulansów,
Jadących gdzieś do szpitala,
Patrzącym każe przypomnieć,

Że tam się wojna przewala.
Dzień był wrześniowy, trzydziesty
Gdym raz ostatni w tej wojnie
Słyszał niemiecki karabin...
Potem wciąż było spokojnie...
Przeszliśmy Francję, Szkocję,
Rozpełzła się nasza brygada...
(Został tam hejnał krakowski,
Deszcz ciągle tak samo pada...)
Zostały wspomnienia uniesień,
Które tak samo zniknęły.
Początkiem był polski Wrzesień —
To już tak dawno minęło...

Tyś poszedł w Walijskie góry,
Widziałeś Angielski Kanał
I los Cię rzucił na wojnę,
A mój po prostu — przystanął...
Dni przeszło wiele powszednich,
Minęły niedziele i święta:
Raz uśmiech spotkałem serdeczny
I więcej nic nie pamiętam...
Wiem, takie miasto jest w Polsce,
Gotyckie, całe z granitu,
Muzyką siklaw szumiące,
Śniegiem błyszczące na szczytach,
Gdzie wiosną kwitną krokusy,
Gdzie płoną na halach wiatry.
Kochasz, wiem dobrze, to miasto,
Miasto bez ludzi — Tatry!

Wiesz, takie miasto jest w Polsce,
Miasto polskiego baroku,
Między wzgórzami drzemiące
Z Wilią błękitną u boku,
Gdzie sady się wiosną kwiecą
Jak śnieg; gdzie dźwięczy Wilejka
Po głazach jakby tą samą,
A ciągle nową piosenką,
Gdzie cudne są stare zaułki,
Gdzie ludzie są tak przymilni.
Kocham, wiesz dobrze, to miasto,
Miasto najmilsze — Wilno!

Wiesz dobrze, Commando drogi
Że piórem nie wygra wojny,
Że kulą trzeba poprosić,
By wróg chciał usnąć spokojnie.
Wiedzą to dobrze ci wszyscy,
Co szli na Monte Cassino,
Wiedzą to lepiej ode mnie,
Wiedzą, jak krew umie płynąć...

Polała się w Wilnie krew polska
Od Wschodu i od Zachodu.
Więc kiedy idziesz do akcji,
Pamiętaj, nie zrób zawodu:
Poproś swój pluton serdecznie,
Poprzyj to swoim rozkazem,
Żeby za Wilno strzelali
Do Niemców — za wszystkich razem
Za krew co w Wilnie spłynęła
Czerwoną Wilią aż w Niemen!
Twe miasto wiecznie stać będzie!
Mojego pewnie już nie ma...

Więc żeby wspomnienie wykuć,
Wspomnienie o mieście miłym,
Niech ci co winni są zbrodni
We wspólne się kładą mogiły;
Niech wiedzą, że karzesz za Wilno!
A echo niech leci po Ural,
Niech nad Tamizą się ściele,
A ścichnie w Skalistych Górach...
W niebo bijące zaś z Kraju
Najbliższych naszych modlitwy,
Niech kule i echo pomnożą,
Niech szczęście Ci dadzą w bitwie!

List kończę. Proszę na wszystko,
Zrób tak, mój miły Commando!...
Taką mi wypisz odpowiedź
Na list ten z tyłów, z mgieł rannych.

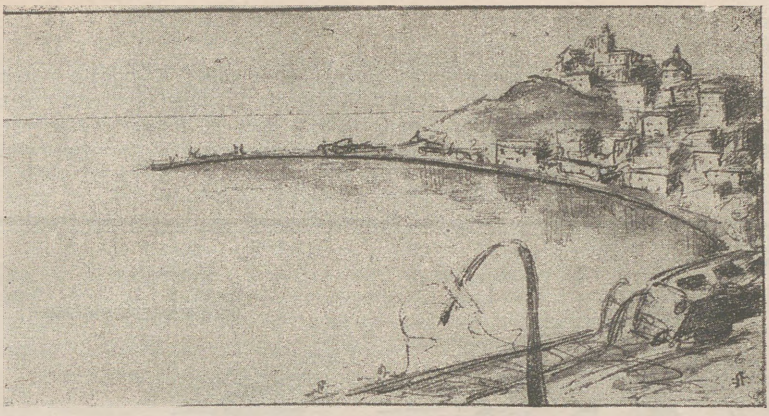

ANCONA

Z DZIENNIKA BOJOWEGO

Rozkazem dowódcy 2. Korpusu zostaje w dniu 3 czerwca przydzielona do Commandosów 111. Kompania Ochrony Mostów. Żołnierzami tej kompanii byli młodzi ochotnicy Włosi, przeważnie studenci i akademicy, którzy chcieli walczyć przeciwko Niemcom w szeregach Polskiego Korpusu. Dowódca i kadra instruktorska składała się z Polaków, oficerów i podoficerów 3 D.S.K. W ten sposób zostało stworzone nowe Zgrupowanie Commando pod dowództwem mjr. Smrokowskiego, składające się z Pierwszej Samodzielnej Kompanii Commando i 111. Kompanii Ochrony Mostów, która przyjęła nieoficjalną nazwę 2. Kompanii Commando. Włosi pod kierownictwem instruktorów - commandosów przechodzą intensywne wyszkolenie commandosowe. Element młody i pełen zapału doskonale wywiązuje się ze wszystkich ćwiczeń.

W dniu 21 czerwca Zgrupowanie zostaje przerzucone z Oratino na odcinek Adriatycki, początkowo do Monte Pagano, potem w dniu 30 czerwca do Porto S. Giorgio, zaś 4 lipca do Monte Lupone. Tutaj Zgromadzenie otrzymuje przydział taktyczny do 2. Brygady Pancernej i w dniu 5 lipca przechodzi do Castelfidardo.

W dniu 8 lipca d-ca Korpusu przydziela zgrupowanie pod rozkazy d-cy 3. Dywizji Strzelców Karpackich i w tymże dniu przechodzi ono na odcinek Karpackiego Pułku Ułanów, obejmując część jego od Villa Virginia do mostu pod Numana.

Dnia 9 lipca Kompania włoska nacierа i opanowuje wzg. Monte Freddo i wzgórza 119 i 107, tracąc 2 zabitych i 3 rannych.

W dniach 10 i 11 lipca stała styczność ogniowa z nieprzyjacielem. Wieczorem 11 lipca 1. pluton Kompanii Commando otrzymuje od d-cy 3. D.S.K. rozkaz wykonania głębokiego wypadu na tyły nieprzyjaciela i wzięcia jeńca. Wypad przeprowadza pluton, przechodząc poza liniami nieprzyjacielskimi na lewe skrzydło odcinka w rej. wzg. La Montagnola i zaskakując placówkę, przyczym 4 Niemców zostaje zabitych, a 1 w stopniu sierżanta dostaje

się do niewoli. Straty własne: 1 zabity (strz. Klimczak). Od 12 — 15 lipca działalność patroli.

W dniu 15 lipca zgrupowanie zostaje podzielone: Kompania Włoska pozostaje na dotychczasowym odcinku, Kompania Commando przechodzi na lewe skrzydło odcinka Korpusu, pod rozkazy d-cy 2. Brygady Pancernej. Dzień 16 lipca pozostawiony jest na rozpracowanie zadania i przygotowanie

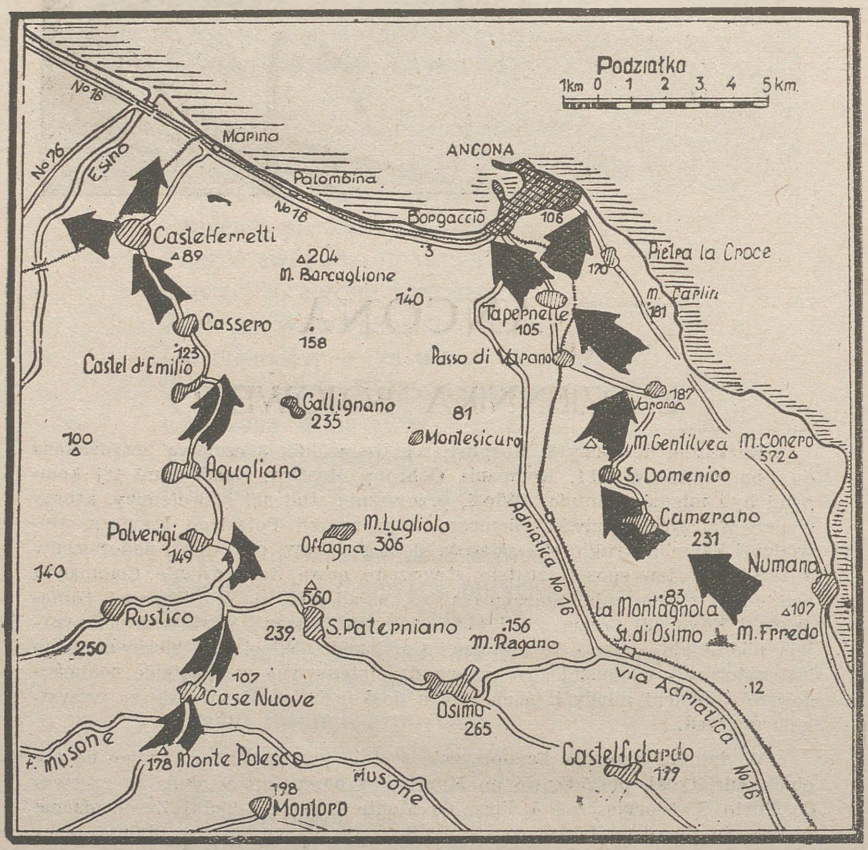

do akcji. 17 lipca Commandosi biorą udział w natarciu 2. Brygady Pancernej, jako oddział wsparcia 1 p. uł. Krechowieckich. O godz. 17.20 Kompania wraz z 2. szwadronem 1. p. uł. forsuje rzekę Mussone i jako lewe skrzydło natarcia w b. ciężkiej walce opanowuje m. Case Nuove. W ciągu całego dnia Kompania, pozostając pod silnym ogniem artylerii i moździerzy nieprzyjaciela, utrzymuje zajęty przedmiot i ubezpiecza z lewego skrzydła, które dzięki zatrzymaniu natarcia lewego sąsiada (dywizja Włoska) jest całkowicie odsłonięte. W nocy, pozostawiając 2. pluton jako placówkę w m. Case Nuove, Kompania przechodzi w rej. M. Torto, celem ubezpieczenia postoju czołgów.

Nazajutrz, 18 lipca, Kompania przesuwa się po osi Croce S. Vinzenzo— Agugliana — Cassero w pościgu za nieprzyjacielem, korzystając z podwo-

żenia na czołgach, jako środka przewozowego. O godz. 16.00 Kompania naciera na miasteczko Castelferretti, opanowuje miejscowość i lotnisko i rozpoznaje przeprawy na rzece Esino. Wieczorem zostaje zluzowana przez oddziały 16. Baonu piechoty i przechodzi do odwodu pułku.

Straty Kompanii w dniach 17 i 18 lipca wyniosły 8 zabitych (ppor. Palach, pchor. Bartosiewicz, kpr. Brauliński, kpr. Rowiński, kpr. Kaliwoszka, st. strz. Uchmanowicz, strz. Pawlukowski i strz. Fiedorczuk) i 9 rannych. Wzięto 56 jeńców, wiele sprzętu i broni. Liczni zabici Niemcy pozostali na polu walki.

Kompania Włoska pozostawała do dnia 18 lipca na odcinku w rej. Numana. W dniu tym wraz z Karpackim Pułkiem Ułanów naciera przez Camerano na Anconę i jako pierwsza wkracza do tego miasta o godz. 14.15, wyprzedzając prawie o godzinę czołowe elementy Pułku Ułanów, które ze względu na zniszczone mosty i drogi musiały wstrzymać swój pochód.

W dniu 21 lipca obie kompanie przechodzą do odwodu Korpusu i zostają zakwaterowane w Numana. Dnia 24 lipca całość Kompanii bierze udział w Święcie 1. Pułku Ułanów Krechowieckich, na którym byli obecni Naczelny Wódz gen. K. Sosnkowski i D-ca 2. Korpusu gen. Anders.

Dnia 25 lipca w Numana dokonuje przeglądu Kompanii Naczelny Wódz w towarzystwie gen. Andersa i wygłasza do żołnierzy krótkie przemówienie, podkreślając zasługi i czyny bojowe oddziału. Między innymi mówi:

„Straty wasze w zabitych i rannych wyniosły ponad trzy czwarte stanu oddziału. Nie załamać się, nie stracić ducha, zachować ciągłą chęć walki przy tak dużych stratach może tylko żołnierz najwyższej klasy...

„Widziałem was wczoraj w gronie żołnierzy świetnego pułku Ułanów Krechowieckich i widziałem, jaką sympatią i uznaniem cieszyliście się. Bo dobry żołnierz zawsze pozna dobrego żołnierza i nawiąże z nim nić przyjaźni..."

Następnie Naczelny Wódz oznajmił, że postanowił rozwinąć Kompanię do pełnego, 5-kompanijnego Commando i że w związku z tym Kompania w najbliższym czasie odejdzie w rejon Bazy 2. Korpusu, celem reorganizacji i szkolenia nowych stanów.

Po przemówieniu Naczelny Wódz pozostaje ponad godzinę w gronie żołnierzy Kompanii, podejmowany przez nich lampką wina, rozmawiając i gwarząc o przeżyciach bojowych oddziału i poruszając wspomnienia z okresu pobytu Kompanii w W. Brytanii.

W dniu 31 lipca Naczelny Wódz dekoruje dowódcę 1. Samodzielnej Kompanii Commando mjr. Smrokowskiego Złotym Krzyżem Orderu Virtuti Militari kl. IV i nadaje 5 pośmiertnych odznaczeń Virtuti Militari kl. V.

Dnia 3 sierpnia 1944 Kompania odjeżdża w rejon Bazy 2. Korpusu.

111 KOMPANIA OCHRONY MOSTÓW

Na kilka tygodni przed akcją na Anconę, pod rozkazy Dowódcy 1. Samodzielnej Kompanii Commando zostaje oddana 111. Kompania Ochrony Mostów. Nazwa nowoprzydzielonego oddziału nasuwa mimowoli pytanie, czy to nie pomyłka?... Ochrona mostów, a więc siedzenie gdzieś na tyłach i pełnienie zwykłej służby wartowniczej. Nie! Tego jeszcze w historii Commandosów nie było i napewno nie chodzi tutaj o przewekslowanie nas na charakter służby, jaki miała początkowo pełnić zapewne 111. Kompania. Jest odwrotnie: my ich mamy przekształcić w Commandosów.

Oczywiście, ze względu na warunki, „Stojedenasta" przeszła tylko częściowo konieczne wyszkolenie Commandosów. Samorzutnie jednak kompania nazwała się 2. Kompanią Commando i żołnierze jej się zwykle tą nazwą posługiwali.

Zołnierze z pod znaku Syreny, Swierka, czy Zubra bardzo często, widząc tak samo ubranego jak oni żołnierza z orzełkiem i „Polandami", a mówiącego po włosku „wyjątkowo dobrze", podejrzliwie nań patrzyli nasłuchując, a co gorliwsi meldowali sekcji bezpieczeństwa. Zołnierze polscy nie znali początkowo pochodzenia żołnierzy 111. Kompanii Ochrony Mostów.

Była to Kompania, składająca się z ochotników Włochów, ze studentów, rolników, rzemieślników, urzędników i byłych żołnierzy zawodowych o dużej rozpiętości inteligencji, ale niemal równych wiekiem. Byli to ludzie młodzi, od 18 do dwudziestu

kilku lat, którzy z rozmaitych względów chcieli walczyć przeciw Niemcom przy boku Polaków. Kadra była od dowódcy Kompanii do drużynowego wyłącznie polska.

Wespół z Kompanią „Commando", Włosi wchodzą dnia 8 lipca na pododcinek Numana, obsadzony wówczas przez Karpacki Pułk Ułanów, wzmacniając jego załogę. Dwa plutony przejmują obronę rejonu Villa Virginia, jeden zaś odchodzi do trzymania mostu u wejścia do Numany. Niezniszczony most nie dawał Niemcom spokoju. Każdej niemal nocy wysyłali patrole, nadziewające się początkowo na ogień ułanów, a potem żołnierzy włoskich.

Pierwszej nocy na odcinku dowódca Kompanii por. Kępa, jego podoficerowie i pełni zapału Włosi nie zmrużyli oka przez całą noc, oceniając jasno, że zostały im powierzone dwa najżywotniejsze punkty obrony pododcinka.

Dziewiątego lipca rano „Stary" z trzcinką w ręce, nie mając nawet pistoletu przy sobie, przychodzi do swoich „przybranych dzieci włoskich" i z miejsca decyduje o przesunięciu obrony wprzód. Siedzenie na przeciwstoku dawało nieprzyjacielowi zbyt dużą przewagę. Ruszając z jednym plutonem, powiada do dowódcy Kompanii:

— Chodźmy na ten pagórek! Trzeba zobaczyć, co tam jest naprawdę...

Ręką wskazał na chatynkę i łany kukurydzy, uzupełniając w ten sposób rozkaz do natarcia. Nie określił rodzaju działania: wypad, czy patrol; cel jednak był jasny i zrozumiały dla tych, którzy z nim szli. Chodziło o wzięcie Monte Freddo. Zrozumiał to w mig artylerzysta por. L. . . Ledwie gromadka ruszyła, podążyli za nimi artylerzyści, uginający się pod ciężarem przyrządów pomiarowych i sprzętu łączności. Oficera obserwacyjnego poniósł temperament. Zostawił swych pomagierów i z karabinem w ręku wmieszał się w najbardziej wysuniętych.

Mając inne od nich zadanie, obserwowałem wchodzącą na Monte Freddo gromadkę. Mijają jedną chałupę. Przechodzą obok kukurydzy. Pochyleni skradają się przez podwórze. Cisza źle wróży...

Wtem... strzał!

Nie słyszałem rozkazów, jakie padły z ust dowódców, widziałem natomiast u jednego z Włochów odruch nagłego opadnięcia gowy na piersi, innego padającego na ziemię, kilku wbiegających do winogronowego gąszczu. Rąbiąc z pod pachy z elkaemu i tommyganów, Włosi podbiegają do miejsca, skąd padają świetlne pociski. Tuż pod chałupką inna grupa zatrzymuje się na ułamek sekundy, wszyscy, jak na komendę, przechylają się w tył. W moment potem cztery wybuchy granatów rzuconych w dom i jednego rzuconego z tamtej strony wyjaśniają, co się tam stało.

Szczekanie „Schmeisserów" pomieszało się w ogólnym, nagłe powstałym chaosie z ujadaniem tommiganów, serie „Span-

dau'ów" krzyżują się z ogniem naszych brenów. Niemieccy strzelcy wyborowi ze względu na bliską odległość oddają zaledwie po jednym strzale i podnoszą ręce do góry.

Podchorąży Wierzbicki w zapale walki nie widzi, że ktoś rzuca granat do dołu, gdzie siedzą Niemcy. Strzelając w biegu wpada im na kark. Głucha detonacja i razem z nimi zostaje we wspólnej mogile.

Jazgot broni maszynowej, wybuchy granatów i gwizdy kul milkną powoli. Znowu zalega cisza. Zdobywcy Monte Freddo umacniają się w terenie.

Niemcy, mimo dużych strat, usiłują po południu odebrać utracony obiekt. Nie udaje im się. Ponoszą dalsze straty. W zażartej walce ginie kpr. Gino Capodosto, który w czasie działań 1. Samodzielnej Kompanii Commando nad Sangro służył jej jako przewodnik.

Meldunki poszły do dowódcy odcinka. Włosi jeszcze umacniali się na Monte Freddo, kiedy przyjechał gen. Duch, dowódca 3. D.S.K., w towarzystwie dowódcy Karpackiego Pułku Ułanów,

mjr. Zakrzewskiego. Zadowolony z przebiegu akcji generał uśmiecha się do znajomych twarzy Commandosów, zdając się coś ważyć w myślach.

— Pamiętacie — mówi wreszcie — jak żegnając was w Cupar, powiedziałem, że się jeszcze spotkamy...

Mjr. Zakrzewski wypytuje o szczegóły walki.

Tak „2. Kompania Commando" rozpoczęła swą pracę bojową.

Przez 10 dni Włosi, razem z Commandosami, przy doskonałej współpracy z dywizjonem artylerii z 3. Karpackiego P.A.L., nie dają Niemcom spokoju.

Kompania Commando robi „cichą robotę" w nocy. Włosi dzień w dzień głębokimi i śmiałymi wypadami szczerbią szeregi niemieckie.

W działaniach na tym odcinku na szczególną uwagę zasługuje artyleria. Patrole nasze, idąc na wypad, miały zawsze przy

sobie artylerzystę, który tak długo rozciągał kabel telefoniczny, póki to leżało w granicach jego możliwości.

Raz szedł z-ca d-cy dyonu, innym razem młody podchorąży, raz „rąbali" ile wlezie, przesłaniając odwrót patroli, lub kładli „SOS", innym znów razem dwoma lub trzema pociskami (sygnalizacja umówiona) dawali znaki, że np. niebezpieczeństwo i muszą się wycofać, bądź to zwrócić uwagę na stronę, gdzie padały pociski.

Naturalnie — ogień nękający podrywał morale żołnierza niemieckiego, a co najważniejsze, wprowadzał go w błąd, jeśli chodzi o pamiętne ugrupowania sił polskich przed akcją na Anconę.

W nocy z 15 na 16 lipca Sam. Komp. Commando odchodzi z prawego odcinka 2. Korpusu na lewy, tzn. tam, skąd później wyszedł właściwy manewr na Anconę.

Włoska kompania z z-cą d-cy Zgrupowania pozostaje przy Karpackim Pułku. Po walce na lewym skrzydle odcinka, w dniu 17.III.1944 r. pęka obrona niemiecka. W nocy z 17 na 18.VII rusza Karpacki Pułk Ułanów do pościgu. Kompania Włoska, jako straż przednia Pułku, plus jeden samochód z saperami, idzie na kierunek, ustalony rozkazem operacyjnym. W m. Camerano o świcie dopędzają Kompanię na samochodach kawalerzyści. Chwilowe zatrzymanie się dla zasięgnięcia języka i ułani wysuwają się na czoło. Krótko to trwa, ponieważ zniszczony na rzece most wstrzymuje dalszy manewr. Kompania idzie pieszo, ale przeszkoda, powstała niespodziewanie przed kawalerzystami, pozwala jej minąć ich. Słońce i rozmokły teren dają nam mocno w skórę. Po paru kilometrach jesteśmy tak zmęczeni, że musimy zatrzymać się, zarazem czekając na samochody, które niestety nie mogą przedostać się na naszą stronę.

Około godz. 10.00, razem z czołowym plutonem samochodów pancernych, przeprawia się przez rzekę Naczelny Wódz, gen. Sosnkowski, który w dniu tym chciał wszystkiemu naocznie się przyjrzeć.

Krótka odprawa d-ców i całość w dalszym ciągu kontynuuje pościg. Tym razem ubezpieczenie czołowe przejmują ułani.

Jesteśmy naprawdę zadowoleni, że w samochodach odpoczniemy po 15 km forsownego marszu... Radość nasza trwa krótko, bo Pułk znowu utyka, tym razem w rejonie cmentarza, niemal tuż przed Anconą. Do Kompanii Włoskiej zostaje przydzielony pluton samochodów pancernych. Jako d-ca straży przedniej, mam zadanie zepchnięcie npla z rejonu i z samego cmentarza, pozostającego tam w sile 20 ludzi z dwoma działkami p-panc. (Jak później rozpoznanie wykazało, cmentarz nie był broniony, wobec czego nakazany teren oraz przyległa wioska były wzięte bez walki).

Natomiast w innym miejscu Włoska Kompania tuż przed wejściem do Ancony, po krótkiej walce bierze około 40 jeńców, razem z d-cą kompanii i kompanijną kancelarią.

Dzięki umiejętnemu oskrzydleniu zlikwidowano grupę, która mogła zadać poważne straty Pułkowi, uderzając w jego odsłonięty bok. W dalszym ciągu, jako straż przednia, Kompania Włoska wkracza do Ancony dnia 18 lipca o godz. 14.25.

Walka o miasto miała charakter oczyszczający, pozostały bowiem w mieście tylko patrole saperskie, celem wykonania ostatnich zniszczeń.

Po krótkiej walce Kompania przechodzi przez stację kolejową i wydostaje się na zachodni skraj miasta.

Wgodzinę później Karpacki Pułk Ułanów jest witany kwiatami przez miejscową ludność, a ulica, przez którą wkroczyła straż przednia, w okresie późniejszym nosi miano „Ulicy Karpackiego Pułku Ułanów".

Podziwiałem kadrę i młodych chłopców, jak zlani potem szli od zadania do zadania. Znając „wojowniczego ducha" Włochów, prawdopodobnie Czytelnik będzie przyjmował z cieniem powątpiewania wyczyny III. Kompanii Ochrony Mostów.

Trudno mi w tej chwili określić i wyliczyć wszystkie czynniki, które wpłynęły na to, że Kompania Włoska tak świetnie wywiązała się z powierzonych jej zadań.

Twierdzę, że jednym z nich bezwątpienia była kadra polska z d-cą Kompanii, por. K., który zawsze świecąc przykładem odwagi i poświęcenia, prowadził Włochów do walki.

W dniu 21.VII.44 r. Kompania przechodzi razem ze skrwawioną mocno pod Casa Nuova, Sam. Komp. Commando, na kilkudniowy odpoczynek do Numana. Tu rozchodzą się nasze drogi.

Oddani pod rozkazy Pułku Ułanów 3. D.S.K. — wstępują do akcji na „Linii Gotów", nie rezygnując ze „zdobytej" nazwy „2. Kompanii Commando".

STEFAN ZALEWSKI

MONTAGNOLA

„W nocy z 11.VII na 12.VII jeden pluton z kompanii „bławatków" wykona wypad w rejonie wzgórza Montagnola, współrzędne 645354, z zadaniem uchwycenia jeńca i zdobycia żołnierskich dokumentów osobistych."

Rozkaz krótki. Wiemy, o co chodzi, czego od nas wymagają. Czeka nas wypad kilkukilometrowy na tyły niemieckie. Po krótkiej odprawie pluton rozchodzi się. Obgadujemy teraz zadanie między sobą i wszyscy stwierdzają, że jakoś to będzie.

Powoli zapada mrok. Zbiórka plutonu, ostatnie rozkazy i jeep nas przewozi po kilku do Villa Virginia. W zameczku palimy ostatnie papierosy i około godz. 22 ruszamy. „Stary" jeszcze idzie z nami kawałek, życzy nam powodzenia i wraca. W chwilę później mijamy ostatnie własne czujki.

Na czoło plutonu wysuwa się mały patrol: Konrad, Rudek i ja. Suniemy cicho, jak cienie, krok za krokiem, powoli, nasłuchując. Za nami porucznik i reszta plutonu. Teren jest ciężki, bo choć prawie płaski, jednak gęsto pokryły łanami kukurydzy. Żywopłoty i ciemne kontury zabudowań nie wiadomo co kryją. Cisza panuje na odcinku. Gdzieniegdzie szczeknie „Spandau", lub „Schmeisser", wiązka świetlnych pocisków sypnie się w tym, czy innym kierunku, czasem rakieta oświetli przedpole. Pociski artylerii niemieckiej przelatują nam wysoko nad głowami i z hukiem lądują daleko w głębi naszych pozycji.

Idziemy już prawie półtorej godziny i nic... Niemców nie ma. Przecież jednak muszą tu być... Linia w tym miejscu powinna być silnie obsadzona. Zapewniają nas o tym odgłosy strzałów z tyłu i z boków. Porucznik rozkazuje przyśpieszyć marsz, bo gdy księżyc wzejdzie, trudniej się będzie posuwać. Dochodzimy do stoku naszego wzgórza. Znów kukurydza. Ostrożnie rozchylając łodygi, prześlizgujemy się przez nią. Wychodzimy na pole prawie puste, na którym miejscami tylko sterczą snopy zżętego zboża. I znów kukurydza...

Konrad i Rudek prawie już do niej dochodzą. Ja idę o kilka kroków w lewo i z tyłu, a za nami porucznik i Zbyszek. Pluton zostaje trochę dalej. Nagle Rudek przykucnął do ziemi. Konrad klęczy, przez chwilę nasłuchuje i pada. Ja odwracam głowę w lewo i natychmiast padam.

Z lewej strony, od farmy, przesuwają się dwa cienie o jakieś dziesięć metrów od nas. Jeszcze chwila, a znikną w kukurydzy. Zatrzymują się. Jeden pada, drugi podbiega do drzewa, gdzie zatrzymuje się ponownie i czeka. Chwila ciszy. Cienie powoli wstają, wchodzą w kukurydzę. Trzeszczą pod butami deptane liście, szeleszczą rozchylone łodygi. Zauważyli nas?... Porucznik i ja, korzystając z szelestu, podciągamy do Konrada. Z głębi łanu dochodzi nagle nieludzki wrzask. Czy kogoś duszą, czy ktoś nożem oberwał?... Nasza czwórka leży obok siebie, głowami w zaroślach i nasłuchuje. Słychać szmer i jakieś szepty:

— Haus, siehst du etwas?

— Nichts, aber ich hoere...

Szczęk ładowanej broni.

— Strzelamy? — pyta Konrad.

Porucznik nic nie odpowiada. Wstrzymują oddech, obawiam się, że głośne bicie serca zdradzi mnie. Na tle gwiaździstego nieba wyraźnie zarysowują się sylwetki klęczących. Ktoś się podnosi. Porucznik się podnosi, za nim Konrad, Rudek, Zbyszek i ja. Lufy tommygun'ów złowrogo kierują się w kierunku, skąd dochodzi szept. O granacie

szkoda marzyć. Za blisko — dwa kroki zaledwie... Na „Haende hoch!" może się nie udać, a nie mamy ochrony... Ognia!

Równocześnie z trzech tommygun'ów padają mordercze serie. Jazgot strzałów, świst kul, oślepiający błysk, głuche padanie ciał na ziemię, i... „Haende hoch!"

Wpadamy na stanowiska. Konrad wyciąga z dołu dowódcę placówki, sierżanta, który trzęsie się cały. Obok niego leży jeden zabity. Porucznik już z niego ściąga bluzę. Leży kilku ciężko rannych, którym Zbyszek i ja odbieramy dokumenty. Proszą o pomoc. Niestety, nie ma na to czasu.

Jeszcze jeden leży.

— Sciągaj z niego bluzę... — woła porucznik.

Podchodzę i klękam. Ladownice angielskie, hełm na głowie. Rudek... Zdejmuję mu hełm, rozpinam bluzę, przykładam ucho do piersi, ale serce już nie bije. Spokojny i cichy był zawsze, i tak samo zginął bez słowa i jęku.

Reszta plutonu ubezpiecza akcję. Trzeba się teraz szybko wycofać, a przynajmniej odskoczyć od miejsca walki. Porucznik daje rozkaz do wymarszu. Edek, bierze ciało Rudka na plecy i idzie powoli. Teraz dopiero czujemy się zmęczeni. Ale trzeba przecież wrócić, tak, jak tutaj przyszliśmy.

Księżyc wyszedł z boku, oświetla pochylone postacie maszerujących, broń gotową do strzału i oczy, które by chciały wszystko widzieć. Perlisty pot spływa z czoła.

Dochodzimy do jakiejś farmy, którą przeszukujemy. Wyciągamy chłopa ze stajni, każemy prowadzić się najkrótszą drogą do Villa Virginia. W pół godziny później mijamy pierwsze nasze placówki.

Pada hasło i pluton przechodzi niezatrzymany...

JERZY GREK

CASE NUOVE

Godzina „Zero" zbliżała się. Ciężka artyleria grzmiała bez przerwy. Ogień huraganowy, który miał trwać 10 minut, nie słabł jednak i po upływie wyznaczonego czasu. Przeciągłym echem rozbrzmiewały jary i wąwozy po każdej detonacji. W ryku strzałów i wybuchów trzeba się było często uciekać do krzyku, by się usłyszeć.

Plutony wysuwały się kolejno na podstawę wyjściową do natarcia. Ppor. Staszek Pałach z włoską „berettą" gotową do strzału, osobiście doglądał szyku marszu i rzucał dorywcze rozkazy.

Czołgi poszły już do natarcia. Wybuchy pocisków artyleryjskich mieszały się z ochrypłym, garnkowatym uderzeniem granatów, moździerzy i terkotem karabinów maszynowych. Dominował jednak nad tym wszystkim szum motorów. Broń maszynowa nieprzerwaną serią siekła długie zagony kukurydzy.

Zeszliśmy jeszcze bardziej w dół. Zbiegliśmy po trawie wzdłuż krzewów, by jak najszybciej przeskoczyć płytką w tym miejscu rzekę Mussone. W lewo od nas sterczą resztki wysadzonego w powietrze betonowego mostu. Z rejonu domków w prawo nasze moździerze biją na oddalone punkty. Przed nami polny trakt. Po obu stronach wysoka, gęsta kukurydza.

— Tędy — jakiś saper wskazuje nam wąskie koryto, które szybko przeskakujemy.

— Grupa tommy-gunów ubezpieczyć z prawej! Druga drużyna wysunąć się!

Spotykamy „Starego" z grupą dowodzenia. Szybka, krótka wymiana zdań. Zagłębiamy się między zagony kukurydzy. — W przodzie kłęby kurzu i silne detonacje. To artyleria niemiecka kładzie zaporę.

Stach jest nad podziw opanowany. Pada, powstaje, biegnie, głośno wykrzykując rozkazy. Wchodzimy w zasięg ognia stojącego opodal Shermana. Baterie niemieckie ostrzeliwują przedpola Case Nuove, niewielkiej wioski, której domy częściowo leżą w gruzach. Szwadrony pancerne tam szczególnie kierują ogień swoich dział. Karabiny maszynowe mają przydusić wysunięte niemieckie gniazda oporu, które następnie oczyści piechota. To jest właśnie nasze zadanie. Wiążąc piechotę niemiecką, mamy obejść skrzydłem, niszcząc grożącą czołgom broń przeciwpancerną. Z poje-

dynczymi gniazdami, które wykorzystując gęstwę kukurydzy pozostaną w szczelinach wykopanych głęboko w ziemi stanowisk, pójdzie łatwiej. Szybka nad wyraz decyzja i orientacja miały tutaj odegrać bardzo poważną rolę. Natknąć się na odległość skoku na lufę „Spandau'a", równałoby się samobójstwu. Każdy z nas o tym wiedział i przez baczną obserwację współpracował z dowódcą.

— Ostrzelać kukurydzę na wszelki wypadek — pada rozkaz.

Krótka seria i przerwa. Pod niewielkim wałem, tak dobrze nam znane hełmy stalowego koloru.

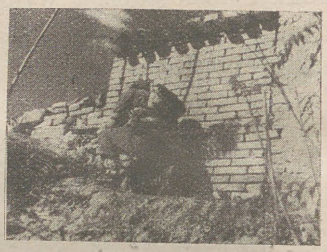

— Haende hoch!

Znowu seria. Lewoskrzydłowi zatrzymują się. Strzały z „hipu". Lufy tommy'gunów zwrócone w kierunku stanowisk. Cztery pary rąk wznoszą się ku górze, wychylają się głowy, piersi. We wzroku przestrach i bezmyślność. Patrzą na nas, jakby spodziewali się tego, co wmawiała w nich stale propaganda.

— Boże... Polacy... Jakiż jestem szczęśliwy...

Ma około 30 lat. Uśmiecha się jakoś smutno, ale czuje się pewnie. Drugi jest Niemcem, pozostali dwaj, to Norwegowie. Nie mówią nic. Biernie poddają się rewizji. Idziemy dalej. Kilka strzałów, padamy. Wymiana ognia.

— Haende hoch!

Porucznik trzyma palec na języku spustowym. Grudki ziemi wyskakują tuż przed naszymi stopami. Ogień z tamtej strony przycichł. Tommy-gunniści pojedyńczymi strzałami trzymają załogę gniazda przy ziemi.

— Uwaga! Rzucam granat!

Nie zdążyliśmy zachować środków ostrożności. Jęk zduszony, słabnący... i cisza. Niemcy zdecydowali się poddać. Było ich pięciu. W wąskiej, głębokiej szczelinie zostaje trup zabitego granatem.

Porucznik wydaje rozkaz posuwania się dalej w tym samym ugrupowaniu. Po chwili ogień hamuje nas na miejscu. Zaterkotały „Spandau'y" i „Schmeisser'y" z kilku naraz stron. Nie pada żaden z nas.

— Lewi zaatakować! Antek! do przodu! — porucznik nie traci zimnej krwi.

Kpr. Brauliński podnosi lufę tommy-guna. Parę strzałów i cisza. Na twarzy Konrada maluje się przestrach i osłupienie. Cofa się. Wyrywa magazynek. Szarpie za rączkę. Zacięcie. „Spandau" zgrzytnął serią. Z lewej przed nami wtóruje mu drugi. I jeszcze inny, z tyłu, tym razem z prawej.

Jesteśmy w potrzasku. Zaślepieni pędem, nieprowokowani strzałami, nie zauważyliśmy fanatycznej załogi gniazda. Sytuacja jest groźna. Odkryci, na otwartym polu jesteśmy wystawieni na pastwę ich celnych strzałów.

— Związać ogniem! Reszta marsz na zagon!

Stach wyciągnął rękę i już szykuje się do skoku. „Spandau" zagrał przeciągle.

— Ranni! Sanitariusz!

Plutonowy Nudelman wykonywuje jakiś ruch zdrowym ramieniem. Chwila naprężonej ciszy. Ktoś biegnie przez pole, by go opatrzeć. Pociski sypią się jak grad. Ostry świst nad głowami.

Na to odszczekuje nasza broń maszynowa. Nie ma czasu na myślenie. Jest poprostu reakcja na rzeczy podejrzane. Walimy się w płytką bruzdę.

— Zostawić go! Założyć prowizoryczny! Stuarty zabiorą...

— Rękę ma odstrzeloną... — dobiega od przodu.

— Konrad zabity... — słychać krzyk.

— Związać, mówię, ogniem... i na nich! — Stach wychyla się.

Seria świsnęła jak smagnięcie biczem. Stach chyli się wolno ku ziemi.

— Opatrzcie... O Jezus!...

Podsuwam się. Grad pocisków ryje ziemię tuż przed naszą bruzdą.

— Sierżant Gorajski! — krzyczę — objąć dowództwo!

— Tak... Gorajski... — dowódca — dobiega mnie cichy szept.

Usiłuję wciągnąć go za nogi. Leży niemal na skraju rowu. Jest ciężki. Ładownice zaparły się mocno w ziemię.

— Nie trzeba! — mówi celowniczy r.k.m-u. — Siny już.

Gorajski jest z lewej. Ogień z prawej i z tyłu trzyma nas w szachu w dalszym ciągu.

— Jurek! — wrzeszczę do st. strz. Kotasa—związać r.k.m.-em dziada.

Chłopak jest bardzo odważny. Rów, a właściwie bruzda jest tak wąska, że trudno się w niej poruszyć, a on wychyla się niemal do połowy. Czuję swąd spalonego prochu. Zamek szczęka metalicznie, zajadle, ale i tamci odpowiadają ogniem.

Pod snopami zżętego zboża siedzi st. strz. Czarnik. Mundur na piersiach i rękaw ma okrwawiony. Jest spokojny i zobojętniaki, ale rozumiemy, jak jest nas mało, jakie ponieśliśmy straty.

— Amunicja! — ryczy przeraźliwie Jurek. — Pietrek, cholero! Gdzieś wlazł?!

Rzygnął długą serią w zarośla, otarł pot z czoła i przyłożył stopkę Brena do ramienia. Dzieli mnie od niego trup porucznika, za mną leży z radiostacją Leopold i Zbyszek Glanowski. Magazynki podrzucamy sobie niezdarnie, nagłymi ruchami. „Spandau" sieje po nas od czasu do czasu tak, że głowy unieść nie można.

— Przedstawić sytuację — mówi spokojnie Gorajski. — Czekam na rozkazy.

Leopold powtarza. Jurek cały czas „używa". Serie świszczą w gęstwinie, lufa kieruje się nieznacznie w lewo.

— Przesunąć się! — mówi radiotelegrafista — są w domku na lewo od nas.

— Za tę kukurydzę... pojedyńczo... skokami!

Dobiegliśmy do kukurydzy Po chwilowej przerwie na następnej miedzy biegiemy dalej. Pociski artyleryjskie biją gdzieś niedaleko. Rozfurkotane odłamki wyją w gałęziach drzew. Od dowódcy Kompanii biegnie goniec, by nas ściągnąć. W tym samym tempie jeszcze raz przeskakujemy rów. Biegniemy rzędem, pochyleni za gońcem. Nad głowami przeraźliwy szum przelatujących pocisków artyleryjskich.

Odpoczywamy pod rozłożystą gruszą i zapalamy papierosy. Drelich mokry od potu. Owocami gasimy pragnienie.

— Wzdłuż tych drzewek... — słyszę głos „Starego", dającego dyrektywy sierżantowi. — Za trzy minuty ruszać!

Obecny dowódca plutonu szybko reorganizuje oddziałek. Ruszamy.

Artyleria niemiecka bije bez przerwy. Złowrogi świst, rosnący wprost z każdą sekundą, zmusza nas do krycia się. Nie przerywało to jednak naszego natarcia. Niemcy strzelali pociskami

kruszącymi i na rozprysk. Odłamki żelaza przelatywały nad nami, klaskały uderzając w drzewa lub ziemię, gęsto zrytą i rytą w dalszym ciągu, warczały rekoszetami. Przeciągłe serie z naszej strony, skok, padamy, biegniemy dalej.

Bren usadowił się za snopami zżętego zboża. Reszta dopadła jakichkolwiek zasłon, zajmuje stanowiska, dysząc ze zmęczenia i wściekłości. Pierwsze zabudowania Case Nuove w odległości kilku kroków przed nami. Wzrok wszystkich wlepiony w każdy załom, okno, każdą kupę kamieni, zarośla, w kupy gnoju nawet. Atak jest śmiały, lecz przy wspaniałej współpracy. Obserwacja na boki, ubezpieczenie z tyłu. W międzyczasie grupa tommygunistów opanowuje dom. Huk wybuchającego granatu, kilka strzałów. Mietek Kolankowski daje znaki, że już nie ma nikogo.

Przez drogę uciekał chyłkiem Niemiec. Inni widzieli wycofującą się z kukurydzy grupkę. Zajmujemy dom drugi... trzeci... Leopold przekazuje meldunek.

Artyleria niemiecka ostrzeliwuje zabudowania. W nawpół rozwalonej stajni jest „Stary" i dowódca kompanii z pocztem. Sierż. Gorajski powtarza meldunek ustnie. Kpt. Czyński stoi zamyślony. Przed domem zmieszane głosy. Wchodzi ppor. Rzemieniecki.

— Panie kapitanie — melduję —mam pięciu zabitych i trzech rannych. Pluton został na stanowiskach na skraju wioski. Sam dostałem postrzał...

— Dobrze...

Twarz porucznika jest mokra od potu, brudna, włosy zmierzwione, pozlepiane na skroniach.

— Dobrze „Żaba"... — powtarza kpt. Czyński i patrzy ciepło, przyjacielsko w oczy dowódcy drugiego plutonu.

(*JERZYCZ*).

CHWILA CISZY

Rzeka Mussone jest podobna do Swidra, czy Liwca. Nad brzegami rosną olszyny i trzciny, nurt zaś wije się dość leniwie po szerokim korycie wśród piaszczystych ławic. Wszystko wyglądałoby sielsko i przedwojennie, gdyby nie to, że kilka drzew jest ściętych przez armatnie pociski, a na ławicach widać leje po artyleryjskim ogniu. Może zresztą ktoś wyleciał na minach... Trudno mi to z brodu osądzic, z bliska sprawdzić zaś też jest trudno, bo przejazd przez rzekę jest wytyczony białymi taśmami. Swiadczy to, że na drzemiących w słońcu wydmach i łączkach mogą być jakieś, pozostawione na razie w spokoju — miny.

Tak twierdzi zresztą mój przyjaciel, kapitan – commandos, z którym dość bezradnie tkwimy na łaziku na środku nurtu, bo nam się przy szybkim przejeździe motor nieco „zalał". Maciuś klnie, bo wiezie prowiant dla Kompanii, a tu nikt z pomocą nie nadjeżdża, nam się zas w wodę włazić nie chce.

Ostatecznie jakieś uprzejme pancerniaki przyszły nam w sukurs. Jedziemy. Zaraz za rzeką mijamy wieś, precyzyjnie porozbijaną przez moździerze, piaty i artylerię.

— To Case Nuove! — powiada kpt. Maciuś. — Wczoraj zdobywaliśmy tę wieś razem z Krechowieckimi ułanami. Szwaby dały nam mocno w skórę, ale my im znacznie lepiej. Mieliśmy tu

największe dotychczas straty śmiertelne. Większe, niż nad Gargliano, czy pod Cassino. Zginął między innymi ppor. Pałach, Brauliński, ten, wiesz, z Wilna, który miał duże zdolności literackie, i Rowiński, z twojego pułku w Szkocji... Aleśmy wieś wzięli i Niemców przepędzili!

Droga skręca pod górę. Na łączce opodal widać trzy rozbite, niemieckie czołgi. Ogląda je kilku polskich pancerniaków. Przed nami roztacza się też szeroki widok na pagórkowaty krajobraz z miasteczkami na szczytach wzgórz. W jednym z nich się coś się dopala.

—To Polverigi! — powiada Maciuś, zerknąwszy na mapę. — A tam dalej jest Agugliano. Właśnie tamtędy miała iść Kompania naprzód.

Na skrzyżowaniu zatrzymuje nas żandarm z regulacji ruchu. Jakaś bateria zmienia stanowisko. Inna stoi ładnie ukryta za zboczem i wali gdzieś za horyzont, a pociski z wyciem przelatują nad naszymi głowami. Po kilkunastu minutach ruszamy i pędzimy naprzód, zostawiając wiszącą w powietrzu smugę białego dymu. Po chwili doganiamy kolumnę czołgów. Kurzą jeszcze więcej, niż my. Droga jest wąska i nie możemy ich minąć. Najwięcej narzeka na to Zygmuś, motocyklista Maciusia, który wlecze się za nami i wygląda jak młynarz. My pewnie wyglądamy też nie lepiej.

Przy pomocy łazikowej wolty żerki udaje nam się ostatecznie jedną kolumnę czołgów wyminąć. W obłokach kurzu drogi przejeżdżamy przez Agugliano, witani oklaskami, kwiatami, tudzież butelkami wina, które demonstruje licznie zgromadzona przy drodze ludność. W jakiejś następnej wiosce, przy wymijaniu czołgu, lądujemy w płytkim, na szczęście, rowie. Rozentuzjazmowana ludność podnosi łazik, nas w nim, i stawia na drodze. Hieronim, kierowca Macieja, siedzący z tyłu, dla pewności czule tuli do siebie puszki z konserwami. Ostatecznie, po kilkunastu dalszych akrobacjach, połączonych z objazdami zaminowanych odcinków drogi, widzimy siedzących pod drzewami commandosów. Obok nich stoją krechowieckie czołgi i poznańskie samochody pancerne. Pod drzewami w sadzie obok siedzą oficerowie Commando i ułani. Maciej melduje przybycie z obiadem dla Kompanii i przywiezienie mnie swemu dowódcy, majorowi Smrokowskiemu.

— Jakto? — powiada ten ze zdumieniem. — Przecież on jest w Kairze!

— Widocznie nie jest, jeżeli stoi koło mego łazika — odpowiada filozoficznie Maciuś.

Podchodzę i melduję swoje przybycie... z wizytą, usprawiedliwiając dziwną porę tym, że Kompanii zawsze składałem wizyty w nieprzewidzianych okolicznościach. Władek „Wódz" wita się serdecznie ze mną, ja zaś z kolei ze stojącym obok kpt. Andrzejem Czyńskim i „dokiem", Bolkiem Świtalskim. Po czym jestem przedstawiony siedzącemu obok dowódcy Krechowieckich,

ppłk. Zaorskiemu i mjr. Adamowi Bielińskiemu z Ułanów Poznańskich. Stary znajomy ze Szkocji nie poznaje mnie w pierwszej chwili pod warstwą kurzu. Tę wymianę grzeczności przerywa rozkaz do dalszej akcji. Krótka odprawa i commandosi znikają, pozostawiając zgrzytającego zębami ze złości Maciusia, który ma zorganizować nocleg i ściągnąć rzut tyłowy, zamiast wojować. Dzięki ułańskiej gościnności wcinamy kawał cielątka, które, jak twierdzi Adam Bieliński, gwałtownie a skutecznie domagało się wcielenia do pułku, po czym rozpoczynamy działalność organizacyjno – kwaterunkową. Maciej pertraktuje stanowczym tonem z Włochami z sąsiednich ferm. Entuzjazm ich znacznie zmalał, kiedy się okazuje, że chcemy na fermach zamieszkać. Facety boją się ostrzelania przez Niemców, którzy tu zresztą byli kilka godzin temu. Podczas maciejowych dyskusji z za krzaków obserwuję dolinę. Jest gęsto pokryta sadami. Widać dachy Castelferetti, na które poszło natarcie, ale więcej nic. Słychać natomiast kanonadę rozmaitego kalibru. W pewnej chwili w kierunku morza widać ogromny słup dymu, a potem słychać potężną detonację. Pewnie poszły w powietrze mosty na rzece Esino.

— Chyba Ancona wzięta! — mówi Maciej. — Inaczej nie wysadzaliby mostów na głównej szosie, którą wieją...

Kiedy odjeżdżamy łazikiem po rzut tyłowy, słychać, jak Niemcy ostrzeliwują wzgórza, panujące nad doliną Esino. Właśnie tam przed chwilą bobrowaliśmy.

Było już ciemno, kiedy wróciliśmy z kuchnią. Mrok rozjaśniały gwiazdy i błyski wybuchów artylerii, prowadzącej nocne rozhowory. Siedzimy na fermie, zamieniając lakoniczne uwagi, i czekamy na wieści z Kompanii. Szef, który tu siedział cały czas, powiada, że niemiecka artyleria macała zupełnie regularnie. Koło jedenastej zjawia się „Wódz". Jest zmęczony i głodny, a zatem zły. Pojadając przyjętą od commandosów gąskę, mówi, że strat nie ma, że gdyby nie noc, doszedłby do morza, ale czołgi po nocy nie mogły go wspierać, oraz że jutro rano mamy się przenieść na sąsiednią fermę i tam czekać dalszych rozkazów. Kompania śpi w polu pod czołgami. Jedzenie przed chwilą dostała, więc idziemy i my spać... Poszliśmy.

Nazajutrz rano przeprowadziliśmy się na tę sąsiednią fermę. Dawała z za sągów chrustu doskonały wgląd na szturmowany odcinek Esino i leżące nad nią miasteczko Chiaravalle. Nieprzyjaciel też miał widać z przeciwległych wzgórz za rzeką niezły wgląd na naszą stronę, bo flirtował nasze zbocza ogniem nękającym średniego kalibru. Na szczęście bez skutku. Władek „Wódz" pojechał na odprawę i, wróciwszy, oznajmił, że Kompania może

się umyć, musi ogolić, oraz nie pętać się po słońcu, bo „wojna jest okrutna, strzelają", więc nie warto narażać się bez potrzeby. Wobec powyższego Kompania, jak jeden mąż, poszła w krzaki spać, ogoliwszy się uprzednio oczywiście. My, tj. Maciuś i ja, znaleźliśmy cienistą figę i ułożyliśmy się pod nią, prowadząc miłe gawędy w cieniu. Przyjaciel - commandos ciągnął coraz wolniejszym głosem, jak to było pod Pescopennataro (pochwała dowódcy 78 brytyjskiej dywizji), jak przy forsowaniu rzeki Garigliano, jak pod Cassino i tak dalej. Zdaje mi się jednak, że on pierwszy zasnął. W każdym razie kiedy wstaliśmy, na obiad, nie wiele więcej wiedziałem o bojach polskich commandosów, niż przedtem...

Obiadek, skromny i polowy, był też z jakichś ochotniczych zwierząt. Po posileniu nadwątlonych sił zaczęliśmy z moim przyjacielem, z za wspomnianych wyżej czołgów, obserwować czołgi, forsujące rzekę pod Chiaravalle i piękne, a silne ognie naszej artylerii na stokach wzgórz, zamykających dolinę od północy. Na pogodnym niebie pojawiały się od czasu do czasu myśliwce i uprzykrzały niemieckie życie z góry. Bardzo nam się ten widok podobał, ale nagle zabawę przerwał hałas łazika i na podwórze wpadł major Smodlibowski z Krechowieckich.

— Mały alarmik, panie majorze! — zawołał wesoło do Władka.

Zagadnięty, lekko się tylko skrzywiwszy, popędził własnym „środkiem" po rozkazy, a Andrzej Czyński zaczął sprawiać szyki do boju. Mnie też dali broń palną. Miałem nieco tremy, głównie z tego powodu, że spuchnę, bo commandosy dziwnie szybko potrafią chodzić. Ruszyliśmy i podciągnęliśmy pod dowództwo ułańskie. Tu spotkaliśmy „Starego", który oświadczył z miłym uśmiechem:

— Wracać do domu!

— Wygrał bitwę na omówieniu! — skonstatował z zadowoleniem Maciuś. Wróciliśmy. Okazało się, że mieliśmy forsować Esino opodal Chiaravalle, bo tam „Zubrom" jakoś nie szło, ale ostatecznie dali sobie radę.

Do wieczora miło spędziliśmy czas, gapiąc się na ostrzeliwaną panoramę, w nocy zaś tamci grzmocili trochę po naszej stronie rzeki. Zaczęło to być nudne. Jeszcze nudniej było następnego dnia, kiedy do nas nikt nie strzelał, a nasi przenieśli się za górki. Słychać było, że do siebie strzelają, ale widać nic. Miłym przecinkiem w wygrzewaniu się był przyjazd rtm. Gierycza, dowódcy szwadronu Krechowieckich, współpracującego z Kompanią pod Case Nuove. Był to sympatyczny gentleman, Władzio zaś uruchomił piwniczkę. Poza tym nie działo się nic.

Wieczorem przyszła wieść, że Kompania odchodzi na wypoczynek do jakiegoś miłego miasteczka nad morzem. Wojsko było bardzo zmęczone, więc wiadomość powitano entuzjastycznie.

Nazajutrz żegnałem się z Kompanią. Trzeba było wracać do stałego m. p.

— Bardzo cię przepraszam, Łukaszu! — rzekł Władzio na pożegnanie. — Wynudziłeś się tu u nas! Wojna jest okrutna i strzelają, ale akurat była chwila ciszy... Ale przyjeżdżaj! Może trafisz na coś żywszego!...

JAN ŁUKASZ PAGOWSKI

CASTELFERETTI

Żelazo nagrzane słońcem parzy przez drelichy. Kurz zatyka nozdrza, oblepia twarz i oślepia. Trójkami leżymy na czołgach, na klapach motorów, za wieżyczkami. Motory powoli stają się coraz gorętsze i pieką mnie kolana przez dziury podartych spodni. Huk motoru i zgrzyt żelastwa ogłusza. Karabin, który leży przede mną, z brunatnego stał się białawo – szary. Na zakrętach, lejach i zjazdach chwytam się kurczowo haków pancerza, żeby nie zlecieć. Nie klnę w głos, żeby nie łykać kurzu, ale i tak spluwam gęsto papką z pyłu i śliny.

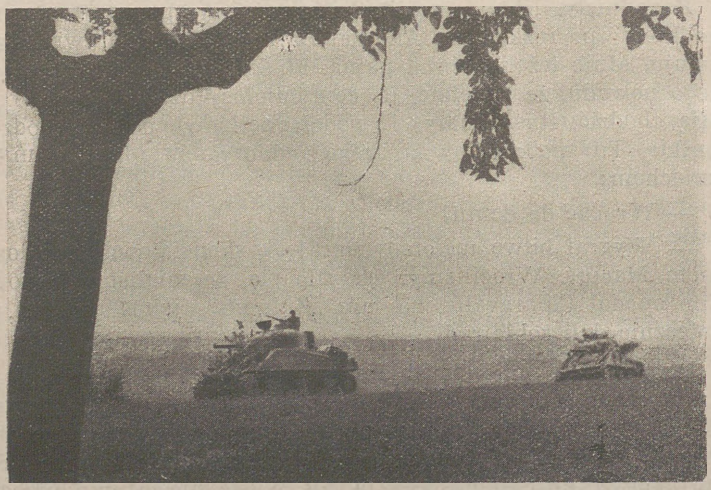

Jedziemy na nowe zadanie. Kompania wraz ze szwadronem czołgów ma zapuścić się zagonem do miasteczka Castelferetti, oczyścić je, pojechać dalej, osiągnąć miasteczko Falconara Maritima i utrzymać teren. W ten sposób odetniemy drogę cofającym się od Ancony Niemcom.

Stan Kompanii jest bardzo zmniejszony, a wszyscy jesteśmy zmęczeni akcją wczorajszą i niespokojnym dniem w polu. Szwa-

dron przewala się szosą i sunie ku podstawie wyjściowej. Odcinek ten musimy przebyć szybko, bo jest pod obstrzałem ciężkiej artylerii nieprzyjaciela.

W pewnym miejscu, gdzie pociski padają najgęściej, czołgi stają. A nam się robi coraz gorącej... Co innego, gdy człowiek jest w terenie i siedzi w jakiejś dziurze, albo skokami przechodzi przez ogień zaporowy artylerii. Ale leżeć na tym „stalowym katafalku" na wierzchu, wysoko i czekać na trafienie, licząc sekundy, to co najwyżej... średnia przyjemność. Pociski padają coraz bliżej: piętnaście, dziesięć metrów od kolumny. Czołgom i załogom nic to widać nie szkodzi, ale nas zaczyna „krew zalewać". Czemuż oni stoją, do licha? Czemu nie jadą dalej?...

Nagle dowódca czołgu wygląda do nas i każe nam włazić do środka. Jeden do kierowcy, dwóch do wieżyczki.

Wewnątrz czujemy się o wiele raźniej, choć ciaśniej. Słychać tylko cichy szum aparatów elektrycznych. Dowódca czołgu, jednocześnie dowódca plutonu, kończy rozmowę radiową:

— Czy szczupaki już wzięte do środka? Czy szczupaki już wzięte do środka? Słucha...

A po chwili:

— Czy ciotka zabrała szczupaka? Czy ciotka go zabrała? Słucham...

Dowiaduję się, że „szczupaki" to my, a Fiedorczuk z 1. plutonu zginął od pocisku i to dopiero zadecydowało o umieszczeniu nas wewnątrz czołgów. Cena pierwszej lekcji współpracy...

W końcu podjeżdżamy pod podstawę wyjściową. Zostajemy podzieleni na grupy, tym razem po pięciu na czołg. W ostatniej chwili przyjeżdża obiad. Każdy trochę zjada i „szybko, szybko, bo czasu nie ma".

Ruszamy. Jedziemy coraz szybciej. Osiągamy ostatni grzbiet w naszym posiadaniu, dominujący nad Castelferetti. Czołgi opuszczają drogę i pchają się rżyskiem. Na grzbiet, a zaraz potem karkołomna jazda na łeb, na szyję, coraz szybciej i szybciej stromym stokiem w dół. Wydaje się, że czołg naskutek przechylenia stanie na „przednich łapach" i wywróci się na „plecy". Na brak emocji znów nie można narzekać...

Tuż przed miasteczkiem zeskakujemy. Pierwszy pluton wpada na cmentarz, a nasza grupka skokiem obchodzi go z lewej. Czołgi, nastawiony każdy na swój rejon, walą z c.k.m.-ów i działek w każdą podejrzaną dziurę. Pancerniacy wiedzą, że jeśli nie będą w stanie zmniejszyć naszych strat do minimum, nas — ich pieszych partnerów — może zabraknąć. Jest nas tak niewielu...

Ogień wzmaga się. Nasi walą coraz mocniej. Skokami, od zasłony do zasłony, nasza grupka przesuwa się w lewo. Przebywamy otwarte pole, pełne snopków, i smalimy do najbliższych dom-

ków. Powtarza się wzajemne ubezpieczanie i stary szablon walk ulicznych, aż nagle widzę pierwszego cywila.

— Voi padrone? — pytam.

— Si, signore...

— Dove Tedeschi?

— Niente Tedeschi... Tutti partiti stamattina...

Gospodarz, z lufą rewolweru w okolicy krzyża, otwiera wszystkie drzwi po kolei i rzeczywiście — Szwabów nie ma ani na lekarstwo. Po pięciu minutach, po przeszukaniu szeregu domów, idziemy dalej w towarzystwie cywilnej ludności, która coraz liczniej wyłazi z kryjówek. Na rynku spotykamy się z innymi naszymi grupami.

Czołgi rozjeżdżają się. Część jedzie na lewo, w kierunku rzeki Esino, część w prawo na Falconara Maritima. Kilka stoi w mieście. My wystawiamy ubezpieczenia i dalej przeszukujemy okolicę.

Cywile wyglądają ogromnie uradowani z naszego przybycia. Znoszą wino, koniak, ser, chleb, a nawet częstują papierosami. Niektórzy z nas zamawiają na poczekaniu jajecznicę, inni kurczaki, wielu pokrzepia się bardzo dobrym, czerwonym winkiem. Reszta sterczy na posterunkach obserwacyjnych. Okazuje się jednak, że Niemców w miasteczku rzeczywiście nie ma.

Czołgi, które pojechały w kierunku Falconary i nad rzekę, wracają z wiadomościami. Brzegi rzeki są poważnie zaminowane, z drugiej strony są niemieckie gniazda. Od Falconary oddziela nas głęboki kanał, którego czołgi nie mogą przebyć. Brzegi kanału są gęsto zakrzewione, pełne pułapek i ciężkich min. A po drugiej stronie — też Niemcy.

Nagle, ni stąd, ni z owąd kule zaczynają bzykać i dochodzi do „wymiany zdań" między kilku c.k.m.-ami. Padamy na zaim-

prowizowane stanowiska. Poczta pantoflowa donosi, że czołgiści wykryli „Spandau'a" na naszych tyłach. Po dziesięciu minutach zapada cisza. Sytuacja się wyjaśnia. To dwa czołgi, przedzielone żywopłotami i zaroślami, wzięły się wzajemnie za „bunkry" niemieckie. Rozkaz dowódcy całości do przerwania ognia spowodował, że domniemanego „Spandau'a" zabrakło.

O zmroku zaczynają nas macać moździerze niemieckie z za rzeki. Biją po nas i wgłąb, na zameczek na wzgórzu, w którym jest jakieś dowództwo. Czołgi wkrótce likwidują to gniazdo i nastaje względny spokój.

Zaciągamy placówki na noc i przygotowujemy się do ewentualnej, dalszej roboty. O dziesiątej wieczorem przychodzi rozkaz wycofania się z bronią pancerną. Ładujemy się na czołgi i odjeżdżamy. Na nasze stanowiska już podciąga batalion piechoty...

J. LINDNER

ZŁOTE VIRTUTI „STAREGO"

Tadziek Monsior wrócił z drugiego rzutu Korpusu dziwnie podniecony i oświadczył tonem poufno-tajnym:

— Byłem u „Starego Moroza"...

Każdemu przyszło do głowy, że pewnie wspominali szkockie czasy na zasadzie szkockiej whisky, co w upał może o niejakie podniecenie przyprawić. Tadziek jednak ciągnął dalej:

— Widziałem wniosek na złote Virtuti dla „Starego", już podpisany przez N. W...

Podskoczyliśmy, jakby nam ktoś wsadził szpilkę w miejsce, przeznaczone do innych celów. Nadzieje na odznaczenie „Wodza" były, ale co innego nadzieje, a co innego fakt. A że delikwent właśnie wkroczył do kasyna, chcieliśmy mu złożyć gratulacje. Usłyszeliśmy, że on o niczym nie wie, my zaś jesteśmy owieczki pewnego gatunku, specjalnie przez niego ulubione. Trzeba więc było czekać na potwierdzenie urzędowe — Rozkaz Personalny.

Jakoż ten przyszedł następnego dnia. „Stary" został należycie ośliniony, po czym odbył się drobniutki alkoholizm wstępny. Władek był jednak wyjątkowo powściągliwy w gadaniu i w piciu, co przypisywaliśmy zarówno wzruszeniu z powodu wysokiego odznaczenia, jak i księżycowej nocy. Nie należy bowiem zapominać, że „Wódz" w Numanie ogromnie lubił patrzeć nocą na morze z tarasu willi dowództwa. Maciej twierdził co prawda, że nie patrzy sam, ale to niegodziwe ploty. Fakt jednak, że pokera unikał, a kochał Adriatyk przy księżycu.

Uroczystość dekoracji przez Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego, została wyznaczona na stadionie w Anconie na dzień

następny. Wyjechaliśmy o ósmej. Podczas drogi „Stary" w milczeniu spoglądał na miejscowości, gdzie właśnie o drogę do tejże Ancony walczyła w pierwszej fazie bitwy jego Kompania. Był wyraźnie wzruszony, co starał się jak zwykle zamaskować. Myślał pewnie nie tylko o tej biwtie. Myślał o obronie Pescopennataro, o forsowaniu Garigliano, a akcji na San Angelo, o swoich żołnierzach, którzy z nim razem wyszli z Wielkiej Brytanii, lecz którzy do Polski nie powrócą już nigdy. Ja byłem wzruszony też, bo nie tak znów często zdarza się wozić kogoś na dekorację złotym Virtuti Militari. I tak jechaliśmy w ciszy po szosie Adriatyckiej.

Upał robił się coraz większy. Na stadionie blisko 300 żołnierzy wszystkich stopni czekało na dekorację Virtuti Militari przez N. W. — W chwilę po naszym przybyciu wszyscy oni ustawiają się według przynależności do poszczególnych wyższych jednostek. Przed nimi staje pierwszych siedmiu kawalerów złotego Virtuti Militari.

Przybywa gen. Sosnkowski w towarzystwie gen. Andersa. Orkiestra gra hymn narodowy. Gen. Anders staje przed szeregami. Gen. Sosnkowski osobiście czyta cytację i dekoruje go Krzyżem Virtuti III klasy, za zwycięską bitwę o Monte Cassino. Gen. Anders krótko przemawia. Następnie Wódz Naczelny przypina Krzyże Złote. Kiedy dekoruje „Starego", coś mu dłużej, niż in-

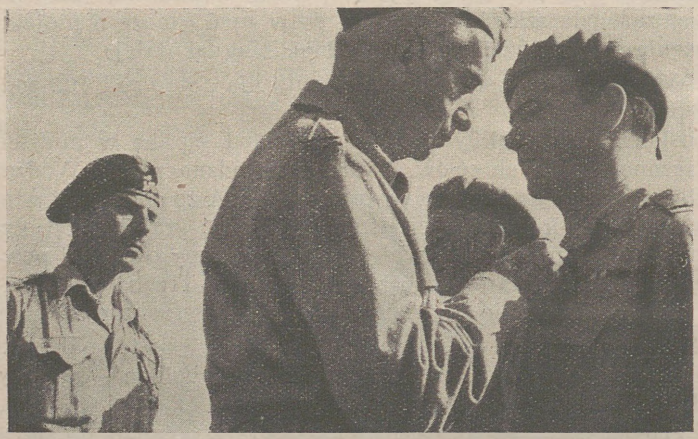

nym, mówi. Zapewne to, co już raz powiedział na pożegnaniu Kompanii: o wielkich, najwyższej klasy walorach żołnierskich polskich commandosów.

Po dekoracji złotymi Virtuti, N. W. dekoruje srebrnymi. Obok generałów stoją kanonierzy, ułani, czy strzelcy, obok nich majorzy, czy porucznicy. Wódz Naczelny, przypiąwszy Krzyże, całuje dekorowanych i pierwszy ich salutuje.

Siedzimy ze Śmrokowszczakiem na trybunie i przyglądamy się uroczystości. Trzydziesty siódmy Kawaler Virtuti Militari klasy IV od chwili ustanowienia orderu odzyskuje kontenans i klnie na upał. Dekoracja trwa kilka godzin. Wreszcie kończy ją defilada kompanii honorowej przed dekorowanymi i N. W. Po czym szybko pomykamy do domu.

W kasynie czekają wszyscy oficerowie i szef Kompanii. Andrzej Czyński składa życzenia w imieniu wszystkich. „Wódz" wygłasza jedno z najdłuższych przemówień w swoim życiu. Że to nie on osobiście, ale że Kompania, że na jego odznaczenie złożył się wysiłek wszystkich jego żołnierzy.

Po mowie odbyły się toasty. Przemawiał kto żyw, aby krótko. Zwykle: „No to napijmy się!" I tak to było aż do chwili, kiedy Jasio Kulej oświadczył, że wódy nie ma. Trzeba było przestać, choć okazja była na prawdę ważna.

Od dnia zaś tego w kronice Kompanii w zestawieniu liczbowym odznaczeń figuruje: Złoty Krzyż Virtuti Militari — 1... Każdy wie kto go nosi...

J. Ł. PAGOWSKI.

BERET ZIELONY

Nikt ci nie powie, czy to było trudno
Przejść rzekę Sangro, czy też Garigliano,
Lub na Angelo przetrwać chwilę żmudną
Patrząc na łąkę makami usianą.

Tam — nad Mussone — tylu nas zostało...
I pod Cassino, pod Pesco, pod Suio —
Trudno. Widocznie tak się stać musiało,
Gdy nasi drogę Zwycięstwu torują.

Zielony beret to symbol jest taki,
Że, gdy go nosisz, to o tym pamiętaj,
Że żołnierz jesteś i nie byle jaki...
Beret zielony to prawie rzecz święta.

Commandos — idzie zawsze wprzód — przebojem.
Zadanie robi tak, jak mu kazano
I się nie cofa, choć strudzony znojem
I choć krew jego wsiąka w ziemię czarną.

Wszystko nam jedno, czy płynąć nam morzem,
Czy z chrzęstem czołgów Pancernej Brygady
Iść w pyle drogi, czy przez śniegi w górze —
Byle dojść wreszcie do rodzinnej chaty.

I, kiedy broni nie będzie już trzeba,
Kiedy pług ujmą spracowane dłonie,
Móc czasem ujrzeć, krając skibę chleba,
Beret zielony wiszący na ścianie.

Maciej Drzewica

to Garigliano 1944
POLAND
COMMANDO

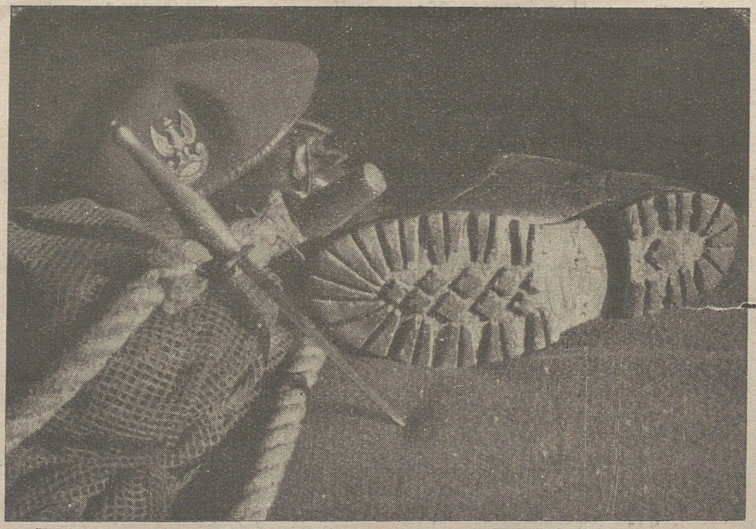

ZESTAWIENIE STRAT

SAMODZIELNEJ KOMPANII „COMMANDO" ZA OKRES WALK WE WŁOSZECH 1943—1944

Akcja	Zabici	Ranni i kontuzje	Razem
Sangro	2	4	6
Garigliano	4	23	27
Monte Cassino	2	34	36
Ancona	10	9	19
Razem:	18	70	88

Stan Kompanii w chwili wyjazdu z W. Brytanii wynosił	91
Uzupełnienie otrzymane w miesiącu kwietniu 1944	20
Razem:	111

Procentowo straty Kompanii wynoszą 79,3 proc.

ZESTAWIENIE ODZNACZEŃ

ŻOŁNIERZY SAMODZIELNEJ KOMPANII „COMMANDO" ZA OKRES WALK WE WŁOSZECH

Złoty Krzyż Orderu „Virtuti Militari" kl. IV	— 1
Srebrny Krzyż Orderu „Virtuti Militari" kl. V	— 19
Krzyż Walecznych — po raz trzeci	— 2
Krzyż Walecznych — po raz drugi	— 9
Krzyż Walecznych — po raz pierwszy	— 36
Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami	— 7
Bronzowy Krzyż Zasługi z Mieczami	— 7
Military Cross (brytyjski)	— 1
Military Medal (brytyjski)	— 1
Krzyż Pamiątkowy Montecassino	— 92
Razem	— 194

POLEGLI NA POLU CHWAŁY

Ś. ✝ P.

st. strz. Rogucki Franciszek
st. strz. Stadnik Stanisław
mjr. Wołoszowski Stanisław
st. strz. Klajber Henryk
st. strz. Słowiński Stefan
st. strz. Decker Ferdynand
ppor. Bachleda Adam
kpr. Morenszyld Jerzy
strz. Klimczak Rudolf
ppor. Pałach Stanisław
podchor. Lubicz-Bartosiewicz Bolesław
kpr. Brauliński Konrad
kpr. Kaliwoszka Antoni
kpr. Rowiński Stanisław
st. strz. Uchmanowicz Władysław
strz. Pawlukowski Franciszek
strz. Fiedorczuk Jan
kpr. Rink Hieronim

ZAKOŃCZENIE

Po zakończeniu działań na Anconę, Pierwsza Samodzielna Kompania Commando posiadała tak mały stan liczebny, że nie była już zdolna do dalszego działania. Dlatego też Naczelny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski zdecydował rozwiązać Samodzielną Kompanię, a stworzyć Polskie Commando w składzie 5 Kompanii. Samodzielna Kompania odeszła dla szkolenia nowych stanów w rejon Bari — Taranto na południu Włoch, gdzie w dniu 15 sierpnia 1944 zostało zorganizowane „Polskie Commando". Dowództwo nad nowym oddziałem objął dotychczasowy dowódca Kompanii mjr. Wł. Smrokowski, zaś kadrę stanowili zaprawieni w bojach żołnierze Samodzielnej Kompanii.

Na skutek ustania typowych działań morsko – lądowych na tym teatrze wojennym koncepcja utrzymania w ramach 2. Korpusu oddziału o charakterze czysto commandosowym, okazała się nierealna, to też po kilku reorganizacjach i zmianach oddział otrzymał ostateczną nazwę „2. Baon Commandosów (Zmot)" i jako Baon Zmotoryzowany wszedł w skład 2. Brygady Pancernej, z którą brał udział w końcowej akcji długiej epopei walk na froncie włoskim, w akcji na Bolonię. Akcja ta, szczególnie bitwa nad rzeką Gaiano w dniu 19 kwietnia 1945 dowiodła, że nowy oddział przejął ducha i tradycję dawnej Samodzielnej Kompanii Commando i obficie przelaną krwią własną pisał dalsze karty chlubnej historii Polskich Commandosów.

SPIS RZECZY

Str.

Wstęp 7

PRZYGOTOWANIE

Z kroniki 13
Gwiaździsty zlot — J. J. 15
Melting Pot — J. J. 21
W Achnacarry — M. D. Z. 27
Wojenne taternictwo — Maciej Drzewica 28
Ćwiczymy lądowanie — M. D. Z. 31
Cicha robota — Maciej Drzewica 34
Commandosi to my — Maciej Drzewica 37

DROGA NA FRONT

Z kroniki 39
Żegnamy W. Brytanię — Maciej Drzewica 41
Północna Afryka — M. D. Z. 45
Na nocnym patrolu — Bolesław Switalski 49
Do Włoch — Maciej Drzewica 50

SANGRO

Z dziennika bojowego 53
Pierwszy patrol — M. D. Z. 58
Przebudzenie — Andrzej Czyński 60
Ateletta — Maciej Drzewica 61
Z radiostacją — Jerzycz 66
Obrona Pescopennataro — Melchior Wańkowicz 70
Czasem trudno wytrzymać — Stefan Zalewski 73
Na skale — Maciej Drzewica 75
Wigilia — Jerzycz 76
Kolęda — Bolesław Switalski 79
„Two direct hits — well done" — Stefan Zalewski . . . 79
Osiem dni wśród śnieżnych zasp — Jerzycz 81

GARIGLIANO Str.

Z dziennika bojowego 85
Garigliano — Maciej Drzewica 89
Noc świętojańska — Maciej Drzewica 90
Zero Hour — J. J. 90
Ostatni patrol rotmistrza Wołoszowskiego — Maciej Drzewica 95
Domek na wzgórzu — Konrad Brauliński 99
„Cota Nr 320" — Jerzycz 101
Listy — Maciej Drzewica 109
O świcie — Andrzej Czyński 113
Z „Commandosowej ballady" — Maciej Drzewica . . . 114

Z 2. S. S. B-de DO 2. KORPUSU

Z kroniki kompanijnej 115
Patrzę na Neapol — Drz. 118
Wezuwiusz — Jerzycz 119
Virtuti Militari — Jerzycz 121
Poznaliśmy się znowu — Jerzycz 125
Jak nas widzi 2. Korpus — Wiktor Ostrowski 129
Zielone berety — Konrad Tom 134

MONTE CASSINO

Z dziennika bojowego 137
Castellone i Widmo — Jerzycz 138
Dwie skały — Maciej Drzewica 145
Ze wspomnień Poznańskiego ułana — Zygmunt Wachułka . 146
Wracamy do Inferno — Maciej Drzewica 147
List do polskiego commandosa — Jan Lukasz Pągowski . . 150

ANCONA

Z dziennika bojowego 153
111 Kompania Ochrony Mostów — Stefan Zalewski . . . 156
Montagnola — Jerzy Grek 160
Case Nuove — Jerzycz 162
Chwila ciszy — J Lukasz Pągowski 168
Castelferretti — J. Lindner 172
Złote Virtuti „Starego" — J. Lukasz Pągowski 175
Beret zielony — Maciej Drzewica 178
Lista Poległych 180
Zestawienie strat i odznaczeń 181
Zakończenie 182

42994/2